

## 1. HERBACIARNIA

Daniel Stanley wyszedł z mieszkania na piętrze i zbiegł na dół, włączając po drodze światła. Z sali jadalnej wionęło chłodem; Daniel wzdrygnął się, podszedł do okna i rozsunął żaluzje. Na dworze było ciemno. Słońce miało wzejść dopiero za dwie godziny.

Ruszył od stolika do stolika, zapalając żółte lampki, i lokal wypełnił się nagle ciepłą poświatą. Przez ułamek sekundy stara herbaciarnia wyglądała niemal przytulnie. Zakurzone firanki, wytarte linoleum, rozchwierutane meble i łuszczące się ściany skąpane były w złocistym blasku.

Daniel przejrzał się w małym lustrze obok drzwi. Napotkał wzrok własnych dużych, niebieskich inteligentnych oczu, okolonych delikatną pajęczynką trosk. Nic dziwnego: prowadzenie małej firmy nie jest łatwe. Cerę miał wybladłą (zima trwała stanowczo zbyt długo), a włosy należałoby już przystryc. Lecz ładne rysy, które odziedziczył po matce - prosty nos i wysokie kości policzkowe - wciąż nadawały jego twarzy charakter, podczas gdy u innych mężczyzn dawno zmiękły i utonęły w fałdach starzejących się ciał. Tak, mając czterdzieści siedem lat Daniel mógł się podobać, jego ascetyczna uroda wpadała w oko.

Otworzył frontowe drzwi i wniósł do kuchni pojemniki z mleczarni. Zaczął kolejno włączać urządzenia kuchenne: toster, termę, elektryczny piekarnik, który mimo swego wieku wciąż pracował bez zarzutu, choć wydawał z siebie irytujący grzechot, gdy temperatura przekroczyła 200 stopni. Nappełnił wodą elektryczny czajnik. Było wpół do siódmej. Z hałasem ożył antyczny kocioł centralnego ogrzewania, a Daniel westchnął z ulgą, słysząc, że jeszcze działa.

Czekając, aż zagotuje się woda, wrócił do okna i wyjrzał na budzącą się ze snu ulicę. Po Lisburn Road już sunęły ciężarówki dostawcze. O wpół do ósmej ludzie zaczęli się ustawiać na przystankach. Daniel przyglądał się kierowcy ciężarówki, który cierpliwie czekał na zmianę świateł, przebierając palcami po desce rozdzielczej. Pewnie słuchał muzyki; zaprzętnęła go tak, że nawet nie zatrąbił, gdy stojący przed nim samochód ruszył z opóźnieniem. Daniel rzadko puszczał muzykę w herbaciarni. Lubił spokój wczesnego poranka, przerywany tylko znajomymi odgłosami kuchni. Cisza pomagała mu się skoncentrować. Wiedział już, co dziś upiecze: pyszny sernik z wiśniami i nasączone ciasto kawowe zdobione po brzegach kremem toffi.

Po drugiej stronie ulicy smukła rudowłosa kobieta tworzyła kompozycję z białych kwiatów za świeżo wypolerowaną witryną. Ujmowała lodyżki delikatnie, wręcz czule, rozgarniając szczupłymi palcami gęste ciemnozielone liście mokre jeszcze od rosy. Kwiaciarka miała na imię Rose. Daniel nie mógł wiedzieć, że wybrała dziś tę melancholijną biel, by upamiętnić ostatni dzień swego krótkiego małżeństwa. Znowu była sama, zdana tylko na siebie w wielkim mieście, które jego mieszkańcy nazywali Wędzarnią. Krytycznie przyjrzała się schludnej wystawie i zadowolona poszła nastawić wodę na herbatę. Odkąd rozstała się z mężem, budziła się wcześniej niż zwykle, ale sklep nigdy nie wyglądał lepiej.

Daniel śledził jej powolne ruchy myśląc, że kwaciarstwo to jednak łatwa praca. Człowiek nie boi się nalotów inspekcji sanitarnej i nie ryzykuje, że potruje klientów. Czerwone róże na watentynki, jodełki na gwiazdkę i nic do roboty poza dekoracją wystawy. Żyć nie umierać! Ładnie się prezentują te cylindryczne metalowe wazony, przyznał w duchu. Rose zawsze miała ładną wystawę. Czasem witali się skinieniem głowy, gdy kwaciarka wpadała do Muldoona na lunch.

Lunch! Daniel ocknął się z sielankowych marzeń o łatwym życiu i przypomniał sobie, co jeszcze trzeba zrobić, zanim zjawią się pierwsi klienci. Było tego mnóstwo, musi popędzić Penny. Czas na pierwszą herbatę. Zawrócił do kuchni.

- Penny, wstałaś? - zawołał. - Herbata gotowa! Pospiesz się!

- Jestem, jestem - odpowiedziała jego żona, wolno schodząc po schodach. - Po co ten gwałt? Jeszcze cała godzina do otwarcia.

Była już umalowana, pod swetrem miała długą białą sukienkę spiętą złotym paskiem, wielkie złote koła w uszach i lśniące spinki do włosów w kształcie motyli. Taka właśnie była Penny: lubiła wszystkiemu dodać nieco blasku.

- Jak ci się podobam? - okręciła się na palcach. - Ładne te motyle, prawda? Nowe.

- Bardzo ładne - rzekł łagodnie. - Może niezbyt praktyczne do pracy, ale owszem, śliczne.

- Jutro trzeba będzie zdjąć dekoracje gwiazdkowe. - Penny poprawiła przekrzywioną błyskotkę na choince. - Szkoda. Będzie mi ich brakować.

- Jedzenie się samo nie robi - przypomniał jej z powagą.

- Nastawiłem już piekarnik.

- Zdażymy. Czy kiedykolwiek się spóźniliśmy?

- Chyba nie. Czym napchamy dziś drożdżówki? Jagodami? Czekoladą? Nadal sporo się ich sprzedaje. Ulubiona przekąska urzędników. - Daniel przeglądał rozstawione na ladzie pojemniki. - Może dla odmiany bananowe? Gdzie jest ta amerykańska flaga? Wywieszę ją w oknie i zrobimy

promocyjny zestaw: kawa plus drożdżówka.

Znalazła flagę w składziku i ziewając szeroko, wróciła do sali.

Daniel wyliczył planowane wypieki; Penny spisała je kolorową kredą na rozkładanej tablicy i poszła wystawić ją na chodnik. Potem usiadła przy stoliku patrząc na nielicznych jeszcze przechodniów. Pomachała ręką kwiaciarczyce z naprzeciwka. Rose ciągnęła właśnie wielką donicę z ozdobnie przystrzyżonym drzewkiem.

- Rose wcześniej dziś przyszła - zauważyła Penny. - Zwróciłeś uwagę, że ostatnio często jej się to zdarza? Zmieniła wystawę. Ładnie to wygląda, nie sądzisz?

- Mhm - odmruknął enigmatycznie Daniel. Penny pociągały ładne rzeczy. Nie chciał jej zachęcać. Odwróciła się od niego. Był zimny poniedziałkowy ranek i na samą myśl o czekającej ją pracy Penny poczuła łupanie w krzyżu. Spędziła w tej herbaciarni całe życie, znała skrzypiące szafki i kapiące krany lepiej niż własne ciało, potrafiłaby robić kanapki i parzyć herbatę nawet przez sen. Poza jedną tragedią - wypadkiem samochodowym jej rodziców - przez trzydzieści siedem lat nie przydarzyło się jej nic szczególnego; nic, o czym warto by napisać w pamiętniku. Nieraz czuła się jak liść unoszony przez nurt strumienia. Właściwie powinna być wdzięczna niebiosom, że oszczędziły jej dramatycznych wydarzeń, i codziennie wieczorem dziękowała im za to. Równocześnie jednak palił ją niewytłumaczalny wstyd. Dłonie miała czerwone i szorstkie po dwudziestu latach wyrabiania ciasta, a w jej dużych brązowych oczach rozgościł się wyraz rezygnacji

Ale dziś w pokornym sercu Penny budził się bunt. Pragnęła zmian i świetnie zdawała sobie sprawę, że tylko ona może coś zmienić w swoim życiu. Nic nie da czekanie - jak czekała od lat - aż marzenia same się spełnią.

Być może zarzewiem tego buntu stała się usłyszana w radio rozmowa o zbliżającym się milenium. Dzwonili słuchacze: pewna kobieta planowała wydać kilka tysięcy funtów na zabawę na plaży w Australii. Zamierzała pokryć koszty przelotu wszystkim swoim przyjaciółom i krewnym. Po niej mówił mężczyzna, który wyjeżdżał wraz z rodziną na bezludną szkocką wyspę, zaopatrzonego w dostateczne zapasy żywności i wody, by przetrwać katastrofę atomową. Penny nie miała aż tak ekstrawaganckich planów, ale chciała zrobić coś, cokolwiek. Od chwili, gdy światu przybędzie tysiąc lat, dzieliło ją już tylko dwanaście miesięcy. Za rok i ona będzie o milenium starsza niż w dniu swego ślubu.

Znalazła na jednym z krzeseł ekskluzywny magazyn poświęcony wystrojom wnętrz i zaczęła go przeglądać. Daniel podał jej na tacy filiżankę herbaty i bułeczkę z masłem. Na widok magazynu zmarszczył brwi. Jego zdaniem to właśnie ilustrowane czasopisma ponosiły winę za większość nieszczęść na świecie. Nabijały ludziom głowy marzeniami, których nie byli w stanie urzeczywistnić.

- Dzięki, skarbie. - Penny upiła łyk herbaty. - O, popatrz.

Tak powinien wyglądać dom! Bajecznie! Spójrz, Danielu, to hotel na południowym wybrzeżu.

Nazywa się Lawson Lodge.

Zerknął jej przez ramię.

- To pałac pełen bezcennych antyków, Penny. Nie stać cię na taki dom. Wpędzisz się tylko w depresję.

- Marzenie to nie grzech. I nic nie kosztuje - Penny odstawiła filiżankę i oparła trójkątny podbródek na dłoni. Spojrzała na zdjęcie z tęsknotą w ciemnych oczach.

Daniel wrócił do kuchni.

- Marzenia pomagają człowiekowi żyć, kiedy prawdziwe życie go zawodzi - mruknęła do siebie Penny, przewracając kolejną stronę.

Artykuł traktował o starym dworze na południowym wybrzeżu Irlandii, zbudowanym w dziewiętnastym wieku przez angielskiego lorda. Dziś potomkowie lorda gnieździł się w drogich londyńskich mieszkaniach, a dom został przerobiony na hotel. Szarą kamienną fasadę otaczał labirynt ozdobnie przystrzyżonych żywopłotów. Popękane ze starości kamienne donice przy drzwiach kipiały zielenią. Na trawniku, skoszonym w równe pasy, rozpierały się leniwie dwa psy o gładkiej czarnej sierści. Dalej wewnątrz: rustykalna kuchnia wyposażona w tuziny miedzianych patelni wiszących na hakach nad wielkim piecem z niebieskich kafli. Książki kucharskie stojące równym rzędkiem na malowanym walijskim kredensie. Słoiki domowego dżemu stygnące na parapecie. W oknach zasłonki w szerokie niebieskie pasy.

I gwóźdź programu: olbrzymi salon o ścianach w nasyczonej, zmysłowej czerwieni, stanowiących idealne tło dla wygodnych białych sof, rzeźbionych stolików pod lampy, ciężkich brokatowych białych zasłon i miękkich, obszytych frędzlami poduszek. Na ścianach stare olejne pejzaże w złożonych ramach. Tu i ówdzie na stoliku czarka *potpourri* lub domowych łakoci, grube albumy

sztuki nowoczesnej, świeże kwiaty w szklanych wazonach. Gdzie nie spojrzeć - luksus. Penny westchnęła i delikatnie dotknęła zdjęcia, jak gdyby zamknąwszyoczy i otwarłszy je znowu mogła się znaleźć w tym pięknym pokoju i przez wielkie łukowate okno patrzeć ponad zielonymi figurami krzewów na rozciągający się w dole majestatyczny ocean. Nie usiadłaby nawet w fotelu, nie oparła się na pulchnej poduszce, by jej nie zgnieść. Oglądałaby obrazy i napawała się zapachem drogich kwiatów. Penny kochała piękne rzeczy. Piękno w każdej postaci koło jej duszę.

Odstawiła pustą filiżankę i z czcią położyła magazyn na poplamionym blacie kontuaru.

- Spójrz, Danielu. Właśnie coś takiego chciałabym zrobić tutaj. Pomalować ściany na czerwono.

Patrz, jaki to daje efekt, kiedy palą się lampki na stolikach. Robi się przytulnie i luksusowo.

- Znow to samo! - westchnął jej mąż, polerując szklaną paterę na sernik. - Te ściany nie zniosą jeszcze jednej warstwy farby. Przecież wiesz o tym, złotko.

- To można je oskrobać. Albo wziąć byka za rogi i zrobić tu generalny remont. Większe okna i nowe meble. Nowy sprzęt do kuchni. Przecież nas na to stać.

- Ludziom się tu podoba - rzekł stanowczo Daniel. - To jedna z ostatnich rodzinnych herbaciarni w mieście, o nie zmienionym staroświeckim wystroju. Studenci ją uwielbiają. Twierdzą, że jest retro czy jakoś tam.

- Retro, też coś! Nie muszą tu pracować, mieszkać i codziennie widywać tej nory! Zresztą przychodzą tu tylko dlatego, że jest taniej niż gdzie indziej.

- Nie będziemy wyrzucać pieniędzy na firmy budowlane i projektantów wnętrz, Penny. Nie ma takiej potrzeby. Rozrzutność to zbrodnia, gdy na świecie jest tyle nędzy.

- Ale człowiek musi mieć trochę radości! Moglibyśmy postawić białą sofę tam, przy drzwiach, a wzdłuż kontuaru rząd wysokich krzesel... Mam tyle pomysłów ...

- Proszę, Penny, nie zaczynaj od nowa. Nie teraz. Szkoda czasu. Sprawdzisz, czy rogaliki już doszły? Ja tymczasem dokończę ciasta. - Zerknął na zegarek.

Penny spojrzała na męża i po raz pierwszy w życiu zaświtała jej myśl, że mogłaby przestać go kochać. Wymięła go dość szorstko; po chwili z kuchni dobiegł wyzywający trzask drzwiczek i szuflad. Ignorując piekarnik Penny zrobiła sobie grubą pajdę z bekonem i mnóstwem keczupu, a do tego duży kubek słodkiej herbaty. Daniel mógł sobie żyć powietrzem, ale ona miała zdrowy apetyt. Nie jestem robotem, powiedziała sobie. Wezmę się do pracy wtedy, kiedy zechcę. Usiadła na rozchybotanym kuchennym krześle palaszując śniadanie. Daniel westchnął i sam zajrzał do rogalików. Były już złotobrazowe i lśniące, toteż wyjął blachę z pieca i postawił do ostygnięcia na drucianym stojaku.

Nie rozmawiali ze sobą do chwili, gdy ciasto kawowe znalazło się w piekarniku. A i wtedy wymienili zaledwie opinie, czy do kanapek podać dziś chrupki paprykowe czy te o smaku tortilli. Penny patrzyła, jak Daniel zręcznie nakłada krem na wierzch sernika, wygładzając brzegi łopatką. Następnie przybrał go wiśniami i ustawił na ładnej szklanej paterze o brzegach malowanych w liście mięty. Skończywszy, uśmiechnął się z zadowoleniem. Penny poczuła się zazdrosna o uwagę, którą jej mąż poświęcał wypiekom. Gdybyż na nią spoglądał z takim samym uczuciem! Szybko zagniotła porcję bananowych drożdżówek i machinalnie wrzuciła je na blachę.

O siódmej trzydzięci odsunęła zasuwę w drzwiach i przekręciła wywieszkę na "Otwarte".

Uśmiechnięty listonosz opróżnił skrzynkę pocztową przed barem, pomachał do Penny i odjechał z ładunkiem dobrych i złych wieści i rachunków dla mieszkańców Belfastu oraz reszty świata.

## 2. SIOSTRY CRAWLEY

Punktualnie o godzinie ósmej, grzechocząc kwestarskimi puszkami, do herbaciarni weszły dwie kobiety. Wyszobodziwszy się z szalików, czapek i rękawiczek, dały się poznać jako Beatrice i Alice Crawley - bliźniacze siostry i najlepsze przyjaciółki. Zawsze uśmiechnięte i rozgadane Crawleyówny miały rzesze znajomych i rozliczne zainteresowania. Sekret ich pogody ducha, jak mawiały, tkwił w tym, że miały dość rozumu, aby nie wychodzić za mąż. Daniel zawsze się krzywił, kiedy to mówiły. Kiedy był w złym humorze, przezywał je za plecami "Horrorem Stereo". Siostry Crawley były emerytowanymi nauczycielkami i reprezentowały rzeczowy styl bycia zawodowych pedagogów. Chodziły różnym krokiem, trzymając się za ręce. Miały też zwyczaj wzajemnego kończenia rozpoczętych przez tę drugą zdań. Od dzieciństwa mieszkały w tym samym szeregowym domku w spokojnym końcu ulicy Morwowej. W czasie wolnym od działalności dobroczynnej dbały o jego wygląd. W oknach jaśniały białą krochmalone firanki, a drzwi wejściowe każdego lata pokrywała nowa warstwa ciemnozielonej farby.

Siostry przyszły na świat razem, z zaledwie dziesięciominutową przerwą. "Jednoajowe bliźniaczki" - oznajmiła z dumą akuszerka. - "Obie silne i zdrowe." Od samego początku sąsiedzi

nie mogli się nadziwić oliwkowej skórze dziewczynek i ich kruczoczarnym włosom. "Po kim mają taką karnację?" - zastanawiali się gawędząc wieczorami przy furtkach. Zarówno pan, jak i pani Crawley byli jasnowłosi, bladzi, drobnej budowy, o oczach barwy niezapominajek. Ich pociechy wyrosły na wysokie ciemnookie brunetki. Pani Eliza Crawley jako dobra chrześcijanka wierzyła w cuda. Długo czekała, aż Bóg ześle jej dziecko, i oto miłosiernie wysłuchawszy modlitw obdarzył ją i męża dwiema ślicznymi córeczkami. A skoro okazał się tak hojny, nie miała zamiaru kwestionować ich powierzchowności. W wieku lat czternastu bliźniaczki przerastały już o głowę kochających rodziców, ale do tego czasu sensacja wywołana ich egzotyczną urodą znacznie już ostygła. Śpiewająco zdawały wszystkie egzaminy, potem podjęły pracę w tej samej szkole. Łącząca je więź była tak silna, że nigdy nie odczuły potrzeby wzięcia sobie mężów ani wyprowadzenia się z rodzinnego domu, gdy William i Eliza Crawley znaleźli już wieczny odpoczynek.

Nie mając własnych rodzin, siostry poświęciły się społeczeństwu: co dzień kwestowały na różne zbożne cele, brzęcząc puszkami na Royal A venue. Lubiły też naprawiać świat nad filiżanką herbaty u Muldoona, a także jeździć na wycieczki parafialnym mikrobusiem. Raz w tygodniu odwiedzały grób rodziców na miejskim cmentarzu i kładły na nim świeże kwiaty. Świętej pamięci William Crawley odznaczył się męstwem na wojnie, za co został odznaczony orderem. Siostry często wspominały go z dumą.

- Dobrze, że nasz drogi ojciec nie widzi, dla kogo narażał życie - mówiła ze smutkiem Alice, obserwując nastoletnie matki spacerujące za oknami herbaciarni z tłustymi dziećmi w wózkach. - Dawniej takie dziewczęta umieszczono by w zakładzie poprawczym. Zdaje się, że jeden był tu niedaleko, zanim liberałowie go zamknęli?

- Cóż, tego rodzaju instytucje miały też swoje wady. Nie mówię, że to najlepsze rozwiązanie. Ale na Boga, jak można się tak ubierać! - prychnęła Beatrice, patrząc ze zgorznięciem na papierosa zwisającego z kącika jaskrawo umalowanych ust dziewczynki mającej nie więcej niż piętnaście lat.

- Nieprzyzwoicie i do tego niechlujnie.

Nikt już dziś nie ma zasad - orzekła Alice. - Wszystko zeszło na psy, odkąd kapelusze wyszły z mody.

- Nie do wiary! Ze też nasz drogi ojciec walczył za taki kraj! - wykrzyknęła Beatrice, wyczytawszy w gazecie, że dziewięcioletni chłopiec został wyrzucony ze szkoły za podpalenie klasy. - Rodzice, oboje naturalnie bezrobotni, ubiegają się o zasiłek na opłacenie prywatnego nauczyciela ... Ha! Powinno się ich rozstrzelać za wychowanie kryminalisty.

- Istotnie - zgodziła się Alice. - Nieraz uśmiercano ludzi za lżejsze przewinienia. A społeczeństwo tylko na tym zyskiwało.

W niedzielę wkładały wyjściowe rękawiczki i eleganckie kapelusze i szły statecznie do kościoła, odkłaniając się z godnością znajomym. Siadały w pierwszej ławce, śpiewały całą mocą nie zniszczonych nikotyną płuc oraz modliły się żarliwie o zbawienie świata w ogóle, a Belfastu w szczególności. Po lunchu pisały zażalenia - przeważnie do właściciela pobliskiego kiosku z prasą - protestując przeciwko sprzedaży pism pornograficznych. Ponadto miały wiele do powiedzenia na temat współczesnej młodzieży, którą nazbyt rzadko widywano na mszy.

- Czyż można się dziwić, że instytucja małżeństwa podupada? - pytała Beatrice. - Dzisiejsze dziewczęta zmieniają kochanków jak rękawiczki. Chodzą prawie nagie; człowiek oczom nie wierzy, że można tak nie mieć wstydu. To doprawdy skandal.

- Istotnie - przyznawała Alice. - A na każdym rogu sprzedają frytki. Ludzie jedzą je na ulicy z papierowych torebek. To bardzo niehygieniczne. Pytam zatem: po co kawalerowie mieliby chcieć się żenić? Mają pod dostatkiem i jadła, i chętnych ciał.

Crawleyówny żyły sobie wygodnie z dwóch porządnych emerytur i nie miały prawie żadnych wad, wyjąwszy może słabość do nakryć głowy oraz gigantyczną wręcz ambicję. To ona kazała im zbierać więcej datków niż ktokolwiek inny w całej parafii; ona nie dawała im zasnąć, gdy nocami namyślały się, co powiedzą, gdy zostaną przedstawione Jej Królewskiej Wysokości. Miały bowiem pewność, iż pewnego dnia ich trud doczeka się nagrody - co najmniej lśniących orderów w wyściełanych aksamitem pudełkach. Po tylu latach społeczeństwo było im to winne.

Alice podeszła do lady.

- Może chciałby pan złożyć datek? - zagadnęła Daniela.

- Zbieramy dziś na utrzymanie miejsc pamięci narodowej.

Twarz Daniela pociemniała. Wychował się w biedzie i wszelkie akcje dobroczynne zbijały go z tropu. Penny wszakże wyjęła z kasy pięćofuntowy banknot, złożyła go i beztrąsko wetknęła do puszek. - Proszę, to na dobry początek - powiedziała, zerkając wyzywająco na męża.

- Dzięki, droga Penny - rozpromieniła się Beatrice. - Pamięć musi trwać! *Et caetera*, sama zresztą wiesz.

- Chwała naszym poległym bohaterom - zawtórowała jej Alice, po czym obie skierowały się na swoje zwykle miejsca obok kaloryfera.

Daniel wyszedł do kuchni polukrować ciasto.

- Herbata i grzanki jak zwykle? - spytała Penny podchodząc do stolika z otwartym notatnikiem.

Daniel zajrzał do lodówki, marszcząc brwi. Siostry Crawley zepsuły mu humor. Przez nie zaczynał dzień od straty pięciu funtów. Słyszał, jak deliberują nad jadłospisem. Czy popełnią grzech obżarstwajedząc jajka na bekonie? Ile kalorii może mieć taka porcja? Certoliły się z każdym drobiazgiem.

W końcu się zdecydowały.

- Poprosimy oczywiście o herbatę i grzanki. I do tego może jajecznicę ... Ach, co tam, raz się żyje. Jeszcze dwie kielbaski. Powinnyśmy dziś zjeść solidne śniadanie, mamy przed sobą długą kwesę. - Siostry potrząsnęły blaszanymi puszkami, uśmiechnięte i zadowolone z własnych cnót.

- Dwie jajecznice, dwie kielbaski, dwie herbaty i dwie grzanki! - zawołała Penny przez okienko do kuchni.

- Już się robi. - Daniel otworzył paczkę kielbasek. Dzień pracy rozpoczął się na dobre.

Kilka minut później wpadła Millie Mortimer, przyjaciółka Penny.

- Co słyhać? - wykrzyknęła od progu. - Wysłałam na miasto pozafatwiać sprawy i tak sobie myślę, trzeba zobaczyć, czy stara Penny jeszcze dycha.

Daniel westchnął. Millie była bardzo prostacka. Nosiła zbyt opięte ubrania, miała gminny akcent, a patrząc, jak ciągnie papierosa z częściowo otwartymi ustami, dostawał mdłości. Miała trzydzieści sześć lat, ale postarzały ją zniszczone trwałą ondulacją włosy. Na dodatek nie lubiła Daniela i nie bała się tego okazywać. Na złość jemu paliła papierosy w kuchni, choć wielokrotnie zwracał jej uwagę. Daniel nie mógł pojąć, dlaczego Penny od tak wielu lat podtrzymuje tę przyjaźń.

- Chodź do kuchni - powiedziała Penny. - Tam będziemy mogły spokojnie pogadać.

Millie obeszła ladę, częstując się po drodze kruchym ciastkiem, zdjęła płaszcz i od razu zapaliła papierosa.

- Widziałaś te dwie ciotki-klotki? - mruknęła wskazując ruchem głowy siostry Crawley. - Takie "e, a" jakby przyszły prosto z jakiego pałacu!

Postawiła krzesło obok tylnych drzwi i uchyliła je nieco, żeby wydmuchiwać dym na podwórko. Do kuchni wdarł się lodowaty przeciąg, momentalnie wymiatając z niej całe ciepło. Daniel przygryzł wargi, żeby się nie odezwać. Millie, skądinąd niezawodna śmieszka, miała jednak choleryczny temperament.

- Planujesz remont? - Sięgnęła po leżące na stole pismo.

- Najwyższa pora, że tak powiem. - Pokazała język odwróconemu tyłem Danielowi, oblizała palec i zaczęła przewracać kartki. - Zdecydowałaś się już na kolor?

- Jeszcze się zastanawiam.

- Nic tak nie podnosi człowieka na duchu, jak zapach świeżej farby. No nie, ja dziękuję! Zgniła zieleń i fiolet na sąsiednich ścianach! Widziałaś kiedyś coś takiego? Mój Jack zna się na stolarce, więc mógłby ci trochę pomóc.

Daniel, skupiony na mieszaniu jaj, prychnął i mruknął coś pod nosem. Pomysł, że ten niedźwiedź Jack Mortimer miałby szaleć z młotkiem po jego ukochanej herbaciarni, zirytował go w naj wyższym stopniu. Wręczył Penny drewnianą łyżkę i wyszedł do sali, żeby obsłużyć grupę głodnych robotników.

- Co tam burczał ten twój chłop? - spytała Millie. - Jak go znam, pewnie "Szkoda pieniędzy". Oj, Penny, Penny, coś ty w nim widziała? - Mówiła szeptem, ale widać było, że jest zła.

Penny uśmiechnęła się do swoich myśli.

- Kiedy go pierwszy raz zobaczyłam, myślałam, że zemdleję, tak mocno biło mi serce. Miał tyle blasku w oczach ... - Sięgnęła po podgrzany talerz.

- Dziewczyno, kiedy ty dorośniesz! Błask w oczach, też mi coś! Mężczyzna to nie lampka choinkowa, wiesz? I nie służy do ozdoby. Naprawdę mogłaś lepiej ułożyć sobie życie.

- Tego człowiek nigdy nie wie na pewno - odparła Penny, wychodząc z jajecznicą dla starszych pań.

Daniel wziął z lady listę zakupów i oznajmił, że idzie do warzywniaka.

- Właśnie myślałam o tej wróżce z Donegalu - rzekła Penny, wróciwszy do kuchni. - Pamiętasz naszą wakacyjną wycieczkę? Sześć dziewczyn w maleńkim domku na plaży! Ależ było śmiesznie! Pamiętasz? - Nastawiła czajnik.

- Jak mogłabym zapomnieć? - uśmiechnęła się Millie.

- Omal nie zamarzyłyśmy tam na śmierć. Miałyśmy same letnie rzeczy. Wzięłam sześć opalaczy i tylko jeden sweter. Powinnaś była zrobić dokładnie na odwrót. Sionna McAleer zakochała się do szaleństwa w chłopaku, który kasował za wstęp na dyskotekę. Takim krótko ostrzyżonym z blizną

na szyi, pamiętasz?

- Jasne! Zarzekała się, że n a p r a w d ę pękło jej serce, kiedy nie chciał umówić się z nią na randkę. Co się z nią teraz dzieje? - Wyszła za lekarza specjalistę z North Down. Mieszka w willi z ogrodem wielkim jak park miejski.

- A więc serce dało się wyleczyć. - Penny naląła wrzątku do imbryka. - Tak czy owak, pamiętasz, co mówiła wróżka? Ze niebawem poznam wysokiego mężczyznę w ciemnym miejscu nad wodą, że będzie miał niebieskie oczy i będzie znał moje imię, zanim mu je powiem. To było takie romantyczne! Zważ, że miałam dopiero siedemnaście lat. I zaraz po powrocie poznałam Daniela.

- Błagam cię, Penny, nie wygaduj bzdur! Ta twoja wróżka mówiła to każdej dziewczynie. - Millie była realistką. - To było nad morzem, wszędzie była woda i mnóstwo nieznanomych mężczyzn. - Mrużąc oczy bacznie przyjrzała się Penny. - Ciekawe, czy dziś dałabyś się jej tak ogłupić?

Penny usiadła przy stole i zaczęła nalewać herbatę.

- Zwariowałaś? Jasne, że nie. Mam trzydzieści pięć lat.

I wcale nie uważam, że spotkanie mężczyzny w klubie koło portu jest aż tak niezwykle. Znał moje imię, bo miałam je wypisane na naszyjniku. Zresztą mnóstwo ludzi ma niebieskie oczy. - Penny zawahała się. - A jednak ... Może rzeczywiście zobaczyła przyszłość? Ostatecznie po tylu latach wciąż jesteśmy razem.

Czasem ją samą nachodziły wątpliwości. Czy naprawdę przyjęła nagłe oświadczenia Daniela tylko pod wpływem bajdurzenia wróżki?

- Niech Bóg ma cię w swojej opiece. - Millie była pewna, że tak się właśnie stało. Penny mogła mieć każdego mężczyznę, jakiego by sobie zamarzyła. Śliczna dziewczyna, do tego jedyna córka właściciela dobrze prosperującej firmy. Nie musiała wyjść za pierwszego samca, jaki się nawinął! - Ten twój chłop ma obsesję na punkcie kuchni - podjęła. - To nie jest normalne, jak on się pieści z tymi cholernymi ciastkami! Gdybym ja miała twoje pieniądze, sprzedałabym knajpę w czorta i przeniosła się do jakiegoś kurortu. I żyła z odsetek. Do licha, należy ci się odpoczynek! Po co się zapracowujesz, kiedy mogłabyś żyć wygodnie? Ja tego nie rozumiem.

- Mały apartament w Hiszpanii, co, Millie? - zaśmiała się Penny unosząc filiżankę do ust.

- A i owszem. - Millie wyrzuciła niedopałek za drzwi i natychmiast zapaliła następnego papierosa. - Odwiedzalibyśmy cię z Jackiem i dziećmi, żebyś nie czuła się samotna.

- To wszystko brzmi bardzo atrakcyjnie i pewnie byłoby nas na to stać, ale nie umiałabym się rozstać z herbaciarnią - odparła

bez wahania Penny. - Tu się wychowałam. Wiem, że to głupie, ale czuję się związana z firmą. Tu jest moje miejsce.

Milly wzniosła oczy ku niebu. Stara śpiewka. Belfastczycy dzielą się na tych, którzy wychodzą ze skóry, by zamieszkać gdzie indziej, i tych, którzy za skarby nie wyjadą z miasta. A zresztą Penny jest jak wosk w rękach Daniela. Nie robi nic bez jego zgody. Millie postanowiła zmienić temat.

- Jack zaczyna tyć - westchnęła. - Za dużo piwa i frytek.

Problem polega na tym, że nie mogę mu tego powiedzieć wprost. Jest bardzo drażliwy na punkcie swojej urody. Poradź mi, jak mam go nakłonić do odchudzania nie wspominając o tuszy?

- Bardzo łatwo - oświadczyła Penny po krótkim namyśle.

- Musi zobaczyć siebie tak, jak ty go widzisz. Już ci mówię, co powinnaś zrobić: pomalować łazienkę na śnieżną biel i powiesić w niej największe lustro, jakie zdołasz znaleźć. Co najmniej metr na dwa. I wkręcić na suficie dwustuwatową żarówkę. Ilekroć Jack będzie brał prysznic, ujrzy swoje odbicie w pełnej krasie. A kiedy ci powie, że musi przejść na dietę, udasz zaskoczoną i powiesz mu, że nie ma potrzeby.

- Penny, jesteś genialna! Zrobię to jutro ~ samego rana. Mają takie duże lustra w tym sklepie z wymyślnymi meblami przy Dublin Road.

- Ploteczki przy herbatce? - mruknął Daniel wchodząc z sali jadalnej do kuchni. - Nie uwierzycie, jak podrożała sałata. Trzydzieści pięć pensów! I to nie lodowa, a zwykła. Dosłownie kilka wątych listków! To rozbój w biały dzień! Gdybym miał większy ogród, siałbym własną.

- Nie wątpię - mruknęła pod nosem Millie.

Daniel położył zakupy na blacie. Obie kobiety podniosły na niego wzrok.

- Mieliliśmy jakichś klientów, kiedy mnie nie było? - spytał, patrząc wymownie na Millie, która właśnie dolewała sobie herbaty. Ta zignorowała go i sięgnęła po kanapkę z indykiem.

Penny z góry wiedziała, że po wyjściu Millie Daniel spyta ją, czy Millie zapłaciła za kanapkę, choć wiadomo było, że nigdy nie płaci.

- Nikogo nie było - odparła, wyjmując z szafki trzecią filiżankę.

Daniel zabrał herbatę do sali jadalnej i wypił ją przy kontuarze.

Potem zaczął układać świeżo upieczone muffinki w wiklinowym koszyku. Wtulone w czystą żółtą serwetkę wyglądały bardzo kusząco, mimo że Penny przesadziła z nadzieniem i trochę wyciekło na boki.

- Foremki *się* umazały - powiedział niby do siebie.

Obie panie wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Millie postukała *się* w bok głowy dwoma palcami, w których trzymała papierosa; na ramię spadł jej słupek popiołu. Była zdania, że Daniel Stanley to wariat. Mężczyźni powinni *się* interesować boksem, piłką nożną, mechaniką samochodową i polityką. Ta obsesja na punkcie cukiernictwa jest po prostu śmieszna. Penny uśmiechnęła *się* ponuro. Sama miała serdecznie dość Daniela, ale nie przyznałaby się do tego przyjaciółce.

Millie zaciągnęła *się* głęboko i wyrzuciła papierosa na podwórkę.

- Lecę - oznajmiła, sięgając po płaszcz. - Idę do fryzjera ufarbować odrosty. Moja lepsza połowa zabiera mnie dziś na kolację, muszę jakoś wyglądać. - Włożyła płaszcz. - Pa! - i już jej nie było.

- Cześć - westchnęła Penny. Jack Mortimer może i przybierał na wadze, lecz sumiennie wypełniał obowiązki małżeńskie. Co z tego, że nosił tatuaże i śmierdział olejem silnikowym? Gdy zgasty światła, bywał bardzo namiętny. Prawdziwy Romeo, mówiła Millie. Czasem, gdy lekko wstawieni wracali z pubu, padał przed nią na kolana i wyśpiewywał serenady, ile sił w płucach. Nie dbał o to, że sąsiedzi walą w ściany. Całował Millie w podeszwy małych stópek, sunąc coraz wyżej aż do jej roześmianych ust. Był dobrym kochankiem. Na dowód tego Mortimerowie mieli szóstkę hałaśliwych dzieci.

Mężczyzna, który od siedemnastu lat był mężem Penny, bardziej emocjonował się sernikiem niż ciałem swojej żony. W ciągu tych wszystkich lat nigdy - tak, nigdy! - nie wykazał *się* w sypialni czymś ponadprzeciętnym. Nigdy nie zdarzyło im się zbudzić sąsiadów. W początkowym okresie małżeństwa całowali się czule i tańczyli mocno do siebie przytuleni. Ale kiedy wracali do domu, do łóżka, akt miłosny był krótki i zadziwiająco chłodny. Penny miała ochotę się komuś zwierzyć, lecz nie potrafiła. Trudno mówić o tak intymnych sprawach nawet najlepszej przyjaciółce.

Daniel i Penny nigdy nie rozbierali się w tym samym pokoju.

Nie wiedzieć kiedy weszło im w nawyk przebieganie się w łazience. Skoro prosty spawacz Jack Mortimer mógł całować rozstępny na brzuchu swojej żony, a nawet jej spalone trwałą ondulacją włosy i śmierzące nikotyną usta, to czego u licha mógł się brzydzić Daniel? Penny miała ładną figurę, wszystkie niezbędne krągłości i jedwabistą skórę. Miała kuse koszulki, zmysłowe perfumy i nieskazitelnie pomalowane paznokcie u nóg. Pomimo to Daniel wychodził z łazienki w pasiastej piżamie, włożył pod koldrę i otwierał najnowszą książkę kucharską. Równie dobrze mogliby spać w osobnych łóżkach.

Penny zaczytywała się groszowymi romansami, a gdy czasem udało jej *się* skłonić męża do zbliżenia, była rozczarowana jego miernym zaangażowaniem. Gdzie desperackie zdzieranie przyodziewku, o którym pisano w powieściach? Dlaczego nie tulił jej do siebie w ciemnościach i nie szeptał, że gdyby przestała go kochać, jego życie straciłoby sens? Dlaczego nie pożałował jej w niestandardowych porach albo miejscach? Jack i Millie kochali *się* kiedyś na wydmach przy Portstewart Strand, dosłownie o krok od dróżki, którą przechodziły wycieczki parafialne. Albo i powieści, i Millie kłamały, albo w małżeństwie Penny było coś nie tak ...

A to, że Daniel nie chciał słyszeć o dziecku? Ilekroć Penny poruszała ten temat, ucinał, że nie mają dość czasu i pieniędzy. I że są za starzy na szkołę rodzenia. Gdyby Millie *się* o tym dowiedziała, zawlokłaby Penny do najbliższego adwokata i sama wypełniła za nią pozew o rozwód. Lecz było już za późno, żeby prosić o pomoc. Zresztą Penny prędzej zapadłaby *się* pod ziemię, niż zdradziła komukolwiek, jak wygląda ich życie w gniazdku nad herbaciarnią. Powtarzała więc wersję oficjalną: nie ma czasu na dzieci.

Sytuacja wprost prosiła się o nagłówek w brukowej prasie: "MAŁŻEŃSTWO W BELFAŚCIE - NAMIĘTNOŚCI WYZWAŁA KUCHNIA, NIE SYPIALNIA".

Penny dołała sobie herbaty i zaczęła snuć plany.

Po pierwsze: jest przemęczona. Zaczyna pracę o wpół do siódmej rano, a kończy ją grubo po dziewiątej wieczorem. Jak można tak długo tyrać? Na litość boską, prawie nie wychodzi na dwór! To Daniel zanosił wieczorem utarg do banku i w ogóle on zajmował się finansami, ale Penny wiedziała, że stać ich na personel i nie muszą doprawdy wszystkiego robić sami. Mówiąc ściślej, Penny mogłaby w ogóle nie pracować. Zastąpiłyby ją dwie kelnerki. A przynajmniej sprzątaczką. Kto to widział, żeby właścicielka firmy myła podłogi? Wstyd, ot co!

Widok Daniela w kuchni zaczynał ją wprawiać we wściekłość.

Był - jak to się nazywa? - o, pracoholikiem. Musi mu podsunąć myśl, żeby część ciastek kupować w piekarni, tak jak to dawniej robił ojciec Penny, pan Muldoon. To ich trochę odciąży. I zamykać

bar o jakiejś przyzwoitej porze. To co, że ludzie jedzą jeszcze po zamknięciu kin? Wiedziała, że walka nie będzie łatwa. Musi zebrać się na odwagę, nim w ogóle wystąpi z tak bluźnierczym pomysłem.

Drzwi herbaciarni otworzyły się gwałtownie i do środka wpadła grupa niechlujnych uczniów, rozsiewając wokół teczek i kije do hokeja. Przy ladzie utworzył się chaotyczny ogonek po kanapki, rogaliki i kruche paluszki, które bez wątplenia zostaną zjedzone jeszcze w drodze do szkoły. Penny patrzyła na młode twarzyczki i zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie miała własne dziecko, o które będzie się troszczyć i martwić. Tych malców można by odprasować i uczesać, ale przynajmniej mieli zdrowe apetyty. Lada opustoszała w jednej chwili, dzieci pognały na lekcje, a Penny otarła łzę i wzięła się do pucowania usianej śladami małych palców witryny.

Rozciąła kolejną partię bułek, nałożyła do nich tuńczyka z puszki, hojnie polała domowym majonezem i posypała szczypiorkiem. Następnie wytarła stoły, dosypała cukru do cukierniczek i zmyła naczynia marząc o nowoczesnej kuchni ze zmywarką pełną pięknej porcelany. Zamiotła podłogę, wydlubała zdechłe muchy z siatki w kuchennych drzwiach, a następnie wyniosła śmieci, wciąż mając przed oczyma fantazyjnie strzyżone krzewy i miękkie białe sofy zarzucone ozdobnymi poduszkami.

### 3. BRENDA BROWN, ARTYSTKA

Dobiegła dziewiąta; bar zaczął wypełniać się klientami. Siostry Crawley pozbierały nareszcie swoje puszki i nalepki i udały się w dalszą drogę ku zbawieniu świata. Chwilę później do baru weszła ciut niedbale odziana młoda kobieta w wysokich, pomazanych farbą botkach. Zamówiła herbatę. Odrzuciła z oczu czarną długą grzywkę i wręczyła Danielowi dokładnie odliczoną w drobnych sumę. (Crawleyówny nieraz się zastanawiały, po co młoda dama tak drastycznie strzyże tył głowy, skoro czterocalowa grzywka zasłaniająca całą twarz. Ale obiekt ich krytyki pospiesznie pałaszował głodowe porcje i spijał herbatę nie dostrzegając zgorszonych spojrzeń.)

- Nie, dziękuję za grzanekę - odparła na pytanie Daniela.

- Może da się pani skusić najajka sadzone po ulstersku? Ekologiczne wiejskie jajka, a do nich pyszny chlebek na sodzie ... - Nie, dziękuję. Nie jestem głodna.

Była głodna, ale na posiłek nie pozwalał skromny stan funduszy - zasiłek dla bezrobotnych miał wpłynąć na jej konto dopiero nazajutrz.

Daniel pokręcił głową. I jak tu się dziwić, że utarg bywa tak mizerny? Miał tylko nadzieję, że smuga niebieskiej olejnej farby na dzinsach dziewczyny jest sucha. Starym krzesłom niepotrzebne były nowe plamy.

Młoda osoba nazywała się Brenda Brown; była stałą klientką, mieszkała zresztą tuż obok w maleńkiej kawalerce. Siadywała sama przy stoliku obok lady, nosiła słuchawki walkmana na uszach i nigdy nie widziano jej w męskim towarzystwie. Często pisała długie listy na czerwonym papierze: Używała złotego flamastra, a koperty też zawsze były czerwone. Ponadto mówiła do siebie. Słowem, miała kilka drobnych dziwactw.

Brenda poświęciła się Sztuce i w konsekwencji zawsze była bez grosza. Jej matka o Sztuce nie miała pojęcia, chciała jednak pomóc swemu głodującemu dziecku. Jako bywalczyni giełd staroci i wszelkiej maści pchlich targów niejednokrotnie ofiarowała się upłynnić obrazy Brendy na jednej z takich imprez. Fakt, malowidła były nieco dziwne: pełne ludzi o niebieskich twarzach i za dużych oczach pełnych łez. W tle burzowe chmury, staroświeckie okna o popękanych szybach i stada czarnych ptaków wśród bezlistnych drzew. Niektórzy ludzie jednak kupią wszystko. Giełdy mają swój specyficzny urok. Przyciągają amatorów dziwactw. Na pewno byłaby w stanie opchnąć parę obrazków.

Ale Brenda nie chciała, by jej wielki talent pospolitował się wśród gratów na wietrznych parkingach. Obraz to nie tylko coś, co się wieszka na ścianie, powtarzała wciąż matce. To nie coś, co ma pasować do dywanu. Obraz to dzieło Sztuki - Sztuki Pięknej. Należy go wystawić w porządnej galerii, zaoferować wrażliwym ludziom o wyrobionym Smaku, którzy mieszkają w domach o gładkich białych ścianach. Wszystko inne byłoby rozmięciem się na drobne. Gdyby zależało jej tylko na tym, by coś sprzedać, zaczęłyby produkować akwarelowe widoczki uroczych irlandzkich chaterek lub słonecznych plaż, byłaby miła i grzeczna dla wszystkich i prędzej by umarła, niż nazwała się artystką.

- Zastanów się - namawiała ją matka, odwiedzając Brendę w jej maleńkim mieszkanku. Pod każdą ścianą, w każdym kącie i przejściu piętrzyły się pomalowane płótna. Trudno było się między nimi precyzyjnie przesuwać, a cóż dopiero wjechać odkurzaczem. Dziewczyna mająca dwadzieścia cztery lata,



myślała pani Brown; czas, by zaczęła przyzwyczajenie zarabiać. Ona sama czerpała znacznie *większe* dochody z handlu starociami niż Brenda ze swojej Sztuki. Ścisłej mówiąc, Brenda nie uzyskała jeszcze ze Sztuki ani grosza, o ile jej było wiadomo.

- Pieniądz zawsze *się* przyda, a 'tu zdałoby *się trochę* posprzątać - stwierdziła potknawszy *się* o niewielkie płótno zatytułowane "Czekam na miłość".

Brenda westchnęła. Często wzdychała podczas odwiedzin matki. Nieraz zastanawiała *się*, jakim cudem jej rodzice, dwoje fanów Elvise, którzy nigdy nie otarli *się* o wyższą *kulturę*, zdołali spłodzić tak utalentowaną *artystkę* jak ona. I do tego w Belfaście. Co innego Donegal lub Dublin. Takie korzenie były dobrze widziane. Celtyckie krajobrazy jakby wprost z ulotek biur turystycznych, James Joyce i cała reszta piszący wiersze w zadymionych, cuchnących portierem pubach. Ciekawe, czy Bono i Enya zrobiliby karierę, gdyby pochodzili z jakiejś wiochy w hrabstwie Tyrone, o której nikt nigdy nie słyszał? Albo nosili upiorne nazwiska typu Maisie Hegarty albo Francis Magroarty?

Chociaż z drugiej strony ... Liam Neeson urodził *się* w Ballymenie, niedaleko Belfastu. (C h y b a niedaleko - Brenda nigdy tam nie była i nie dałaby głowy, gdzie konkretnie znajduje *się* Ballymena.) A jednak, mimo skromnego pochodzenia i *pospolitego* nazwiska, zdobył światową *sławę*. (Cóż, nie ma reguły bez wyjątków.) Brenda postanowiła wybrać *się* w wolnej chwili do Ballymeny - może w ratuszu jest wystawa ku czci gwiazdora albo tablica na ścianie domu, w którym *się* wychował. Może chodząc tymi samymi ulicami "zarazi *się*" charyzmą i szczęściem Neesona. Brenda była przesadna, wierzyła w dziwne prawa rządzące ludzkim losem.

Uparcie twierdziła, że to nazwisko i nieatrakcyjne miejsce urodzenia przeszkadzają jej w karierze. Pierwszy lepszy arystokrata już na starcie zyskiwał znaczną *przewagę* nad biedakami takimi jak Brenda. Odkąd skończyła studia, minęły dwa lata - dwa lata pracy przy tworzeniu znakomitych dzieł, w których uwieczniła miłość i rozstanie, pokój i *wojnę*, życie i śmierć. Ścisłej mówiąc, głównie śmierć. Siedziała tygodniami nad każdym obrazem, pieczołowicie wykańczała każdy detal, mieszała na palcu setki różnych odcieni błękitu. Długo rozmyślała, chcąc nadać swym dziełom znaczące tytuły. Niestety, nikt *się* na nich nie poznał. Wszystkie bez wyjątku galerie sztuki Irlandii Północnej odrzuciły jej prace. Nie ma sprawiedliwości na świecie.

Brenda na ogół nie zauważała plam farby na ubraniu, a myśląc O *następnym* obrazie zwykle mówiła sama do siebie. Być artystką, znaczy być człowiekiem samotnym. Rówieśnice Brendy interesowały *się* wyłącznie odpowiednimi kandydatami na *mężów*, nieodpowiednimi kandydatami na kochanków, podróżami po świecie, modnymi samochodami i awansem społecznym. Nie dostrzegały powagi spraw, które zaprzętały *Brendę*. Godzinami siedziała sama w mieszkaniu dumając nad złożonością świata i ludzkości. Na przykład: gdyby Vincent van Gogh żył współcześnie i sumiennie zażywał antydepresanty, czy dorobiłby *się* fortuny? Czy też jego obrazy ceniono dziś tylko dlatego, że zastrzelił *się* na polu zboża pełnym wron? (Brenda nie pragnęła sławy aż t a k bardzo.)

A gdyby zamiast polityków światem rządzili poeci i malarze, czy byłby on lepszy? Czy gorszy? A może ziemia jest po prostu skazana na wieczne borykanie *się* z wojną i głodem?

Czy istnieje Bóg? Jeśli istnieje, dlaczego pozwala na tyle krzywd? I dlaczego nie jest kobietą?

Co dziwne, nikt ze znajomych Brendy nie podzielał jej obaw w związku z *pedem* do zła i samozagłady wpisanym w *naturę* ludzką. Koledzy ze studiów nieraz udawali, że nie poznają jej na ulicy. Zwykle na jej widok znikali w najbliższym sklepie. Ledwie tydzień temu widziała Emily Shadwick wchodzącą pospiesznie do optyka - Emily, która ma doskonały wzrok! Brenda doskonale znała *przyczynę*, ale nawet nie czuła *się* dotknięta. Ona też nie miała ochoty rozmawiać z Emily, zwłaszcza że z góry wiedziała, co usłyszy: Emily zmiata pył spod jego stóp, mieszka z nim, sypia z nim, płaci czynsz, skacze wokół niego na tylnych łapkach, a ten drań wciąż nie chce *się* żenić. Gdyby Brenda miała jeszcze raz wysłuchać ponurej historii ich antyromansu, niechybnie skończyłaby wałąc głową w ścianę na oddziale psychiatrycznym. Biedna Emily, szczytem szczęścia był dla niej bukiet kwiatów za 2,99. W tym właśnie problem z większością dziewcząt: zamiast mózgow mają zwoje białego tiulu. Już lepiej żyć samotnie.

Brenda nie miała bratniej duszy, z którą mogłaby pogadać, i dlatego tak często mówiła do siebie. Lubiła dżin z tonikiem; czasem skacowana wchodziła do Muldoona przeliczając drobne monety na dłoni. Daniel witał ją podejrzliwie, nie spuszczać oka z kasy, ale Penny ją lubiła. Brenda zdawała *się* poszukiwać piękna w tym szarym, przemoczonym deszczem mieście; była to postawa, z którą Penny śmiało mogła *się* utożsamić. Kiedy Daniel nie patrzył, podsuwała Brendzie kanapkę albo dolewała herbaty i uśmiechała *się* do niej, gdy dziewczyna podnosiła wzrok znad listu. Jeśli Brenda kogokolwiek mogłaby określić mianem przyjaciela, to ową osobą była właśnie Penny.

Penny często *się* zastanawiała, kto jest adresatem tajemniczych czerwonych listów, ale była za

dobrze wychowana, aby spytać wprost. Któregoś jednak dnia, gdy ścierała stoliki, zobaczyła adres. Ucięły sobie wtedy długą pogawędkę nad cappuccino i ciastem orzechowym (na koszt firmy). Mądrzejsza kobieta powiedziałaby Brendzie, żeby wróciła do rzeczywistości, lub dosadniej - żeby stuknęła się w łeb. I nie marnowała sobie życia. Ale Penny sama była trochę marzycielką. Brenda kochała się w Nicolasie Cage'u, aktorze. Od lat pisała doń listy miłosne, choć żadnego z nich nigdy nie wysłała. Ot, takie romantyczne bzdurki: że chciałaby z nim spacerować zimą ulicami Paryża, delikatnie całować jego wargi w zawierusze białych płatków (oboje mieliby na sobie długie czarne płaszcze). Sfotografowałaby go na cmentarzu Pere Lachaise (na zdjęciu patrzyłby w niebo i myślał o czymś wzniosłym). A potem piliby gorącą, mocną kawę w obskurnym barze gdzieś w zaułku (gdzie nie docierają paparazzi), trzymając się za ręce. I tym podobne. Przechowywała listy w pudełku po butach wsuniętym pod łóżko w jej mieszkanku. Było ich już dziewięćdziesiąt dwa, wszystkie opatrzone znaczkami i gotowe do wysyłki.

Listy te stały się częścią pracy dyplomowej Brendy w roku 1997, choć wtedy czerwonych kopert było tylko pięćdziesiąt cztery. Brenda związała je w pęczek cienkim drutem i umieściła na poduszce z żyletek. Kompozycja nosiła tytuł "Serce łatwo zranić". Promotor Brendy był pełen podziwu. Otrzymała najwyższą ocenę i mnóstwo pochwał od dziekana, ale niestety żadnych ofert. Teraz siedząc nad filiżanką herbaty Brenda zaczerpnęła głęboki oddech, rozluźniła nadgarstek prawej ręki i zaczęła pisać:

5 stycznia 1999 r.

*Drogi Nicolasie!*

*Mam nadzieję, że mój list zastanie Cię w dobrym zdrowiu. Widziałam Cię w "Dzikości serca" na przeglądzie Twoich filmów w kinoteatrze Queen's College i było to najbardziej ekscytujące doznanie w moim życiu. Wyglądałeś cudownie w tej kurtce z wężowej skóry, a palenie dwóch papierosów naraz ... Kultowa scena!*

*Nigdy nie byłam za granicą, ale moi rodzice mieli kiedyś przyczepę kempingową. Co roku parkowali ją w Donegalu. Jedząc obiad z puszki na składanym stoliku patrzyliśmy na Atlantyki. Nie wiedziałam wtedy, że Ty jesteś tam, na drugim brzegu.*

*Wracając do filmu: w "Dzikości serca" już widać, że będziesz gwiazdą. Scena, w której zabijasz tego gościa gołymi rękami. . .!*

*robiłeś to z taką niesamowitą KLASĄ. Na co dzień jestem pacyfistką, rozumiesz? Pochodzę z Belfastu, muszę więc wyjaśnić tę kwestię już na wstępie. Nie znoszę przemocy pod żadną postacią, chyba że jest to wysmakowane dzieło sztuki filmowej.*

*Laura Dem też była dobra - jak ukrywa Cię przed policją i wiezie tą starą furgonetką przez granicę stanu. Głośny rock z odtwarzacza samochodowego i Wasz taniec na pustyni. Cudowny film!*

*Moi rodzice mieli skorodowanego vauxhalla cavaliere kupionego z drugiej ręki. Jeździliśmy nim do Bundoranu: Mama, Tato, ja i moje dwie siostry. Przez całą drogę słuchaliśmy rock and rolla, głównie Elvisa. I śpiewaliśmy razem "In the Gheuo". Gdyby jeszcze samochód miał rozsuwany dach, przez który przelatywałoby nas słońce ... Prawda jednak jest taka, że zwykle było pochmurno - jeśli nie lało. Większość czasu spędziliśmy w restauracji Bon Tuck w Bundoranie, zającując hamburgery wielkości talerzy. (Podobno teraz robią znacznie mniejsze.)*

*Podobał mi się "Wpływ księżycy", zwłaszcza gdy jednoręki, w smokingu, szedł do opery z Cher. Uwielbiam Cię w tej roli melancholijnego piekarza. Praca i cierpienie. Taki jest i mój los (jestem malarką). Możesz mnie obtoczyć w mące - kiedy tylko zechcesz (oczywi.'J'cie żartowałam).*

*Proszę, przyslij mi zdjęcie z autografem. Załuję, że mam takie pospolite nazwisko.*

*Piszę do Ciebie w herbaciarni Muldoona przy ulicy Morwowej. To spokojny lokal, a dosłownie tuż za drzwiami jest skrzynka pocztowa.*

*Proszę, odpisz. Jestem Twoją gorącą wielbicieleką.*

*Oddana Brenda Brown*

Brenda złożyła list, ucałowała go i wsunęła do sztywnej czerwonej koperty (25 pensów sztuka). Napisała na niej: *Pan Nicolas Cage, Aktor, Hollywood, USA*. Następnie przylepiła kilka znaczków i czule przytuliła kopertę do policzka.

- Kocham cię, Brendo Brown z Belfastu - szepnęła udając amerykański akcent.

W tej samej chwili z kuchni wyszła Penny niosąc na tacy czyste filiżanki i spodki.

- Znów do niego piszesz? Na twoim miejscu wrzuciłabym jednak ten list do skrzynki. Nie będziesz żyła wiecznie; on też nie. Wiesz, że zaczyna łysieć? Widziałam jego zdjęcie w jakimś piśmie. Wszyscy zdążymy się zestarzeć, zanim zdarzy się tu cokolwiek ciekawego!

Brenda osłupiała. Skąd u cichej i łagodnej Penny tak mocne słowa? I ten dziwny błysk w oku, który

zaniepokoił Brendę. Czy to znak?

Brenda wierzyła w znaki. Zerwała się z krzesła, jak bomba wypadła na ulicę i wepchnęła list do skrzynki. W tejże chwili pożałowała swego czynu. Zajrzała przez szparę, ale było już za późno. List zniknął w mrocznym wnętrzu, stanowił teraz własność poczty.

Na uginających się nogach wróciła do środka i opadła na krzesło. Herbata wystygła. Brenda zerknęła z nadzieją w stronę lady. Penny zwykle jej dolewała, ale dziś nie miała szczęścia - za ladą sterczał Daniel z marszem skupienia na czole. Ciął na plastry wielki placek z kolorowym lukrem. Brenda zaczęła delikatnie oddychać, żeby opanować panikę.

O dziesiątej przyjdzie listonosz, by opróżnić skrzynkę.

#### 4. DYLEMAT HENRY'EGO BLACKSTAFFA

Mijając się w drzwiach z Brendą, Henry Blackstaff odruchowo uśmiechnął się do dziewczyny, lecz ta była pogrążona w myślach. Ruszył więc dalej, kierując się do swego ulubionego stolika przy oknie. Daniel w okamgnieniu znalazł się przy nim i z dużą ulgą przyjął solidne zamówienie na podwójną ulsterską zapiekankę z dodatkowym chlebem i dzbanek kawy. Przyniósł sztucce, zamasztył gestem ułożył je na stole (stary napiwkodajny nawyk z hotelu Imperial).

Henry wyjął z kieszeni świeży numer "The Guardian", rozpostarł go przed sobą i zaczął czytać. Był czterdziestojednoletnim niespełnionym pisarzem; dni spędzał za dużym biurkiem w antykwariacie przy Great Victoria Street. Sklep, dom i sporą sumę pieniędzy dostał w spadku po wuju Bertiem Blackstaffie, który dorobił się fortuny na budowie kolei. Zmarł bezpotomnie, dzięki czemu Henry mógł siedzieć w sklepie pisząc kiepskie powieści i nie martwić się, czy coś sprzeda. Miał święty spokój i dobrze mu się działo. Potem poznał Aurorę.

Aurora weszła pewnego dnia do antykwariatu w poszukiwaniu pierwszego wydania "Jane Eyre" albo autografu Karola Dickensa. Zamiast nich znalazła Henry'ego. Była to miłość .od pierwszego wejrzenia.

Aurora Blackstaff nosiła długie jasne włosy spięte w kok i kwieciste sukienki. Poświęciła życie wykorzenianiu gwary i propagowaniu klasycznej dziewiętnastowiecznej literatury angielskiej. Od ćwierci wieku wykładała w renomowanej szkole dla dziewcząt, gdzie co roku we wrześniu przyjmowano tylko najzdolniejsze kandydatki. Doszła do stanowiska zastępczyni dyrektorki, stając się bez mała instytucją. W wolnym czasie stworzyła towarzystwo krytycznoliterackie, które nazwała Rodziną Bronte. Członkinie spotykały się dwa razy w miesiącu w domu Aurory, gdzie stłoczone w saloniku czytały i piły herbatę.

Pewnego razu, zwiedzając wraz z grupą uczennic parafię Haworth w Yorkshire, Aurora posłyszała głos Emily Bronte. Była pewna, że przemówił do niej duch pisarki ... chociaż mógł to być tylko wiatr zawadzający na wrzosowiskach. Niemniej przeżycie to wywarło wpływ na całe jej dalsze losy.

Nie mieli dzieci. Aurora, starsza od Henry'ego o lat cztery, jakoś nigdy nie znalazła na to czasu. Henry bardziej niż o potomstwie marzył o wydaniu bestsellera. Marzenie to nigdy się nie spełniło. Aurora stwierdzała nieraz, że Henry jakby zmał. Możliwe, skoro życie tak go zawiodło.

Obecnie Aurora szykowała się do wprowadzenia w życie swego najambitniejszego planu.

Zamierzała zbudować na tyłach domu olbrzymią oranżerię, w której będą się odbywać spotkania towarzystwa. Rodzina Bronte zyskiwała popularność; "The Irish News" poświęciła jej artykuł w dziale kulturalnym. Po publikacji na biurku Aurory wylądowała wcale pokaźna sterta listów.

Towarzystwo liczyło dwadzieścioro członków; o przyjęcie ubiegało się pięćdziesiąt osób. Aurora skrupulatnie przeglądała zgłoszenia. Nie życzyła sobie, by po jej wiktoriańskiej posiadłości płatali się, wyjadając ciastka i kanapki, snobi i stare panny łowiące epuzerów.

Mężczyzna, który przyszedł sporządzić kosztorys inwestycji, wywarł na Blackstaffie bardzo złe wrażenie. Lizus i tupeciarz, stwierdził w duchu Henry, mający w dodatku brzydki zwyczaj obmacywania cudzych rzeczy. Zdjął na przykład z kominka stary wazon, obejrzał sygnatury na spodzie, po czym odstawił go w inne miejsce. Henry miał ochotę pokazać mu drzwi, ale na nieszczęście "Walley - szkło z klasą" była jedyną firmą w Belfaście zdolną wykonać gigantyczne akwarium, jakie zamarzyło się Aurorze. Henry zapamiętał ten dzień w najdrobniejszych szczegółach. To wówczas całe jego dotychczasowe życie legło w gruzach.

- Nie podoba mi się ten facet. To śliski mały szarlatan - oznajmił, gdy błękitny jaguar Smitha bezgłośnie ruszył wyasfaltowanym podjazdem. - Powiedziałby wszystko, byle zdobyć kontrakt. "Czy jest pani aktorką, pani Blackstaff? Znam skądś pani twarz" ... Czyżby miał nas za idiotów?

- Barwna postać, przyznaję - zgodziła się Aurora - lecz przypuszczam, że handlowcy muszą posiadać pewien talent dramatyczny.

- Kiedy nam zdradzi, ile to będzie kosztować? To mnie interesuje bardziej niż jego sztuczki. Nie

rozumiem, dlaczego nie wynajmiecie sobie sali. Moglibyście też spotykać się w jakimś pubie, przy piwku. Tak robią inne kółka.

- Mój drogi, nie mogę prowadzić naszych spotkań w jakiejś ciemnej wyiębionej salce ani w zadymionej knajpie przy akompaniamencie pijackich wrzasków. Klimat byłby całkiem nieodpowiedni. Poza tym to nie jest kółko. To coś więcej. Towarzystwo.

- Ach, przepraszam! Towarzystwo. Elitarne, jak mniemam.

- W istocie. Potrzebuje więc godnej oprawy. Oranżeria rozwiąże wszystkie nasze problemy.

Będziemy mieli dostatecznie dużo miejsca, a ty nie będziesz musiał uciekać z domu do tej twojej herbaciarni.

- Wiesz, że ich nie trawię. Zwłaszcza pani Johnson udającej królową Wiktorię w mitenkach i tym idiotycznym czarnym: palcie.

- Przesadzasz, mój drogi. Doprawdy, chyba masz jakąś obsesję na punkcie pani Johnson. To palto, skądinąd piękne, to autentyk będący ongiś w posiadaniu królowej i rodzinny skarb Johnsonów, jak doskonale wiesz. Co do mnie, podziwiam ekscentryzm pani Johnson. Powinniśmy kiedyś wszyscy wystąpić w strojach z epoki. Przyznasz chyba, że to znakomity pomysł? A teraz, kochany, bądź aniołem i zaparz herbatę. Chcę jeszcze przed kolacją przejrzeć te broszury.

Po kolacji strasznie się pokłócili. Aurora mianowicie powiadomiła męża, że jego ukochany ogród zostanie przeryty koparką i zniknie w wykopie pod fundamenty. Dotąd Henry nie uświadamiał sobie, że oranżeria ma być aż tak wielka.

- Pan Smith mnie zapewnił - oświadczyła Aurora - że jego firma ma wieloletnie doświadczenie w bezpiecznym karczunku starych drzew. Powinieneś się cieszyć. Nie będziesz już musiał grzebać się w ziemi. Szkodzi ci to na kręgosłup.

- Ale moja szklarenka! Chyba mogłaby zostać? Mam w niej rzadkie okazy, nowe krzyżówki ...

- Dobry żart, ha, ha! Nie spodziewasz się chyba, że będę prowadziła zebrania mając za oknami tę starą rudere? Też pomysł!

- A więc wszystko już postanowione? Ja nie mam tu nic do powiedzenia? Tak po prostu wyrzucisz moje cenne rośliny?

- Te zwiędłe badyle? Ajak sądzisz? Oddaję ci przysługę, mój drogi. A, przy okazji, powinieneś zapuścić wąsy. Wyglądałbyś bardzo stylowo podając herbatę.

Henry ugryzł się w język. Jedyne słowa, które przyszły mu na myśl, przyprawiłyby Aurorę o omdlenie.

Utkwiwszy niewidzące spojrzenie w gazecie, Henry pokręcił głową. Do dziś nie mógł się uspokoić. Może istotnie jest męskim szowinistą, jak twierdzi Aurora. Może poczuł się urażony tym, iż jego żona sama podejmuje ważne decyzje i rozporządza znacznymi sumami.

Podniósł wzrok. Penny stała nad nim trzymając gorący talerz przez czystą ściereczkę. Henry złożył gazetę, czując niejakie wyrzuty sumienia, że kazał czekać tej miłej, łagodnej kobiecie. W ciągu ostatnich miesięcy nieraz gawędzili ze sobą; Penny znała sprawę Rodziny Bronte i wiedziała, jak bardzo Henry'ego to irytuje.

- Podać coś jeszcze? - spytała. Henry potrząsnął głową.

- Mmm, co za aromat! - rzekł na znak, iż docenia danie.

Sam lokal był dość obskurny, ale jedzenie mieli tu wyśmienite. Warte długiego spaceru aż z Malone Road.

- Aurora ma kolejny szaleńczy pomysł - rzekł, gdy Penny już miała odejść. - Tym razem bardzo kosztowny. Oranżeria. Wielka .oranżeria. Zniszczy mi cały ogród. Mogę mówić, co chcę, i tak nie słucha.

- Jest pan wspaniałym mężem. Naprawdę. Zazdroszczę pańskiej żonie.

Penny nie powiedziała na głos tego, co wyczytała w pewnym czasopiśmie, że rozbudowa domu jest znakiem, iż małżeństwo zaczyna się ze sobą dusić. Potrzeba mu więcej przestrzeni. Daniel twierdził, że wszystkie te atrykuły są wyssane z palca. Tym razem Penny gotowa była się z nim zgodzić. Ostatecznie cóż może być złego w pięknej oranżerii? Sama chciałaby mieć coś takiego.

Henry był mile połączony. Uwaga Penny postawiła go w innym świetle: uczyniła zeń romantycznego głupca, bogatego męża, który rozpieszcza swoją śliczną żonkę. Przyjmie taką właśnie linię postępowania. Oświadczy, że zmienił zdanie, i da Aurorze wolną rękę - niech zamówi najlepszy dostępny model. Koszt nie gra roli. Potem, kiedy trzeba będzie wypisać czek, Aurora zacznie się wahać, czy naprawdę chce wydać cały swój kapitał. Oznajmi, że się rozmyśliła, on zaś zachowa się taktownie i nie powie: "A nie mówiłem?" Razem będą się śmiać z tego pomysłu. I w domu znów zapanuje idylla.

Tak, powiedział sobie. Najdalej jutro Aurora pójdzie po rozum do głowy. Wydawanie podobnej sumy na - bądź co bądź - tylko hobby jest gorszącą ekstrawagancją. Wujkowa araukaria i inne drzewa wykarczowane dla przelotnego kaprysu? Sama Aurora przyzna, że to niedorzeczne. Uspokojony sięgnął po pieprzniczkę i doprawiwszy potrawę, zaczął jeść.

## 5. SEKRETNE ŻYCIE SADIE SMITH

Henry Blackstaff nie wiedział o tym, że kobieta, która właśnie weszła do herbaciarni, jest żoną antypatycznego sprzedawcy oranżerii, Arnolda Smitha. Na imię miała Sadie, pełniła zaś w domu Smithów funkcję naczelniej kucharki, specjalistki od sprzątania i zmywania naczyń, niańki znudzonych teściów i ogólnie - ofiary.

Upewniwszy się, że nikt nie widział jej wchodzącej do baru, Sadie zdjęła chustkę i ciemne okulary. Była na diecie, ale u Muldoona serwowano najlepszy sernik w mieście.

Dzisiaj sernik przybrany był wiśniami. Przełknęła ślinkę. Pysznił się tuż przed nią, oddzielony tylko szkłem. Olbrzymie, prawie czarne wiśnie, z których lśniący sok spływał na bladeżółte ciasto. Sadie telepatycznie wzywała obsługę, ale Daniel i Penny zajęci byli w kuchni i minęło długie jak wieczność trzydzieści sekund, zanim ktoś wreszcie podszedł do lady. Zamówiła dwa kawałki sernika, dwie duże gałki lodów waniliowych z bitą śmietaną oraz czekoladowe cappuccino.

Wyszeptala Danielowi zamówienie niczym szpieg zdradzający tajemnicę państwową. Podczas gdy Penny grzała mleko w ekspresie, Sadie usiadła w kącie, twarzą do ściany, i czekała z żołądkiem ściśniętym z niecierpliwości. Rzuciła się na sernik, jakby miał ją ocalić od śmierci głodowej. Daniel, stary podrywacz, puścił do niej oko. Znał te objawy. Najlepsze klientki to te, które się odchudzają.

Sadie odsunęła od siebie myśl o mężu. Złamała reżim diety, i to skandalicznie; Arnold byłby z niej bardzo niezadowolony. Ale Arnold się nie dowie o tej eskapadzie. Nie bywa w takich lokalach.

Schowana w kąci podupadłej knajpy mogła grzeszyć bezkarnie.

Sadie od dwóch tygodni żyła niskokaloryczną zupką i sałatą.

Była bez przerwy głodna i bez przerwy rozdrażniona. Udało jej się stracić raptem dwa nędzne funty. Rozczarowanie, jakie przeżyła, kiedy weszła na wagę, stało się bodźcem do dzisiejszej wyprawy. Teraz każda komórka w ciele Sadie odprężała się błogo, a gorąca kawa ze śmietanką całowała jej usta. Jak niegdyś Arnold, pomyślała z goryczą. Dawno, dawno temu. Zanim opętały go oranżerie, szyby zespolone i zamki przeciwwłamaniowe. Złaknione wargi Sadie rozchyliły się i pospiesznie, zachłannie zamknęły. Sernik z wiśniami topniał na języku, wypełniając jej pustą jaźń kulinarną ekstazą. Z rozkoszą przymknęła oczy. Przełknąwszy ostatni kęs, wydała głębokie westchnienie ulgi. To było fizyczne spełnienie.

W ciągu ubiegłych czterech lat Sadie próbowała wielu różnych diet, a każda z nich kończyła się haniebną klęską. Miała pełną biblioteczkę książek o żywieniu. Każda z prób zbitcia wagi przebiegała według tego samego schematu: najpierw Sadie kupowała książkę. W poniedziałek rozpoczynała dietę i przestrzegała jej skrupulatnie przez sześć dni. Podczas sobotnich zakupów ulegała ochocie na kanapkę z bekonem i sosem pomidorowym albo polewane czekoladą eklerki. Opychała się przez całe popołudnie i wieczorem szła spać pełna odrazy do siebie. W niedzielę rano chowała wagę do szafki w łazience i przez następne dwa miesiące starała się nie myśleć o swojej figurze. Potem kupowała następną książkę.

Już mając lat dwadzieścia ważyła ponad siedemdziesiąt kilo, choć była niziutka. Po dwudziestu latach odchudzania przybyło jej jeszcze ... trochę. Arnold nazywał ją Misiem Puchatkiem albo Dyńką. Nie lubiła o tym myśleć. Podobnie jak o ciągłym liczeniu kalorii i wcieraniu świeżych owoców do jogurtu. Wszędzie chodziła pieszo, dźwigała zakupy, ale i to nie pomagało. Nogi wciąż miała białe i pulchne, ciało miękko wyścielone warstwą tłuszczu. Nieustannie martwiła się, co na siebie włoży. Trudno dobrać coś, co skutecznie ukryje krótką szyję, grube kostki, kwadratowe plecy, szerokie biodra i kolana, w których robią się dołeczki.

Zerknęła na zegarek. Maurice i Daisy już dwie godziny byli sami. Pięć lat wcześniej matka Arnolda przeszła poważną operację kolana i od tego czasu teściowie mieszkali z nimi. Na pewno czekają już na lunch. Sadie podniosła się z ociąganiem, wzięła płaszcz i torebkę i podeszła do kontuaru zapłacić rachunek. Kwit kasowy wrzuciła od razu do kosza. Byстрыm oczom Arnolda nic nie umykało. W drodze do domu kupi kwiaty dla Daisy i powie, że poszła po nie specjalnie, żeby rozweselić teściową dochodzącą do siebie po przeziębieniu. Jej gastronomiczny wybryk pozostanie tajemnicą.

Na nieszczęście dla Sadie Arnold Smith też miał swoje grzeszki.

Wychodząc z herbaciarni Sadie ujrzała nagle charakterystycznego jaguara swego męża i pospiesznie cofnęła się za drzwi. Nie mogła pozwolić, żeby przyłapał ją wychodzącą z jadłodajni. (Nie uwierzy, że spożywała tam chudy jogurt!) Zerknęła ostrożnie zza żaluzji. Wypolerowany do połysku samochód sunął wolno ulicą, lśniąc w mizernym blasku zimowego słońca. Arnold Smith z uśmiechem poklepywał kolano bardzo chudej blondynki i mówił jej coś do ucha, w typowy dla siebie sposób unosząc jedną brew. (Zawsze tak robił, kiedy opowiadał sprośności.) Odwrócił głowę (jeżdżąc z Sadie nigdy nie odrywał wzroku od jezdni!) i łakomie zajrzał w dekolt swej towarzyszki. Kobieta odrzuciła głowę, zaśmiała się głośno, ukazując długie, drapieżne zęby. Potem poprawiła Arnoldowi krawat, a on chwycił jej dłoń i uniósł ją do ust. Zdumiona Sadie przycisnęła pucołowatą twarz do szyby, widząc, iż jej małżonek składa na upięścienionej dłoni towarzyszki długi pocałunek, jakby odgrywali pantomimiczną wersję "Śpiącej królowej". Potem skręcili w Camden Street i zniknęli jej z oczu.

Sadie potykając się wyszła z herbaciarni i stanęła na chodniku z rozdziawioną buzią niczym ryba wyrzucona na piasek.

Arnold Smith był Biznesmenem (przez duże "B") i Bufonem.

Sprzedawał nuworyszom przeładowane ozdóbkami oranżerie. Miał pospolitą urodę i nieco zaokrąglony brzusek, ale niedostatki swej powierzchowności nadrabiał dominującym charakterem. Kiedy Arnold był w pokoju, nikt inny nie mógł dojść do głosu. Arnold miał zdanie na każdy temat, i to zawsze słuszne. Niezależnie od tego, czy rozmowa dotyczyła polityki światowej czy smaku chleba z przemysłowych piekarni, Arnold zawsze miał rację.

Sadie jednak kochała go za wolę walki. Arnold nigdy się nie poddawał. Nie tak jak Sadie, która nie umiała nawet wytrwać na diecie. Kiedy Arnold chciał sprzedać oranżerię, parł naprzód dotąd, aż ją sprzedał. Miał dar oceny ludzi; odwoływał się do ich próżności, słabostek i kompleksów. Wmawiał im, że oranżeria rozwiąże ich wszystkie problemy i w końcu zawsze zdobywał podpis na umowie. Był arogancki, ale efektywny.

Sadie wybaczała mu arogancję, a on wybaczał jej nadwagę. Ich życie małżeńskie, nudne i przewidywalne, zaowocowało dwoma synami, którzy mieszkali teraz w Australii. Jakże im obwieści tę straszną nowinę?

Zrozpaczona stanęła na przystanku. Wsiadając do autobusu, niechcący wysypała z portmonetki wszystkie drobne. Większość poturlała się do studzienki ściekowej. Sadie nawet nie chciało się zbierać reszty. Wręczyła kierowcy funta, a gdy podał jej bilet, nie podziękowała; on też nie. Przez całą drogę do domu odsuwała od siebie myśl o Arnoldzie i jego potajemnym romansie. Jej mózg zmienił się w kawał sera - wysokokalorycznego, dojrzalego cheddara. Czuliła się gruba, głupia i przegrana. Jak automat wysiadła na właściwym przystanku, walcząc z zawrotem głowy.

Kiedy szła w stronę domu, niebiosy się otwarły i na Sadie niosącą pęk różowych goździków runęły strugi wody. Parasol zostawiła w herbaciarni. Deszcz siekł ją po oczach, kłuł w uszy. Dotarła do domu przemoczona na wylot i pogrążona w rozpacz.

## 6. DZIEJE DANIELA STANLEYA

Dzień minął w kołowrocie podawania, sprzątanego i zmywania naczyń. O siódmej lokal opustoszał, Penny i Daniel usiedli więc do kolacji w kuchni. Nie trzeba chyba mówić, że gdy Penny wyluszczyła swoje postulaty, Daniel wcale nie był zachwycony.

Cierpliwie powtórzył po wielokroć już wysuwane argumenty.

Nie uważał za dobry pomysł zatrudnienia dwóch kelnerów, żeby Penny miała więcej wolnego czasu. A na co jej wolny czas? Zyski z herbaciarni nie są przesadnie wielkie, a obywatnie się bez personelu ma olbrzymią zaletę: redukuje koszty.

I wtedy padła bomba: Penny chce mieć dziecko, zanim będzie za późno.

Daniel był wstrząśnięty. Nie spodziewał się, że jego żona wciąż się nosi z tym zamiarem. Myślał, że już o nim zapomniła, że odpowiada jej życie z Danielem i firmą.

Nie zdoła równocześnie prowadzić herbaciarni i zajmować się dzieckiem. Zresztą nie stać ich na to. Ponadto nie mając dzieci oszczędzają sobie wielu kłopotów i zmartwień: nieprzespanych nocy, ząbkowania, raczkowania, walenia dziecka po plecach dotąd, aż wypluje to, co połknęło ...

- Ciekawe, skąd tyle wiesz o dzieciach, skoro nigdy nie chciałeś mieć własnych? - wpadła mu w słowo Penny.

- Słyszałem, co opowiadała Millie. Te jej bachory są straszne. Wystarczy się na chwilę odwrócić, a już nabijają sobie guzy albo łamią kończyny.

- Ależ dzieci są małe tylko przez krótki czas! Potem rosną, są coraz mądrzejsze ...

- Tym gorzej. Trzeba im szukać dobrych szkół. A one biją się z kolegami i niszczą odzież. I nie

chęć odrabiać lekcji, a kiedy wchodzi w okres dojrzewania, zupełnie wymykają się spod kontroli.

- Pleciesz bzdury! Powinieneś sam siebie posłuchać: mówisz jak siostry Crawley. Nasze dziecko nie będzie takie. Będziemy je kochać i wychowamy na dobrego człowieka.

- W życiu nic nie jest pewne, Penny. Skąd wiesz, że potem nie zmienisz zdania i nie zatęsknisz do czasów, kiedy byliśmy tylko we dwoje?

- Bo po prostu wiem, że będę je kochać, choćby nie wiem co.

- To, co mówisz, nie ma za grosz sensu.

- Ma znacznie więcej sensu niż twoje deklaracje, że wolisz obsługiwać obcych, niż obdarzyć miłością istotę z własnej krwi!

- Wydawało mi się, że kochasz tę firmę tak samo jak ja! Ostatecznie stworzyła ją twoja rodzina.

- Kocham ją, owszem. I zdaję sobie sprawę, że ciężko pracujesz i że jesteś świetnym kucharzem.

Ale nie chcę tu spędzać piętnastu godzin dziennie. Nie jestem coraz młodsza, a chcę mieć dziecko!

- Łzy napłynęły jej do oczu.

- Czy ja mam cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie?

- Tak! Ale to ja je będę nosić, rodzić, a potem karmić. Nie zostało mi wiele czasu. - Penny rozplakała się w głos.

- Podchodzisz do tego zbyt emocjonalnie. Proszę, uspokój się. Mówię tylko, że pewnego dnia może się okazać, że masz dość. Zechcesz od tego uciec, odzyskać wolność.

- A niby czemu? Czyżby brakowało mi cierpliwości?

- Anie?

- Gdyby tak było, jak sądzisz, wytrzymałabym z tobą tyle lat? - zaszlochała Penny.

- Słuchaj, połóżmy się dziś wcześniej, co ty na to?

- Włożysz prezerwatywę?

Daniel zmilczał. Nie musiał odpowiadać.

\_ Wybij to sobie z głowy, Danielu. Nie chcę ci dokładać obowiązków!

Penny wypadła z baru i pobiegła na górę. Puściła gorącą wodę do wanny. Weźmie sobie butelkę schłodzonego wina i ładny kryształowy kieliszek, a do tego nową powieść. Będzie się moczyć przez całe popołudnie, niech Daniel sam obsługuje klientów i sprząta, skoro praca sprawia mu tak wielką rozkosz!

\_ Prawdę mówiąc - powiedziała do lustra w łazience w to też nie wierzę. Drań wmawia mi, że nie chcę dziecka, gdy to właśnie dziecka zawsze najbardziej pragnęłam. Nie zdążyłam mu nawet powiedzieć, że czas ruszyć oszczędności i kupić porządny dom z ogródkiem. Zaczynam myśleć, że Millie ma rację: on nie jest całkiem normalny.

Umieściła wino i gruby romans na krześle obok wanny i ostrożnie zanurzyła się w wodzie okrytej dziesięciocalową warstwą piany. Nie sięgnęła jednak po książkę. Patrzyła w sufit sącząc wino i układając plany, dopóki woda nie wystygła.

Daniel nachmurzony siedział w kuchni. Złe poprowadził rozmowę z Penny; zdenerwował ją tylko, nie pierwszy zresztą raz. Zamknąwszy wieczorem lokal usiadł przy stoliku i zamyślił się nad swoim życiem - drogą, która doprowadziła go do tego kryzysu, bo bez wątpienia był to kryzys.

Penny od lat napomykała o powiększeniu rodziny, ale dotąd zawsze udawało mu się ją przekonać, że powinni jeszcze poczekać: aż będą mieli więcej pieniędzy w banku, aż sytuacja polityczna się unormuje, aż będą mogli wyszkolić pracownicę, która przejmie obowiązki Penny. Pula wymówek najwyraźniej jednak już się wyczerpała.

Sytuacja była dziwna - jak dziwny był życiorys Daniela Stanleya.

Niechęć szefa kuchni hotelu Imperial do rozstawiania się z gotówką była w branży restauracyjnej wręcz przysłowiowa. Nigdy w całej swojej zawodowej karierze Daniel nie postawił kolegom nawet piwa, choć bywało, że okazja tego wymagała.

Pewnego razu kelnerzy przykleili do podłogi pięciofuntowy banknot, a potem zrywali boki ze śmiechu patrząc, jak próbuje go odkleić. Ich śmiech jednak zamarł, kiedy Daniel poszedł do kuchni po czajnik z wrzątkiem, rozpuścił klej parą, a następnie wysuszył banknot na kaloryferze, złożył go i wetknął do kieszeni. Zyskał wówczas opinię psychopaty. Lecz personel hotelu, urodzony i wychowany w mieście, co dzień widywał różne przejawy obłędu i po jakimś czasie przywykł również do dziwactw Daniela.

Raz w roku wszyscy pracownicy Imperialu wynajmowali autokar i jechali na wycieczkę - zwykle do Newcastle, nadmorskiej miejscowości, z której rozciągał się wspaniały widok na góry Mournes. Był tam pasaż rozrywkowy z mnóstwem klubów, barów i salonów gier, skąd dobiegał wesoły brzęk monet sypiących się z automatów. Mechaniczne wróżki przepowiadały wyłącznie dobre

rzeczy, a wiatr unosił przeboje z szaf grających ponad głowy rozbawionych tłumów.

John Anderson, kierownik sali, co roku zbierał składki i organizował transport; pilnował również, aby kierowca pozostał trzeźwy i mógł ich bezpiecznie odwieźć do Belfastu. Wszyscy z utęsknieniem czekali wyjazdu - był to bezsprzeczenie najweselszy dzień w roku. Przez całą drogę śpiewali co sił w płucach, potem zaś mile spędzali dzień na picciu piwa w zabytkowych knajpkach przy promenadzie, traceniu pieniędzy w automatach do gier i sklepach z pamiątkami, opychaniu się smażoną rybą (dlaczego ryba smakuje o wiele lepiej, kiedy człowiek ma w nozdrzach zapach morza?), różową watą cukrową i galonami lodów.

O zmierzchu mężczyźni ścigali się na plaży, a tego, który był na mecie ostatni, uroczyście niesiono nad wodę i wrzucano w fale w pełnym odzieniu przy wtórze pisków i śmiechu kobiet.

Daniel Stanley nigdy w życiu nie był na wycieczce. Co roku John Anderson pytał, czy zarezerwować mu miejsce w autokarze, i co roku Daniel uprzejmie dziękował, mówiąc, że ma inne plany. Oczywiście nigdy nie wyjawiał jakie. W ogóle nic o sobie nie mówił. Ale przeszłość wkrótce miała go dogonić. Był rok 1981. Daniel miał dwadzieścia dziewięć lat i dla wszystkich znajomych stanowił zagadkę.

Koledzy nie wiedzieli na przykład, że jest porzuconym dzieckiem. Ojciec zwiózł do Ameryki dwa miesiące po ślubie. Matka Daniela, śliczna dziewczyna o imieniu Teresa, była wtedy w szóstym miesiącu ciąży. Przeplakała kolejne trzy miesiące, po czym urodziła synka, wyrzuciła ślubne zdjęcia i uznała, że życie musi toczyć się dalej. W owych czasach w Belfaście nie było trudno o pracę. Młodzi ludzie masowo emigrowali do cieplejszych i bezpieczniejszych krajów. Teresa zatrudniła się jako kelnerka w knajpie w centrum miasta i przeprowadziła do małego domku przy ulicy Magnoliowej, gdzie czynsze były znacznie niższe od przeciętnych (połowa ulicy, zburzona w czasie wojny, wciąż czekała na odbudowę). Wkrótce młoda pani Stanley miała nowego *mężczyznę*. A potem następnego. Jej kochankowie byli mili i przystojni, ale żaden nie chciał się wiązać z mężatką obciążoną dzieckiem. Jeden po drugim znajdowali wymówki, żeby więcej *się* z nią nie spotykać.

Daniel ostatni raz widział *matkę* pewnego słonecznego ranka w 1956 roku. Miał wtedy cztery lata i ganiał z kolegami po ruinach, bawiąc *się* w wojnę. Jako najmniejszy zawsze musiał odgrywać Hitlera. Starsi chłopcy ścigali go z krzykiem i rzucali granatami z kasztanów w jego chude plecy. Teresa zawołała go do domu i dała mu gruby kawał ciasta z kremem i marmoladą.

\_ Bądź grzeczny - powiedziała. - Myj się porządnie i pracuj pilnie, a ja za jakiś czas po ciebie wrócę.

Potem zaprowadziła go do kobiety, która się nim zajmowała, gdy Teresa była w pracy, i ucałowała na pożegnanie. Nie poszła jednak do pracy. Zostawiła list, w którym pisała, że musi na jakiś czas wyjechać. Nie zabrała ze sobą nic prócz czerwonej szminki i nowych butów.

W południe do domku wpadła sąsiadka, żeby pożyczyć herbaty. Znalazła kartkę na kuchennym stole. W ciągu paru minut pod drzwiami zebrał się tłumek. Wszyscy szeptali nerwowo, czekając na wieści. Dzieciom kazano być cicho i przestać biegać. Zawiadomiono policję. Wiadomo, było, że pani Stanley przyjaźniła się z kilkoma panami, ale żaden z nich się nie zgłosił, gdy wszczęto poszukiwania.

Wezwano także księdza. Przyszedł sam proboszcz, ojciec Ignatius Mulcahy. Rzekł, iż będzie się modlił, aby Teresa pożałowała swej decyzji i wróciła do synka, a ponadto zamieści ogłoszenie w gazecie parafialnej. Poglaskał Daniela po głowie, westchnął i dał mu szylinga. Nic więcej nie był w stanie zrobić. Ech, te samotne matki! - pomyślał ze smutkiem. Bez dozoru mężczyzny wszystkim miesza się w głowie. Musi w kazaniach częściej mówić o wadze sakramentu małżeństwa.

Młody policjant o bystrych zielonych oczach przeszukał dom od piwnic po dach i znalazł na kominku ostateczne wezwanie do zapłaty czynszu, a prócz tego jeszcze jedenaście zaległych rachunków w puszcze po herbatnikach. Teresa Stanley tonęła w długach, co musiało zachwiać jej równowagę psychiczną. Nie było poszlak wskazujących na mord lub porwanie. Pechowy dom został wynajęty pozbawionemu przesądów małżeństwu z Portadown. Sąsiedzi martwili się przez parę miesięcy, lecz w końcu zapomniano o Teresie Stanley.

Daniel nie zapomniał. Zachował srebrnego szylinga od proboszcza i pewność, że matka wróci, kiedy jej przygoda dobiegnie końca. Teresa nie była taka jak inne matki. Malowała usta, była piękna, śpiewała na głos przeboje z filmów i nie zawracała sobie głowy pieczeniem chleba i innymi pracami domowymi.

Kilka nowojorskich organizacji dobroczynnych dokonywało cudów, by ustalić miejsce pobytu ojca nieszczęsnego chłopca, który tymczasem siedział cichutko w saloniku ciotki Kathleen przy Carlisle Circus w północnej części miasta. Mijały miesiące. Ojca nie odnaleziono - widać nie jest łatwo odnaleźć kogoś w takim wielkim mieście jak Nowy Jork. W końcu opiekę nad Danielem przyznano



Kathleen. Będąc rodzoną siostrą Teresy, Kathleen różniła się od niej tak, jak tylko mogą się różnić siostry. Teresa była ładna, samowolna, romantyczna, lubiła marzyć i flirtować z mężczyznami; Kathleen, znacznie od niej brzydsza, mocno stąpała po ziemi. "Siekiera" - mówili o niej sąsiedzi.

- Zbieraj pens do pensa - powtarzała małemu Danielowi przynajmniej dziesięć razy dziennie.
- A zrobią się z nich funty - odpowiadał cichutko tak, jak go nauczyła.

Kathleen niczemu nie pozwoliła się zmarnować - nawet kawałkowi sznurka, nawet najcieńszemu listkowi mydła. Pracowała w fabryce papierosów. Była niezamężna i niezbyt lubiła dzieci. Rzadko odzywała się do siostrzeńca, chyba że prosił o rower lub torebkę cukierków. Odpowiadała wtedy, że i tak jest jej wystarczająco ciężko, odkąd ma na głowie cudzego bachora. Kathleen nigdy nie przyszłoby na myśl, żeby kupić kwiaty lub spinki do włosów. Nie miewała ochoty na ciastko albo szynkę. Nie marnowała też ciężko zarobionych pieniędzy na zabawki dla chłopca. Takie ekstrawagancje - mawiała - doprowadziły biedną Teresę do ruiny.

Daniel schudł i przestał się odzywać, rósł w stęchłym odorze magazynów opieki społecznej, którym przesycona była jego odzież, i palącym poczuciu wstydu, że jest nędzarzem. Często myślał o matce. Modlił się, by nadeszła tanecznym krokiem i zabrała go od ciotki, obsypała słodyczami i pieszczotami. Ale Bóg nie wysłuchał jego modlitw.

Ciotka zapisała go do szkoły zawodowej. Wieczorami harował w rozmaitych garkuchniach w różnych częściach miasta i wcześniej nauczył się tej starej prawdy, że jedyną drogą do sukcesu jest ciężka praca - mnóstwo ciężkiej pracy. W wieku dwudziestu czterech lat był już szefem kuchni jednego z najlepszych hoteli w Belfaście i cieszył się sporym szacunkiem. Kiedy ciotka zmarła, pozostawivszy dom i niemałą fortunę Kościołowi, serce Daniela, od dawna nieskłonne do wzruszeń, stwardniało ostatecznie. Pochował ciotkę bez zbędnych ekstrawagancji takich jak kwiaty czy nagrobek, postępując zgodnie z jej zasadami.

Przeprowadził się do kawalerki przy Eglantine Avenue i zajął karierą zawodową. Jego pracowitość przyniosła mu uznanie i skromną podwyżkę. Wciąż brał nadgodziny, jednakże konto w banku rosło zbyt powoli. Postanowił ograniczyć wydatki. Zrezygnował z mieszkania i wynajął nie ogrzewany pokój w dzielnicy studenckiej. "Ziemia Święta", jak ją nazywano, była znacznie brzydsza od Eglantine Avenue. Studenci nie zwracali sobie głowy strzyżeniem trawników ani praniem firanek. Daniel tęsknił za piętrowymi domkami o wykuszowych oknach i rozłożystymi kasztanami przy Eglantine Avenue, ale powiedział sobie, że piękno jest mniej ważne niż zabezpieczenie finansowe. Chodził pieszo, żeby zaoszczędzić na biletach, nawet w mroźne zimowe poranki. Nieliczne wolne dni spędzał w czytelni albo spacerował po ogrodzie botanicznym, od czasu do czasu wstępując do palmiarni, by się ogrzać. Zrezygnował z papierosów, gazet, kolacji i wszystkiego, co nie było niezbędne. W każdy piątek nosił wypłatę do banku, a książeczkę czekową trzymał pod luźną deską w podłodze. Nie interesował się kobietami. Kobiety to nieprzewidywalne stworzenia o kosztownych zachciankach, które ponadto mają zwyczaj nagle znikać w słoneczne czerwcowe dni. Któregoś dnia, kiedy szukał pieprzu w magazynie, natknął się na skrzynię z dostawą dla hotelowego salonu piękności. Pieczolowicie zapakowane tkwiły w niej luksusowe kosmetyki. Niewiele myśląc, sięgnął do skrzyni i wyjął z niej pachnące mydło i butelkę szamponu.

Wieczorem zabrał je do domu. Serce mu waliło, kiedy żegnał się z portierem. To tylko drobiazgi do osobistego użytku, powtarzał sobie, uboczna korzyść, drobna premia za długie godziny pracy i niskie zarobki, na które psioczyli wszyscy pracownicy. Incydent ten wprawił go w podniosły nastrój, ubarwił mu szarą codzienność, natchnął mocą.

Z tygodnia na tydzień spostrzegał coraz więcej podobnych okazji. Nie zamknięte na klucz szafki, nie zinwentaryzowane dostawy. Kradł papier toaletowy i pastę do butów, herbatę w torebkach, paczkowane biszkopty i ser cheddar. Z kantyny dla pracowników wynosił gotowane kurze skrzydełka i butelki oranżady ukryte pod ściereczką. Z pokoi dla gości ściągnął kilka kostek mydła, ręcznik kąpielowy, parę prześcieradeł i czajnik. Podniecające hobby wkrótce przerodziło się w nałóg. Łatwo, aż nazbyt łatwo przemycił ruchliwymi korytarzami hotelu, gdzie nikt nie zwracał na niego uwagi. Pewnego razu przemaszerował przez zatłoczony hol niosąc na głowie kryształowy flakon ukryty pod sztywną kucharską czapką. Nawet kiedy zginał podróźny zegarek należący do pani Constance Delargy i wezwano policję, nikt nie wpadł na pomysł, by przeszukać mu kieszenie. Daniel Stanley był poza wszelkimi podejrzeniami.

Nabrał pewności siebie, zaczął ufać w swój kunszt i rzadko wychodził z pracy bez łupu. W ciągu sześciu miesięcy zagracił całe mieszkanie skradzionym dobrem i wtedy przyszło mu na myśl, że mógłby je sprzedawać. Zaczął jeździć na targowiska, gdzie handlował towaram z rozłożonej walizki. Był pewien, że nikt go nie rozpozna, o ile tylko będzie się trzymał z dala od Belfastu. Nareszcie saldo na koncie zaczęło rosnać w przyzwoitym tempie.

Przestępczy biznes Daniela zapowiadał się na złotą żyłę: z jednej strony niewyczerpana podaż hotelowego inwentarza i zamożni goście, na których mógł żerować; z drugiej stały popyt na towar po okazyjnej cenie, nawet jeśli jego pochodzenie mogło wydać się podejrzane. Nic jednak, co dobre, nie trwa wiecznie, jak mawiała ciotka Kathleen. W dniu swych trzydziestych urodzin Daniel przesadził: gwizdnął z sali konferencyjnej średniej klasy akwarelę przedstawiającą widok Portstewart Strand. Wyniósł ją z hotelu zawiniętą w kaszmirowy płaszcz (kupiony w sklepie z używaną odzieżą).

Właściciel hotelu, pan Ivor Tweedy, natychmiast spostrzegł brak obrazu i poinstruował personel, że w hotelu grasuje złodziej - należy patrzeć na ręce gościom, a nawet pracownikom. Wynajęto ochroniarza, który stał w holu, pozostałe zaś obrazy zostały przytwierdzone do ścian. Pan Tweedy nadal promieniał zyczliwością i uśmiechał się do wszystkich naokoło, ale żywiąc odrazę do złodziejstwa w każdej skali, nie zaniechał śledztwa.

Kariera Daniela w branży hotelarskiej skończyła się gwałtownie dwa miesiące później, kiedy to został przyłapany na sprzedaży kradzionych owoców w puszkach, obrusów i naczyń stołowych na targu w nadmorskiej miejscowości Bangor. Był pochmurny wrześnieowy poranek, a świadkiem przestępstwa stał się nie kto inny jak John Anderson, kierownik sali.

Anderson przetaił ze zdumienia oczy widząc Daniela wręczającego dwie puszki ananasa kobiecie w zielonym płaszczu. Kobieta podała mu parę drobnych monet, Daniel przeliczył je i wrzucił do kieszeni. Z początku John myślał, że zawodzi go wzrok, lecz niestety: charakterystyczne kruczoczarne włosy odczesane gładko znad opalonego czoła z całą pewnością należały do Daniela Stanleya. Przyglądając mu się z zatłoczonej przystani John uświadomił sobie, że jego długoletni kolega jest złodziejem.

Kelner usiadł nad podwójną whisky w barze Pod Kotwicą i zasepił się ciężko. Donieść na współpracownika? Doprawdy sytuacja bardzo niezręczna. Może biedny chłopak ma kłopoty finansowe - płace w hotelu są przecież skandalicznie niskie. Może jest zadłużony w lombardzie, na wyścigach lub nawet u jakiegoś gangu. Z drugiej strony, jeśli hotel będzie ponosił straty, wszyscy mogą się znaleźć na zielonej trawce. John Anderson wypalił pół paczki papierosów i posilił się plackiem pasterskim. Potem z ciężkim sercem podszedł do automatu przy barze i zadzwonił do pryncypała.

Pan Tweedy omal nie udusił się kanapką, którą właśnie spożywał. Odzyskawszy dech, kazał wyłamać zamek szafki Daniela w szatni. Znalaziono w niej czterdzieści puszek kanadyjskiego łososia, dwadzieścia łyżeczek do herbaty, sto kostek mydła o zapachu lawendowym oraz posrebrzaną sosjerkę. Wstępna kontrola ksiąg zakończyła się odkryciem, że Daniel Stanley okrada hotel od ponad roku. Hiobowa wieść błyskawicznie rozniosła się po budynku. Personel płci żeńskiej wpadł w zbiorową histerię słysząc, iż piękny Daniel jest zwyczajnym złodziejaszkiem. Po skończonej pracy wszyscy biegli do domów, aby opowiedzieć to rodzinom. Pani Doherty z pralni stwierdziła kwaśno, że szef kuchni zawsze wydawał jej się podejrzany. Nie ma ludzi aż tak idealnych, dodała przenikliwie.

Pan Tweedy opadł na krzesło w barze i musiał wypić aż cztery koniaki, nim uspokoił nerwy. Prawa powieka drgała mu gwałtownie, ilekroć pomyślał o ślicznym pejzażu Portstewart Strand i o zegarku Constance Delargy, i o niezliczonych puszkach łososia skradzionych tuż pod jego wielkim czerwonym nosem przez mężczyznę, któremu bez wahania powierzyłby swoje życie.

Kiedy Daniel wieczorem przyszedł do pracy, czekał już na niego komitet powitalny. Pan Tweedy wyraził rozczarowanie postępkiem swego najlepszego kucharza i zwolnił go ze skutkiem natychmiastowym, bez referencji. Najchętniej nakładłby mu po pysku, dodał, ale jest człowiekiem religijnym i brzydzi się przemocą. Poinformował Daniela, że nie będzie informował policji, by uniknąć skandalu (na szczęście państwo Delargy, będąc jego starymi przyjaciółmi, dali się ułagodzić). Jednakże osobiście zadba o to, by drzwi wszystkich restauracji w Irlandii Północnej pozostały przed Danielem zamknięte. Zna bowiem wszystkich ulsterskich hotelarzy i zapewnia go, że nie dostanie pracy nawet w najpodlejszej garkuchni!

Upokorzony Daniel został szybko wyprowadzony z budynku przez dwóch portierów, którzy nie szczędzili mu szyderczych słów. Jeden z nich strącił mu kucharski czepek i zatrzasnął drzwi tuż przed nosem. Opuszczony przez Boga i ludzi złoczyńca stał jak kołek na wybetonowanym podwórku między kontenerami na śmieci a pustymi beczkami po piwie. Zaczęło mżyć. Po raz drugi w życiu czuł się rozpaczliwie samotny.

Przez kilka następnych dni smętnie dumał w pokoiku przy Palestine Street. Bez referencji nie dostanie innej pracy. Ma spore oszczędności, ale nie aż tyle, żeby otworzyć własną restaurację. Dzięki Bogu, że zachował przytomność umysłu i powiedział, że zyski przegrał na wyścigach! Dzięki temu uniknął konieczności zwrócenia Tweedy'emu pieniędzy. Przyjrzał się swoim

niebieskim oczom w lusterku, którego używał do golenia, i znów pomyślał o matce - pięknej kobiecie, która sądziła, że uroda przyniesie jej szczęście i dostatek.

Los nie okazał się dla niej łaskawy. Gdyby było inaczej, na pewno by wróciła. Ale Belfast miał jeszcze dość pieniędzy. I z pewnością dość zamożnych kobiet skłonnych przyciągnąć do serca i kiesy pełnego uroku mężczyznę.

Sprawił sobie zatem całkiem nowy garnitur (wydał na niego kupę pieniędzy u Doddsa i Synów przy Chichester Street), a następnie udał się do modnego nocnego klubu nie opodal rzeki. Afisze reklamowały Romantyczną Noc (cokolwiek to znaczyło). Daniel miał nadzieję, że przyciągnie ona bogate mieszkanki Malone i Cultry. Ręka mu drżała, kiedy wręczał pięć funtów za wstęp nastoletniemu bramkarzowi z dwoma kolczykami w lewym uchu. Podeszedł do baru, gdzie zamówił colę z lodem i plasterkiem cytryny. Oparł się łokciem o szynkwias, przybierając pozę, która w jego pojęciu miała nadać mu aurę człowieka światowego, i czekał. Niczym pajak w sieci czekał na tłustą muchę.

Muchą tą okazała się Penny Muldoon. (Penny czekała przy barze na swą przyjaciółkę Millie.) W chwili, w której zobaczyła Daniela, przepadła. Miała nowe buty, które boleśnie uwierały ją w palce, ale widok tajemniczego nieznanego w śnieżnobiałej koszuli podzielał jak najlepszy analgetyk. Obie nogi Penny wypełniły się mocno gazowaną lemoniadą, a serce zaczęło wybijać przyspieszony rytm niczym cały regiment doboszy. Mężczyzna przy barze, obojętnie mierzący tłum lodowato niebieskimi oczyma, wydał jej się podobny do Bryana Ferry. Do tego nie chlał piwa, a wytwornie sączył colę z wysokiej szklanki. Elegancki trzeźwy mężczyzna - dość rzadki widok w Belfaście. Bez towarzyszk. I bez obrączki. Bingo!

Podeszła wprost do niego. Daniel zauważył błysk złotego łańcuszka z ozdobną płytką, na której wygrawerowane było słowo "Penny".

- Przepraszam - powiedziała. - Czekasz na kogoś? Daniel zerknął na naszyjnik.

- Penny. Tak masz na imię?

- Tak - szepnęła zdumiona, zapominając o naszyjniku, a myśląc o słowach wróżki ..

- Ślicznie - powiedział.

- Dziękuję. A ty? - Penny usiadła na wysokim stołku tuż obok niego.

Daniel zeszytywniał z zakłopotania, zdołał wszakże zachować spokój. Do lokalu weszło kilku kelnerów z Imperialu; stali niedaleko baru i wiedział, że go obserwują. Dziewczyna była bardzo młoda, najwyżej siedemnastoletnia. Wątpił, by miała dość pieniędzy, by mu się do czegośkolwiek przydać, ale oblekł twarz w wesoły uśmiech na użytek przyglądających mu się kolegów. Spodobało mu się jej imię - Penny, wprost wymarzone dla żony człowieka, który nade wszystko cenił pieniądź. Światła przygasły; pod sufitem zaczęła się obracać lustrzana kula. Muzyka rozbrzmiała głośniejsz. Daniel zaproponował młodej damie drinka - w przeciwnym razie musiałby poprosić ją do tańca. Nigdy w życiu nie tańczył i nie miał zamiaru uczyć się teraz, pod ostrzałem zaciekawionych spojrzeń. Penny odgarnęła niedbale włosy i poprosiła o szampana.

- Uwielbiam bąbelki - powiedziała - chociaż muszę cię ostrzec: szybko idą mi do głowy. Nie widziałam cię tu wcześniej. Jesteś w Belfaście od niedawna?

- Nie - odparł. - Mieszkam tu od urodzenia. Tyle tylko że rzadko bywam w dyskotekach. Jestem kiepskim tancerzem.

Zaczęli rozmawiać. Kiedy pół godziny później do lokalu wpadła spóźniona Millie, Penny była już zakochana po uszy.

Kelnerzy z Imperialu zdumieli się nie lada, widząc Daniela w nocnym klubie, wystrojonego jak burżuj. Nowiuteńki garnitur, wyglansowane buty, modna fryzura. Białe rozpięte kołnierzyk rozchyłał się odsłaniając opaloną na złoto pierś. (W ostatnich miesiącach sporo czasu spędzał na świeżym powietrzu handlując skradzionym towarem.) Na dodatek ten nowy Daniel Stanley flirtował z dziewczyną o połowę od niego młodszą.

(Wśród pracowników hotelu krążyły plotki, że Daniel nie interesuje się płcią piękną - ma skłonności raczej w przeciwnym kierunku. No bo niby dlaczego całkiem przystojny facet miałby stronić od kobiet, podczas gdy inni uganiali się za nimi przez całe dni?)

- A to dopiero! - prychnął jeden z kelnerów. - Świat jest jednak pełen niespodzianek

- Nie ma sprawiedliwości na tym świecie - skonkludował ponuro inny. - Facet bezczelnie kradł i uszło mu to na sucho. Stary Tweedy był za dumny, żeby zrobić z tego aferę. No i proszę: zamiast siedzieć w kiciu, rozpiera się tu jak sułtan i uwodzi ślicznotkę, chyba prosto po szkole.

- Ma skurczybyk szczęście! - zakończyli chórem.

Daniel i Penny siedli przy małym marmurowym stoliku i rozmowa przybrała bardziej osobiste tony. Millie patrzyła bezradnie, jak Penny podrywa starszego mężczyznę. Konowała z ciekawości; chętnie by się przysiadła i zadała temu panu kilka pytań. Belfast pod wieloma względami jest

małym miastem, a zawsze lepiej wiedzieć, z kim się ma do czynienia. Prędko można by zebrać informacje: gdzie chodził do szkoły, gdzie pracuje, czy ma pieniądze, dzieci, zazdrosną byłą (lub obecną) żonę. Czy był notowany przez policję? Mężczyźni na ogół nie są całkiem szczerzy wobec nowo poznanych dziewczyn. Niestety, Penny ani razu nie zerknęła w jej stronę. Spotkała ucieleśnienie swych panięńskich marzeń i nie zamierzała go wypuścić z garści. Podbój pod czujnym okiem przyzwoitki byłby kłopotliwy. Wyprostowała się, wypinając niewielki jeszcze biust, kręciła loczek na palcu i wachlowała rzesami, nie przerywając kontaktu wzrokowego. Daniel pochylił się ku niej, żeby słyszeć, co mówi. Kiwał głową i co jakiś czas chodził do baru po drinki. Millie i kelnerzy obserwowali zafascynowani ów odwieczny rytuał godowy.

Daniel dyskretnie rzucił okiem na drzwi, nie chcąc przegapić lepszej kandydatki. Penny trąkotała jak najęta. Opowiedziała mu, jak pewnego razu w Blackpool widziała znanego aktora - tak pijanego, że nie był w stanie wydłubać pieniędzy z kieszeni, więc właściciel baru postawił mu obiad za darmo. Daniela zupełnie to nie interesowało, ale się uśmiechał. Zastanawiał się, czy nie lepiej byłoby się zapisać do klubu golfowego albo na studia wieczorowe. Gdzie u licha chodzą bogate kobiety? - zżymał się w duchu.

Penny poinformowała go, że zwykle nie zaczepia obcych mężczyzn, ale w nim dostrzegła coś szczególnego. Staroświecką wytworność, tak to określiła. Daniel miał to w nosie, ale wciąż się uśmiechał. Wyznała mu, że jest jedynaczką, jej rodzice są już starszymi ludźmi i pomagają im w prowadzeniu rodzinnej herbaciarni przy ulicy Morwowej. Nazywała się "U Muldoona". Zaczął słuchać uważniej. Znał ten lokal, mieszczący się zaledwie parę ulic od jego nory. Bar był mały, ale dobrze położony, w samym środku dzielnicy zamieszkałej przez studentów - młodych ludzi po raz pierwszy wypuszczonych spod rodzicielskich skrzydeł, z których większość była nieźle sytuowana i nie potrafiła nawet posmarować chleba masłem. Jadalnia w takim miejscu stanowiła potencjalną kopalnię złota. Daniel uśmiechnął się swoim najpiękniejszym uśmiechem, a serce Penny stopniało jak воск.

Dyskżokej puścił płytę dobrze znaną Penny, lecz Daniel w hałasie nie dosłyszał nazwy zespołu. Ludzie dryfowali na parkiet, gdzie wykonywali dziwne podrygujące ruchy z rękami uniesionymi w powietrzu, jakby grali na nie widzialnych bębnach. Danielowi mignęły podmalowane oczy jednego z mężczyzn. Nieprawdopodobne! Chłopak miał na sobie wysokie zamszowe buty z mnóstwem sprzączek, było ich chyba z tuzin. Co za ekstrawagancja, i to w samym sercu starego pocziwego Belfastu! Dziewczynie, z którą tańczył, najwyraźniej to nie przeszkadzało. Ubrana była w welwetową, głęboko wyciętą sukienkę i potrzasała mnóstwem srebrnych bransoletek, które odbijały błyski rzucane przez obracającą się pod sufitem kulę. Daniel przyglądał im się przez kilka chwil. Taniec nie jest aż taki trudny, pomyślał.

Penny postukiwała nogą i kiwała głową w takt muzyki. Poprosił ją do tańca; okazało się, że jest prawie tak wysoka jak on. Przyszło mu do głowy, że muszą ładnie razem wyglądać. Pozostali na parkiecie przez pół godziny, a kiedy zaczęły się wolne kawałki, objął partnerkę, a ona zarzuciła mu ręce na szyję płynnym, zarazem czułym i namiętym gestem. Przytuleni do siebie jak kochankowie, kołysali się niczym zawodowi tancerze. Daniel szeptał Penny do ucha miłe słowa, Penny zaś oparła mu głowę na ramieniu i przyknęła oczy. Kelnerzy oniemieli z zawiści, a Millie zrozumiała, że jeżeli nadal chce chodzić na dyskoteki, musi sobie znaleźć inną towarzyszkę.

Ślub był cichy. Odbył się w sylwestrowy wieczór, u progu nowego 1982 roku. Penny właśnie skończyła osiemnaście lat, Daniel zbliżał się do trzydziestu jeden. Na weselu było zaledwie dwadzieścia osób, wszystkie z kręgu rodziny i znajomych panny młodej. Ciotka Kathleen dawno już przebywała w innym (daj Boże, lepszym) świecie, a poza nią Daniel nie miał żadnych krewnych. Powiedział Penny, że jego matka zmarła, ale rzadko chodzi na jej grób, bo go to przygnębia. Nie przyznał się też, że wyleciał z pracy. Szef bardzo go ceni i dał mu z okazji ślubu długi płatny urlop. Nie zaprasza kolegów, bo jest ich bardzo wielu i byłoby to nieuczciwe, skoro za wesele płaci ojciec Penny. Zresztą po co? Tylko ona się dla niego liczy, byłby równie szczęśliwy, gdyby przed ołtarzem stanęli tylko we dwoje. (Penny była urzeczona.) W prezencie ślubnym dał jej akwarelę z widokiem Portstewart Strand.

Przez cały dzień padało. Po ślubie sznur samochodów ruszył do Portrush na północnym wybrzeżu, gdzie w podupadłym hoteliku miało się odbyć przyjęcie. Grupka weselników pozowała do zdjęć na molo. Nagły poryw wichru zerwał Penny kapelusz i poniósł go wprost do morza. Jedwabne kwiatuszki zdobiące rondo pociemniały w lodowatej wodzie; kapelusz kołysał się przez chwilę na falach, a potem zatonął niczym wieniec podczas morskiego pogrzebu. Gdyby była tam Brenda Brown, od razu ujrzałaby w tym zdarzeniu zły omen. W czasie jednak gdy kapelusz Penny szedł na dno, siedmioletnia wówczas Brenda kolorowała mazakami wzorki na nowej tapecie w saloniku rodziców.

W sali bankietowej ciągnęło po nogach, ale towarzystwo bawiło się wyśmienicie. Podano domową zupę jarzynową z miękkimi żytnimi bułeczkami z masłem, a następnie faszerowane piersi kurcząt i ziemniaki ze śmietaną. Kelnerki nakładały z platerowanych tac duszoną marchewkę i różyczki kalafiora, skrobiąc niemiłosiernie łyżkami o metal. Daniel zagapił się na srebrne lichtarze, ale trzymał ręce przy sobie. Na deser była legumina z kremem obłana sherry, a później podzielono tort weselny udekorowany maleńkimi srebrnymi podkowami na szczęście. Kelnerki uwijały się nalewając kawę i herbatę z buchających parą dzbanków.

Mowy były krótkie. Ojciec Penny zakaszłał, żeby ukryć drżenie głosu, i oznajmił zebranych gościom, że Penny - późno i niespodziewanie zesłane im przez Boga dziecko - opromieniła ich życie radością. Życzy młodej parze, aby zawsze była tak szczęśliwa, jak w dniu swego ślubu. Następnie wyjawiał, że zamierza przejść na zasłużony odpoczynek. Swoją ukochaną herbaciarnię darowuje dzieciom w prezencie ślubnym. Nad lokalem jest małe mieszkanko, które posłuży im do czasu, gdy kupią własny dom. Wszyscy klaskali w ręce i wiwatowali, wznosząc toasty na cześć przystojnego pana młodego i jego zarumienionej oblubienicy. Daniel objął Penny i ucałował ją ciepło. Teść dał znak orkiestrze i przy wtórze muzyki wszyscy wstali wznosząc szkło.

Daniel i Penny musieli wyjść na parkiet, gdzie zaczęli niezgrabnego walca. Penny zamknęła oczy, pijana szczęściem. Zaledwie kilka miesięcy wcześniej wróżka w Bundoranie powiedziała jej, że młodo wyjdzie za mąż. I oto płynęła przez salę weselną w ramionach cudownego mężczyzny. Dojrzałego trzydziestoletniego mężczyzny, nie smarkacza w jej wieku, który starałby się ją rozebrać na pierwszej randce w ogóle nie patrząc jej w oczy. Nie mogła się już doczekać miodowego miesiąca.

Millie, jej drużna, odradzała jej pośpiech, mówiła, że powinna poznać lepiej wybranka, zanim zwiąże się z nim na zawsze. To wszystko jest za piękne, żeby było prawdziwe, powtarzała. Ale Penny wiedziała, że biedna Millie jest chora z zazdrości. Jej najnowszy chłopak, Jack, pracował w stoczni, a jego buźką można było straszyć dzieci.

Daniel mógł sobie pogratulować. Zżył nadzieję, że otrzyma posadę w firmie teścia, a tu proszę - podano mu całą na tacy. (Rozbawiła go ta restauracyjna metafora.) Nareszcie znalazł bezpieczną przystań. Teresa byłaby z niego dumna. Podobałoby się jej przyjęcie weselne z parkietem do tańca prawie tuż nad morzem. Zastanawiał się, czy jego ojciec jeszcze żyje; może siedzi na bujanym fotelu hen, w Ameryce, i żuje chleb kukurydziany. Pomyślał też o surowej i milczącej ciotce Kathleen, wciąż ciułającej rajskie grosze wysoko w ciemniejącym wieczornym niebie.

## 7. DAMA W KAPELUSZU

Po tamtej nieszczęsnej sprzeczce Daniel spał w drugim pokoju.

Przez całą noc przewracał się na twardym materacu. Zastanawiał się, czy nie powinien ulec i dać Penny trochę więcej wolnego czasu. Ale wtedy będzie musiał zatrudnić kelnerkę. A mając więcej czasu Penny będzie chodzić po sklepach z odzieżą dla niemowląt i bez przerwy nagabywać go o dziecko. A jeśli zdecydują się na dziecko, co wtedy? Zechce mieć nowy dom. Porządny dom z wejściem od ulicy, ogródkiem i huśtawką. A potem drugie dziecko, żeby to pierwsze nie czuło się samotne. To właśnie cały problem z kobietami, wciąż wpadają im do głowy jakieś nowe pomysły. Nie zarobi na to wszystko sprzedając herbatę i kanapki, choćby nie wiem jak się starał. W ciągu pięciu lat pójdą z torbami.

Nazajutrz rano zaniósł żonie herbatę do łóżka i oznajmił, że przemyśli to, co mu powiedziała. (Miał nadzieję, że zyska w ten sposób nieco czasu.)

- Tymczasem - rzekł - robota czeka. Zaraz wezmę się do pieczenia, a ty posprzątaj lokal.

Przydałoby się umyć podłogi.

- Posłuchaj mnie, Danielu - wycedziła wolno Penny, układając się z powrotem na poduszkach - nie będę myła podłóg. Ani dziś, ani nigdy.

- Co?

- Nigdy, słyszysz?

- Oszalałaś?

- Nie. Jestem po prostu wykończona. Albo będzie to robić sprzątaczką, albo ty. Decyduj.

- Ależ ja piekę ciasta!

- Począwszy od dziś pracuję osiem godzin dziennie i ani minuty dłużej. Być może zapomniałeś, że to jest również moja herbaciarnia. Mam chyba coś do powiedzenia?

- Ach, tak? To jaki konkretnie będzie twój wkład do spółki?

- Zejdę o dziewiątej, będę obsługiwać klientów i zrobię zupę na lunch. A teraz pozwól mi się jeszcze zdrzemnąć, inaczej rozpęta się tu straszliwa awantura. Jeśli chcesz umyć podłogę, lepiej się

pospiesz. Nie zatrzymuję cię dłużej. - Penny dopiła herbatę, ułożyła się z powrotem i nakryła kołdrą aż po czubek nosa.

Daniel stał jak wryty, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Stara Penny zniknęła w ciągu jednej nocy, a ta nowa nie bała się stawić mu czoła. Dochodziła siódma, piekarnik był pusty, w kuchni piętrzyła się sterta brudnych naczyń, no i ta podłoga ...

- To jakiś strajk? - wyjąkał.

- Owszem.

- Nie możesz strajkować, Penny. To przecież twoja własna firma.

- Otóż to.

- Ależ ... gdzie tu sens?!

- A, i jeszcze jedno: przenieś swoją pościel do tamtego pokoju. Faktycznie nie ma sensu, żebyś nie dawał mi zasnąć czytając książki kucharskie po nocach!

Daniel wycofał się z sypialni, bezgłośnie zamykając za sobą drzwi, jakby ktoś umarł. Penny oczekiwała, że wybuchnie, będzie krzyczał, usiłował ją zaciągnąć do sprzątanina, może nawet uderzy. (Wyobrażała sobie namiętą walkę na schodach, erotyczne kłębowisko kończyn w ciemnym korytarzu.) Ale Daniel cicho zszedł na dół i wziął się do robienia ciasta. Przysłuchiwała się codziennym porannym odgłosom włączanego sprzętu, brzękowi butelek z mlekiem, ledwie mogąc uwierzyć w to, co przed chwilą zrobiła.

Kiedy posłyszała żalosne skrobanie mopa, omal się nie zerwała i nie pobiegła pomóc, ale wtedy pomyślała o Millie i Jacku Mortimerach. Gdyby ktoś powiedział Penny w dniu jej ślubu, że kiedyś będzie im zazdrościć, chyba by umarła ze śmiechu. Nie. Musi postawić na swoim, choćby miała przy tym zginąć. Rozdygotana zamknęła oczy. Miała wrażenie, że stąpa po napiętej linie. Całe jej życie stanęło pod znakiem zapytania.

Nie może ustąpić. Daniel nie przywykł do tego, by miała swoje zdanie. Będzie musiał się przyzwyczaić, ot co. Za każdym razem, . kiedy czegoś od niej zechce, powie mu, że jest zmęczona. Będzie to powtarzać do znudzenia, zmuszając go, by porzucił swe ukochane ciastka, zakasał rękawy i wziął się za szmatę. O nie, tym razem się nie podda. Uprzykrzy mu życie tak, że już po miesiącu będzie miał dosyć. Musi tylko zachować spokój i delikatnie naginać męża do swojego sposobu myślenia. Powolutku, stopniowo. To najlepsza metoda. Układ sił przechylał się wolno, lecz nieodwołalnie, na stronę Penny.

Po południu do herbaciarni weszła elegancka kobieta pytając o zapomniany egzemplarz czasopisma. Był to magazyn poświęcony wystrojowi wnętrza, ze starą zbroją na okładce, wyjaśniła ze zmartwieniem w dużych szarych oczach. Penny słuchała w roztargnieniu, zafascynowana jej urodą. Kobieta ubrana była w śliwkowej barwy welwet - długi do pięt płaszcz zdobiony u dołu drobnymi paciorkami, miękki kapelusz z szerokim rondem i haftowany szal. Miała doskonały makijaż; szary *cień* do powiek zbiegał się w schludny *szpic* pod dyskretnie przyciemnioną brwią. Penny zwracała uwagę na *takie* sprawy, wiedziała zatem, że ten efekt dają *drogie*, elegancko opakowane kosmetyki sprzedawane w dużych domach towarowych. Aromat markowych perfum przyprawił ją niemal o zawrót głowy. Wiedzioną instynktem szybko rozejrzała się wokół, by sprawdzić, czy Daniela nie ma w pobliżu.

- Nie znalazła go pani przypadkiem?

Penny oczywiście znalazła magazyn, ale wcale nie miała ochoty go oddawać.

Kobieta tłumaczyła, że bardzo jej zależy, jest to *bowiem* jedyny egzemplarz pierwszego numeru czasopisma, które zaczęła wydawać sama, bez niczyjej pomocy, dziesięć lat temu. (Penny nie spostrzegła daty na okładce.)

- Naprawdę? - bąknęła. - Nie, chyba nie rzuciło mi się w oczy żadne stare pismo.

- Nie wyglądało na stare. To dlatego, że przedstawione w nim wnętrza cechuje nieprzemijające piękno - powiedziała kobieta, wsuwając zabłąkany kosmyk włosów za malutkie, zgrabne ucho. - Musiałam je tu zostawić! Wtedy obsługiwał mnie taki miły pan. Czy mogłabym z nim porozmawiać?

Na to Penny nie miała zamiaru pozwolić.

- Proszę chwilę poczekać. - Udała, że szuka pod ladą, i z ciężkim sercem wyciągnęła pismo, godząc się z porażką. - O, rzeczywiście jest!

- Strasznie pani dziękuję! Zawsze wszystko gubię - zwierzyła się kobieta, po czym zamówiła herbatę ziołową.

Penny przyglądała się jej z kuchni, zastanawiając się, czy Daniel uznał ją za atrakcyjną. Nie napomknął wówczas o niej ani słowem. Bardzo dobrze ubrana, stwierdziła w duchu. O wiele wytworniej niż zwykli goście u Muldoona. Ponadto ma dziwny akcent przywodzący na myśl

amerykańskie filmy. Ba, nic dziwnego, skoro jest dziennikarką. Lata po całym świecie, nocuje w pięknych hotelach jak ten z czerwoną bawialnią na zdjęciu. Ciekawe, czego mogła szukać w niepozornym lokalnym barze? Mam nadzieję, że nie tematu do artykułu o restauracjach w Belfaście! - pomyślała zmieszana Penny.

Przez następny tydzień odzywali się do siebie tylko przekazując zamówienia. Przez następny miesiąc Daniel harował jak niewolnik robiąc prawie wszystko sam. W końcu się poddał i w połowie lutego zatrudnił sprzątaczkę. Nazywała się Mary Little, ale - jak wyznała - przyjaciele mówili do niej "Mydlina". Przychodziła co dzień o pierwszej i w ciągu niespełna godziny pucowała cały lokal na błysk. Penny była zdumiona, jak sprawnie jej to idzie. Zafascynowana przyglądała się równym, mocnym pociągnięciom mopa, które pokrywały podłogę, nigdy nie odwiedzając dwukrotnie tego samego miejsca. Co dziwne, podłoga była znacznie czystsza, niż kiedy myła ją Penny. Zmęczenie zaczęło ustępować, Penny częściej się uśmiechała i z radością oczekiwała pojawienia się Mary. Płaciła jej gotówką z kasy, starając się nie dostrzegać bólu w oczach męża. Mary czuła, że w małżeństwie Stanleyów coś nie gra. Uznała wszakże, iż to nie jej sprawa. Płacono jej za sprzątanie, nie za udzielanie rad. Słyszała to i owo o przeszłości Daniela, jego pracy w hotelu i dziwnych zwyczajach. Podobno wychowała go obłąkana ciotka, która nosiła ten sam płaszcz przez pięćdziesiąt lat. Niektórzy mawiali, że Daniel też ma nierówno pod sufitem. Ale Mary nie była plotkarą.

## 8. BRENDAMA WYSTAWĘ

Brenda Brown była w świetnym humorze. Jej blada twarz jarzyła się nadzieją, kiedy o piątej weszła do Muldoona, zamówiła grzankę z serem i piklami, chrupki o smaku tortilli oraz dużą colę z lodem i cytryną. Następnie wyjęła swój złoty flamaster i zaczęła pisać:

*28 lutego 1999 r.*

*Drogi Nicolasie!*

*Czy dostałeś mój ostatni list?*

*Wciąż czekam na zdjęcie z autografem. Mam już przygotowaną małą srebrną ramkę.*

*Czy pisałam Ci, że jestem malarką? Wkrótce wystawiam w pobliskiej galerii swoje najnowsze płótna. Wspólnie z kilkoma innymi absolwentami wynajęliśmy lokal mi dwa tygodnie i każde z nas daje pięć prac. Odbyła się, rzecz jasna, zażarta dyskusja na temat, co kto wiesz i gdzie. Każdy chciał mieć do swojej dyspozycji długą ścianę naprzeciw okna. W końcu dostał ją Tom Reilly-Dunseith. Powiedział, że fest mu niezbędna, bo światło padające z zewnątrz stanowi immanentny element jego rzeźb. Pretensjonalny bufon. Zajmuje się wyginaniem rur wydechowych w znaki zapytania.*

*Pozostali są teraz w galerii, uganiają się wokół Z marsami na czole i puszkami emulsji. W moim kawałku ściany była dziura, ale zamaskowałam ją taśmą klejącą i farbą.*

*Załączam pocztówkę z reprodukcją jednego z moich obrazów.*

*Nosi tytuł: " W oczekiwaniu na kondukt". Mówi o pogrzebie nastoletniego chłopca, który zginął w czasie zamieszek. Tom Reilly-Dunseith określił go jako, cytuję: "nudny, banalny i przebrzmiały".*

*Powiedziałam mu na to, że sam zajmuje się spawaniem złomu, który usiłuje wepchnąć frajerom jako nowoczesną sztukę, a to dlatego, że nie umie rysować. To prawda, na drugim roku oblał rysunek postaci - ale przecież nie będę robić mu wstydu rozpowiadając o tym wokół.*

*Czy podoba ci się mój obraz? Zobacz, w tłumie jest wiele ładnych dziewcząt, którym się podobał (zabity chłopak, nie obraz). To wizja wszystkiego, co mógł jeszcze przeżyć, gdyby się urodził w innym miejscu i czasie. Symbol jałowości przemocy.*

*Noszę się z myślą, żeby zmienić nazwisko na coś ciekawszego niż Brenda Brown. Powinno mieć tajemnicze celtyckie brzmienie, przywodzące na myśl stare rody i pionierskiego ducha.*

*Może Ao/fe Fitzgerald-Conway? Może Geraldine Murphy-Maguire? Może mi odbija.*

*Przed abordażem chlapiemy sobie w mojej dziupli - to jest, mamy zamiar się spotkać i wypić parę drinków w moim mieszkaniu przed otwarciem wystawy.*

*Włóż czarny garnitur i białą koszulę, jak zwykle. Włosy szeszę do tyłu i przyglądnę żelem.*

*Androgyniczna i ponadczasowa. Dużo ciemnego cienia do powiek, usta bez makijażu. Nie jestem seksowna. Lubię jednak myśleć, że emanuję piękno ducha, a to więcej niż zwykła fizyczna uroda. (Przynajmniej mam taką nadzieję.)*

*Tak czy owak muszę kończyć. Życz mi powodzenia.*

*Oddana*

*Brenda (jeszcze) Brown.*

*PS. Jestem Twoją gorącą wielbicielką. Proszę, przyslij mi zdjęcie.*

Dokończyła grzanekę rozkoszując się każdym kęsem i spałaszowała resztę chrupek. Postanowiła naruszyć jeszcze bardziej swój skromny budżet: wracając do domu kupi flaszki dzinu, tonik i lód w sklepie monopolowym. Przyda się dla uspokojenia nerwów przed wernisażem.

U pomniała się w duchu, żeby dobrze schować dzin, zanim przyjdą inni. Podobnie jak ona, zawsze byli bez grosza. Wyżłotaliby wszystko w ułamku sekundy. Kupi im trochę piwa. Tego tańszego. To i tak nie są prawdziwi przyjaciele, rozumowała. Spotykają się po prostu u niej, bo mieszka blisko galerii. Prawdę mówiąc, powinna schować również farby, czyste płótna, płytę Radiohead, a nawet tę lepszą kawę. Niektórzy świeżo upieczeni artyści tak rozpaczliwie potrzebowali forsy, że gotowi byli skraść ci oko z głowy. Wyjątek stanowił Tom Reilly-Dunseith. Ten nie nadązał z realizacją zamówień, choć za swoje kupy złomu liczył po osiemset funtów. To dzięki bajeranckiemu nazwisku, pomyślała z goryczą Brenda. Inaczej nikt nie zwróciłby na niego uwagi.

Nagle przypomniała sobie, że Emily Shadwick też została zaproszona. Brenda wpadła w panikę. Wszystko, tylko nie kolejna rozmowa o życiu uczuciowym Emily. Postanowiła nastawić muzykę na cały regulator i udawać, że nie słyszy. Nie pozwoli się wpędzić w depresję jeszcze przed wernisażem.

Wystawę miało odwiedzić kilku lokalnych dziennikarzy. Możliwe, że będą zadawać pytania.

Brenda przećwiczyła w myśli kilka odpowiedzi i postanowiła się nie uśmiechać do obiektywu.

Spojrzała przez okno na czerwoną skrzynkę - pierwszy przystanek jej listu w drodze do Ameryki. Z uśmiechem pomachała kopertą do Penny, a Penny pokazała jej zaciśnięte na szczęście kciuki.

## **9. AURORA PODPISUJE KONTRAKT**

Henry Blackstaff stał przyoknie w kuchni czekając, aż zawrze woda w czajniku. Jego zręczny plan przechytrzenia Aurory okazał się spektakularnym fiaskiem, którego skutki nllał teraz odczuć na własnej skórze. Kiedy oznajmił żonie, że skoro tak bardzo tego pragnie, może mieć oranżerię, popłakała się z radości. Potem usiadła przy telefonie i obdzwoniła wszystkich członków towarzystwa, a nawet boso pobiegła do sąsiadów, by i z nimi podzielić się radosną wieścią. Nazajutrz po domu zaczął się krzątać Arnold Smith wyposażony w elektroniczną aparaturę pomiarową. Projekt z zastraszającą szybkością stał się faktem.

Wkrótce ukochany ogródek Henry'ego przestanie istnieć. Zniknie także dorodna araukaria posadzona jeszcze przez wuja Bertiego. Muszą zrobić miejsce pod fundamenty. Aurora wybrała z oferty najdroższy model: dębowa konstrukcja tak wysoka jak dom, witrażowe okna, ogrzewanie w podłodze i kute żelazne podpory dachu. Długopis Smitha śmigał po papierze, sam agent zaś dyszał z podniecenia na myśl o czekającej go prowizji.

Rozmyślenia Henry'ego przerwał dzwonek telefonu w holu.

- To do ciebie! - zawołał. - Niejaki David Cropper, z BBC.

Aurora wpadła w ekstazę, która nie opuściła jej przez cały wieczór. Niejaki David Cropper okazał się producentem, który dowiedział się o nich z gazety i zamierzał nakręcić film dokumentalny o Rodzinie Bronte. Aurora pochwaliła mu się, że buduje wiktoriańską oranżerię, w której członkowie towarzystwa, odziani w stroje z epoki, będą słuchać wyjątków z arcydzieł literatury pięknej. Pan Cropper zaciekał się inwestycją i obiecał, że znów zadzwoni, gdy budowa będzie już w toku. Henry westchnął ciężko. Nawet mglisty cień szansy, że jego żona wystąpi w telewizji, uczynił ją głuchą na wszelkie argumenty. Najwyraźniej zapomniała o swojej pogardzie dla nowoczesności i jej wynalazków.

Nazajutrz o dziewiątej rano Arnold Smith stał już na stopniach rezydencji Blackstaffów niemal dotykając obliczem kołatki. W rękę dzierżył kosztorys. Sześć cyfr, ogromna suma, najwyższa umowa, jaką zdobył w życiu. Dzwonili już nawet do niego z centrali. Będzie musiał użyć wszystkich komiwojażerskich sztuczek, by bezpiecznie dopiąć kontrakt na ostatni guzik. Miał nadzieję, że zastanie swą klientkę samą. Pan Blackstaff zdawał się nie podzielać entuzjazmu żony. Jak się okazało, miał szczęście. Drzwi otworzyła pani Blackstaff. Zaprosiła go do salonu i ledwie zerknąwszy na kwotę wypisała czek staroświeckim wiecznym piórem. Potem odprowadziła go do drzwi nie zaproponowawszy nawet herbaty.

- Chcę, byście panowie użyli cegieł z rozbiórki - oznajmiła. - To bardzo ważne. Oranżeria musi wyglądać, jakby została wybudowana wraz z domem. I proszę nie zapomnieć, że na lewo od wejścia musi być dość miejsca na bibliotekę. Uwielbiam zapach starych książek. Są takie



romantyczne! Dosłownie na każdej stronie nieodwzajemniona miłość łamie komuś serce! Wie pan, że dzięki nim poznałam męża?

Ta stara jest stuknięta, pomyślał Arnold Smith.

- Ma pani wspaniały gust! - zagruchał słodko, a kiedy zamknęła za nim drzwi, odnotował w pamięci, żeby zrealizować czek, nim zamówi materiały. Mogła się rzeczywiście okazać wariatką: Kiedy Henry wrócił z poranną gazetą, wybuchła kolejna kłótnia.

- I l e ?! Chyba żartujesz! Za tę kwotę kupiłabyś dom we Francji! Nie mogę uwierzyć, że podjęłaś tę decyzję bez porozumienia ze mną. Powinnaś była wynająć salę w muzeum, jak ci radziłem.

Większość twoich znajomych byłaby tam na swoim miejscu.

- No tak, Henry, to cały ty! Wiesz, co ci dolega? Za długo pokrywasz się kurzem w tej graciarni. Kiedy ostatni raz sprzedałeś jakąkolwiek książkę?!

- A co to ma do rzeczy? To mój sklep i prowadzę go tak, jak chcę.

- Otrzymałeś go w spadku i dawno byś splajtował, gdyby nie pieniądze Bertiego! - Aurorze brakło tchu z wściekłości. - Finansuję budowę z własnych oszczędności! Dlaczego nie potrafisz się cieszyć wraz ze mną? Nie będzie cię to kosztować złamanego grosza!

- Już kosztowało mnie ogród, prawda? Gdzie teraz będę spędzał wolny czas? I powiem ci jeszcze coś: masz oszczędności, bo za wszystko w tym domu płacę ja! Każda filiżanka ekskluzywnej herbaty, którą żłopią twoi przyjaciele, idzie z mojej kieszeni!

- Bardzo mi przykro, że żałujesz moim gościom nawet herbaty. To bardzo kulturalni ludzie, o czym sam byś się przekonał, gdybyś ich bliżej poznał. Nie rozumiesz, jaka to dla mnie szansa? - Prawdę mówiąc, nie.

- Na litość boską! Będę w telewizji! Może nawet nie raz! Kto wie, czy nie nakręcą całego cyklu! I na pewno zostanę dyrektorką szkoły.

- Marzenia ściętej głowy!

- Ja przynajmniej mam jakieś marzenia! Ty jesteś kompletnie pozbawiony wyobraźni! Dlatego nikt nie chce wydać tych twoich wypocin, żaloszny mały człowieczku!

- To było podłe, Auroro. Nie wiem, co cię napadło. Wiesz przecież, jak lubię tę araukarię. Wujek Bertie sam ją zasadził.

\_ A ja nie wiem, dlaczego robisz takie histerie o parę starych drzew! Kiedy cię poznałam, myślałam, że różnisz się od innych mężczyzn! Że kochasz książki, a nie ligę piłki nożnej!

Wydawałeś się człowiekiem z innej epoki. Moim panem Rochesterem. Moim bohaterem. -

Wyciągnęła do niego ramiona w dramatycznym geście.

\_ A ty byłaś moją Jane Eyre - rzekł Henry cicho. - Moją kruchą, bladą guwernantką. A teraz, przez tę aferę z oranżerią...

\_ Teraz wiem, że jesteś taki sam jak inni. Nie chcesz dopuścić, bym stała się kimś. - Aurora podeszła do okna i spojrzała w miejsce, na którym miała stanąć budowla.

\_ Nie chcę stawać ci na drodze. Chciałem tylko ocalić swój ogród. Czy nie mogłaś zamówić nieco mniejszej wersji i pozostawić araukarii w spokoju? \_ Nie, nie mogłam. Muszę mieć dość miejsca na sześćdziesiąt krzeseł, dwa tysiące książek i małe podium - odparła Aurora stanowczo. - Pan Smith sporządził kosztorys i ja go zatwierdziłam. \_ Wiesz, że mógłbym ci zabronić. Posesja stanowi naszą wspólną własność. Mógłbym nawet podać cię do sądu.

\_ No proszę! Wyszło szydło z worka! Pozwól, że ci powiem, drogi mężu: trochę za późno odkryłeś, że masz kręgosłup. Nie udawaj mężczyzny, bo i tak mnie nie powstrzymasz. Sama zrabuję to drzewo, jeśli będzie trzeba.

\_ Mógłbym powiedzieć twoim najdroższym przyjaciółkom, że zanim zmieniłaś nazwisko, brzmiało Gertie Leech, i że twój ojciec był nałogowym pokerzystą karanym za oszustwo. Nareszcie pozbyłbym się z domu tych nienazartych snobów. Uciekaliby tak szybko, że tratowaliby się w drzwiach!

\_ Jeśli to zrobisz, przysięgam na Boga, że dołączysz do wuja Bertiego znacznie szybciej, niż myślisz! W zaświatach rośnie mnóstwo araukarii! - to rzekłszy, Aurora wbiegła na piętro do sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi tak mocno, że z poręczy schodów posypał się kurz. Henry opadł na krzesło, nagle wyzuty z sił. Tym razem Aurora naprawdę się wściekła. Nieprędko mu to wybaczy. Nic dziwnego, zagroził jej utratą tego, co ceniła najbardziej: reputacji. Naprawdę zaczynał się zachowywać jak powieściowy szubrawiec. Powinien był od razu dać jej swoje błogosławieństwo. Oranżeria i tak stanie, czy on tego chce, czy nie.

Araukaria miała zostać wyrwana z korzeniami. Arnold Smith twierdził, że to najbezpieczniejsza metoda. Henry czuł się tak, jakby czekał na ekshumację samego wuja Bertiego. Miał potworne wyrzuty sumienia wobec zmarłego dobroczyńcy.

- Postanowiłam odczytać wyjątek z "Wichrowych Wzgórz" - oznajmiła dwa dni później Aurora. Henry nie odpowiedział. Był świadom, że Aurora nie mówi do niego. Po prostu ćwiczyła głos przed występem. Nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, podjęła:

- *Na tym nie osłoniętym wzgórzu ziemia była zamrznięta, ale czarna. Ostre zimno przejmowało do szpiku kości ... \**

Dobry Boże, pomyślał Henry. Wstał i poszedł po płaszcz. Pocieszy się paszтетem z nerczek u Muldoona.

## IO. SPOTKANIE W HOTELU EUROPA

Clare Fitzgerald znów była w Belfaście. Siedziała w barze hotelu Europa. Białe wino było jej ulubionym napitkiem, a tutaj mieli ich spory wybór. Za chwilę musi poprosić o menu, jest głodna po całodzienną pracę. Choć pewnie mało kto by uwierzył, oglądanie niezliczonych wnętrz i prowadzenie nie kończących się rozmów przez telefon to naprawdę wyczerpujące zajęcie. Na stoliku leżał stosik ilustrowanych magazynów, które zamierzała przejrzeć, oraz elegancka torebka od Lulu Guinness. Z czymże innym pokazuje się kobieta światowa?

Dość przystojny mężczyzna o wyglądzie biznesmena zerkał na nią z nadzieją. Odwróciła głowę, nie chcąc go zachęcać. Był dobrze ubrany i wyglądał sympatycznie; zresztą nie byłby to pierwszy w jej życiu wieczór spędzony w towarzystwie miłego nieznajomego, ale dziś nie miała ochoty na towarzystwo. Spojrzała w jego stronę. Pomachał do niej ręką. Niech to jasna cholera.

Powrót do Belfastu był błędem. Zgrzeszyła naiwnością sądząc, że jej nie przygnębi. Tak samo było w styczniu, kiedy przyjechała z wizytą do ciotki, choć wtedy podróżowała z rodzicami. Minęło wiele lat, odkąd wyprowadziła się z tego miasta, a jednak czas jakby stanął w miejscu. Znów była zagubioną nastolatką, nękaną napadami melancholii. Sprawę pogorszyła jeszcze wizyta u Muldoona i ożywienie starych wspomnień, które winna była pogrzebać kilkanaście lat temu wraz ze swą młodością.

Natychmiast przestań, zbeształa się w duchu. Wszystko się unormuje, kiedy wrócisz do domu. To bezsensowne miasto wprawia cię w taki nastrój. Rano lecisz do Nowego Jorku, tam poczujesz się lepiej.

Pełen nadziei biznesmen przysłał do niej barmana z butelką najdroższego wina, jakie było w karcie. Grzecznie skinęła głową na znak podziękowania. Staż w branży wydawniczej nauczył ją powściągać nieprzyjemne gesty, zanim się nie dowie, z kim ma do czynienia. Nalała sobie trochę i pociągnęła łyżeczkę. Wino rzeczywiście było wyśmienite. Przez chwilę rozważała, czyby nie zaprosić tego pana do stolika. Chwila rozmowy nie kosztowałaby jej aż tak wiele, tym bardziej że naprawdę wydawał się bardzo miły. Może nawet zjedliby razem kolację?

Nie, to nie ma sensu. Będzie musiała odpowiadać na pytania o pracę, o Nowy Jork, zarazem delikatnie dając mu do zrozumienia, że nie zamierza spędzić z nim nocy. Dokonanie tego tak, by go nie obrazić i utrzymać miłą atmosferę przy posiłku, zakrawało na potężną operację taktyczną. Spojrzała na niego. Obserwował ją, czekając na znak. Powinna odesłać mu butelkę i podziękować, wymawiając się bólem głowy lub czymś w tym rodzaju. Ale nawet na to nie miała siły. Wstała raptownie, pozbierała swoje rzeczy i szybko wyszła do holu. Drogie wino pozostało na stoliku, równie smętne jak twarz niedoszłego towarzysza. Clare nacisnęła przycisk windy. Nie chciała ryzykować, że mężczyzna pójdzie za nią do restauracji. Będzie musiała zamówić kolację do pokoju. Nim zamknęły się za nią automatyczne drzwi, zobaczyła jeszcze jego rozczarowaną minę. Uroda bywa czasem kłopotliwa.

Clare wiedziała, że jest piękna. Prózno byłoby zaprzeczać. Miała wielkie szare oczy i delikatne drobne usta. Nawet bez makijażu zwracała na siebie uwagę. Kiedy zaś umalowała powieki lśniącem srebrzystym cieniem, a wargi pokryła ciemnoczerwoną szminką, każdy mężczyzna natychmiast jej pożądał. Wyglądała jak cudem ożywiony autoportret Tamary de Lempickiej z 1925 roku - *Tamara w zielonym bugatti*. Miała idealnie kształtny biust i w swoich staroświeckich welwetowych sukniach stanowiła przedmiot zawiści licznych przedstawicielek własnej płci. Mogły nosić takie same ciuchy i malować się w ten sam sposób, ale żadna nie zdołałaby osiągnąć choćby zbliżonego efektu. Nielatwo jest się przyjawnić z ideałem urody, toteż Clare nigdy nie miała przyjaciółek. Żadna kobieta nie zniesie tego, że mężczyźni patrzą wyłącznie na inną.

Clare próbowała ubierać się skromniej, ale to nie było w jej stylu. Nie cierpiała dżinsów, dresów i tenisówek. Lubowała się w haftowanych szalach, długich płaszczach z frędzlami, drogich kremach i perfumach. W swoim jasnym nowojorskim mieszkaniu miała pełne koszyki srebrnych bransoletek, szklanych pierścionków i naszyjników z bursztynu. Odczuwając niejaki wyrzut sumienia wybrała te ozdóbki, żegnając się z nadzieją na szczerą damską przyjaźń.

Jej wręcz nieludzki, zaświatowy spokój przyniósł Clare ogromną wiarygodność w środowisku dziennikarskim Nowego Jorku. W mieście, którego co drugi mieszkaniec mógł się poszczycić wybitnym talentem, liczyła się też osobowość. Po pięciu latach w branży Clare została redaktorem naczelnym ekskluzywnego periodyku poświęconego antykom i dekoracji wnętrz. Staroświeckie łoża z baldachimami w dworach Nowej Anglii, kolekcje cennych płócien w milionowej wartości londyńskich apartamentach, paryskie poddasza pełne sztalug i rekwizytów filmowych, biała pościel w prostych wiejskich łóżkach kornwalijskich rybaków - oto, co ją interesowało.

Ludzie sławni i bogaci prześcigali się w zaproszeniach, marząc, by ich luksusowe posiadłości trafiły na strony magazynu Clare Fitzgerald, ale jeśli nie dostrzegła w nich czegoś nazdwyczajnego, nie miały szans. Wulgarne pałace gwiazd muzyki pop i wziętych modelek nie były w ogóle brane pod uwagę. Clare miała gust, którego nie sposób nabyć na pieniądze.

Większość czasu spędzała w przytulnym nowojorskim biurze wybierając wnętrza i plenery do zdjęć. Czasem, gdy nad kieliszkiem wina dopadła ją nostalgia, marzyła o swej utraconej miłości. Kochała w życiu tylko jednego mężczyznę, którego знаła zaledwie dziewiętnaście godzin. Spędzili razem jedną noc w małym mieszkanku przy ulicy Morwowej w Belfaście.

Była wtedy świeżo upieczoną studentką, a to mieszkanie - jej pierwszym własnym domem. Niewiele większe od schowka, miało może dwadzieścia stóp kwadratowych, ale było lepsze niż osławiony nieład studenckich komun. Już jako nastolatka Clare chciała mieszkać ładnie. W dniu, w którym się wprowadziła, porządnie wyszorowała wszystkie kąty i udekorowała mieszkanie kolorowymi serwetkami i poduszkami, pocztówkami, które rozdawali w galerii sztuki, roślinami w doniczkach, dwiema lampami, które dostała od matki, bukietem kwiatów i dwoma tanimi dywanikami. Kupiła nowy materac, a stary wyrzuciła na śmietnik. Nad wezglowiem łóżka rozpięła batikowy szal i sznur szklanych paciorków. Czuliła się bardzo dorosła kupując w markecie artykuły spożywcze, płyn do czyszczenia dywanów i do prania, mydło, szampon i pastę do zębów. (Jak widać, nie była typową studentką.)

Dom, w którym mieszkała, przylegał do herbaciarni zwanej "U Muldoona". Znajdował się zatem w idealnym miejscu. Jeśli miała dużo nauki, kupowała po drodze kanapkę i już po chwili siedziała przy biurku czytając i jedząc kolację. Rano budził ją sączący się przez ścianę zapach kawy i deszcz, który bębnił o pochyle okno.

Peter był blady, mówił cicho, ale miał w sobie ogień. Spodobał jej się. Miał długą czarną grzywę, która spadała mu na oczy i musiał ją odgarniać, żeby spojrzeć na Clare. Ubrany był w koszulkę z logo zespołu Human League. Dlatego zwrócił jej uwagę, ona też lubiła ich muzykę. Tak się poznali w dyskotecie obok portu. Clare spostrzegła, że chłopak się jej przygląda, uśmiechnęła się do niego, a on po chwili podszedł i zagaił rozmowę. Jakież to było proste!

Spytała, czy lubi Human League i oboje wybuchnęli śmiechem (oprócz koszulki miał na sobie jeszcze dwie plakietki). Clare szczególnie podobała się piosenka "Don't You Want Me" (Nieraz rumieniła się na myśl, że po tylu latach wciąż pamięta ten tytuł. Była to zwyczajna prosta melodyjka, ale wtedy wydawała jej się cudowna.) Peter też ją znał i stwierdził, że jest świetna.

Kiedy parkiet zaczął się zapełniać, poszli tańczyć, a po zakończeniu imprezy Peter zaproponował, że odprowadzi ją do domu. Dwadzieścia minut to długi spacer, kiedy jest się samemu w ciemności, toteż Clare z ulgą przyjęła propozycję. Było zimno i wiał silny wiatr. Peter wziął ją za rękę.

Peter był o trzy lata od niej starszy i kończył już studia, anglistykę. Czym chce zostać, spytała. Nauczycielem? Dziennikarzem? Odpowiedział, że jeszcze nie wie. Przyjechał na studia do Belfastu, bo w Fermanagh, gdzie się wychował, nie było pracy. Pewnie, zaśmiał się, skończy w administracji państwowej, gdzie będzie powoli dostawał chyzia jak wielu humanistów przed nim. Spytała go, czy nie miewał kłopotów przez dziewczęcą fryzurę i czarną kredkę, którą podkreślał oczy. Przyznał, że trzy razy gonili go kibice. Traktował to dość nonszalancko. Nie mogli go dogonić, wyjaśnił. To jest korzyść z bycia chudym: nie musi się wiele dźwigać.

Zanim dotarli na ulicę Morwową, wiedziała już o nim całkiem sporo. Był najstarszym z rodzeństwa - miał sześć siostr. Jego matka była pielęgniarką i codziennie rano chodziła na mszę. Ojciec, mechanik, w wolnych chwilach restaurował stare samochody. Byli zżytą, szczęśliwą rodziną. Peter miał gitarę, ale tylko na niej brzdąkał, nie umiał dobrze grać. Lubił czekoladowe ciasteczka.

Clare obracała w kieszeni klucz do mieszkania. Druga dłoń, którą Peter trzymał w swojej, mrowiła ją podniecająco. Zdecydowała, że zaprosi go do środka.

Prowadząc go po schodach, zastanawiała się, co teraz będzie. Zapaliła światło. Czy Peter ją pocałuje? W owych czasach mężczyźni nie zakładali z góry, że zostaną zaproszeni do łóżka na pierwszej randce. (Stare dobre czasy, pomyślała Clare.) Zapropowała kawę. Stali na środku

pokoju, atmosfera naładowana była oczekiwaniem. Clare ze zdenerwowania ledwie mogła oddychać. Peter skomplementował artystyczny wystrój i odparł, że chętnie napiłby się herbaty. Rozmawiali przez chwilę, głównie o muzyce pop i na podobne bezpieczne tematy. Kiedy Clare wstała, żeby zrobić grzanki wantycznym tosterze pamiętającym lata pięćdziesiąte, Peter poszedł za nią do kuchni. Skłonna była sądzić, że sześć sióstr go rozpuściło, lecz okazało się, że zna się na pracach domowych. Sam zrobił grzanki, podczas gdy ona szukała mleka w proszku. Przypiekł je tylko z jednej strony, tak że od spodu chleb był miękki. Nigdy jeszcze takich nie jadła; spróbowała i stwierdziła, że są bardzo dobre. Odtąd już zawsze piekła grzanki tylko z jednej strony. Patrzył na jej usta tak, jakby chciał je pocałować, ale tego nie zrobił. Jego powściągliwość sprawiała, że Clare kręciło się w głowie z pożądania. Powiedziała sobie: musi coś do mnie czuć, inaczej nie odprowadziłby mnie do domu. Lecz każda chwila była zbyt cenna, żeby psuć ją niezręczną przytulanką. Przez jakiś czas słuchali muzyki siedząc na twardej sofie i zjadając tosty. Milczeli. Clare próbowała zebrać się na odwagę, by go dotknąć, ale nie była w stanie. O czwartej nad ranem zdała sobie sprawę, że Peter powinien już iść. Nie chciała, by wychodził sam na pustą ulicę. Wyglądał tak bezbrinnie w cienkiej kurtce, z wychudłą twarzą.

- Zostań ze mną - powiedziała nagle, nim zdołała się powstrzymać. - To znaczy, zostań ze mną jeszcze trochę. - Bardzo bym tego chciał - rzekł miękko.

Weszli do sypialni. Peter przysiadł na brzegu łóżka. - Zdejmę tylko buty, jeśli pozwolisz. Trwało to parę minut, bo przy każdym buciu miał dwanaście sprzączek.

- Chodź do mnie. - Wyciągnął rękę. - Zimno tutaj. Usiadła obok niego. Położyli się na łóżku, a kiedy zajął jej w oczy, pomyślała, że już straciła dla niego głowę. W kieszeni spodni miał kilka kaset. Znalazł wśród nich ulubioną taśmę Clare, włożył ją do małego odtwarzacza przy łóżku, wcisnął guzik powtarzania i okrył ich oboje kocem. W pokoju panował lodowaty ziąb, oddechy unosiły się białymi kłębamii pary.

- Czy mogę cię pocałować? - spytał. Usta miał gorące i silne. Jego pocałunki były długie, niespieszne i delikatne: idealne.

Clare nie miała żadnego doświadczenia i nie wiedziała, jak się powinna zachować. Zamierzała mu o tym powiedzieć, ale Peter chyba sam się domyślił. Nie próbował jej uwieść.

Przytuleni pod kocem całowali się długo, bardzo długo. Peter zamknął ją w ramionach i oświadczył, że ją kocha. Nie uwierzyła mu. Później zaparzył następną herbatę i przyniósł ją na tacy do sypialni. Szedł ostrożnie jak kot, bo napełnił filiżanki po brzegi. Clare pogratulowała sobie w duchu, że jednak znalazła mleko w proszku. Siedzieli na łóżku, pili herbatę i słuchali muzyki. Zaczęło padać. Peter wyłączył magnetofon i znów leżeli przytuleni do siebie, wsłuchując się w coraz silniejszą perkusję bębniących o szyby kropel. Światło ulicznej latarni kreśliło wzory na ich twarzach. Peter po raz drugi powiedział, że ją kocha. Potem, kiedy deszcz ustał, zdrzemnęli się na chwilę.

O siódmej rano Peter obudził ją słowami, że będzie ją kochał do śmierci. Tym razem wreszcie mu uwierzyła. Znów usnęli objęci i spali aż do południa.

Żadne późniejsze przeżycie Clare nie umywało się do ekstazy tamtej nocy. Dane im było wówczas poczucie takiej bliskości, jakby byli dwojgiem ostatnich ludzi na Ziemi. Nie istniało nic więcej, nikt inny się nie liczył. Zwykle udawało jej się o tym zapomnieć. Ale w każdej chwili mogła przywołać w pamięci - kadr po kadrze - dokładny zapis wszystkiego, co się zdarzyło od momentu, gdy z braku lepszego zajęcia postanowiła pójść na dyskotekę.

O czwartej po południu poszli jeszcze coś zjeść do Muldoona.

Peter zapisał swój adres i numer telefonu na kasecie, której razem słuchali, i dał ją Clare, a potem oficjalnie zapytał, czy zostanie jego dziewczyną. Odpowiedziała: "Tak". Włożyła kasetę do wyszywanej paciorkami torebki obiecując, że nazajutrz zadzwoni. Odprowadził ją na przystanek autobusowy (jechała na weekend do rodziców) i pocałował na pożegnanie.

Gdy niebieski Ulsterbus kluczył ulicami miasta, Clare oparła głowę o zagłówek fotela i z rozkoszą przymknęła oczy. Miała ochotę wołać w głos o swoim szczęściu, opowiadać każdej napotkanej osobie, że spotkała mężczyznę, za którego chce wyjść za mąż i kochać go do końca życia. Powinna była zaprosić Petera i przedstawić go rodzicom, pomyślała nagle. Już za nim tęskniła. Panicznie się bała, że coś mu się stanie, gdy tylko spuści go z oczu.

Cegła uderzyła w boczne okno jak granat. Clare posłyszała huk i specyficzny odgłos szyby pękającej na tysiące kawałków, które zasypały podłogę autobusu niczym olbrzymie kryształki cukru. Patrzyła przez chwilę na iskrzące się kostki szkła i pomyślała, że są piękne, a potem zdała sobie sprawę, że płacze.

Miała krew we włosach i na policzku. Wiedziała, że została uderzona w skroń; czuła mdłości.

Kierowca zahamował, ale znów dodał gazu widząc grupę rozwścieczonych młodych ludzi biegnących w stronę pojazdu. Wszystko działo się bardzo powoli i cicho.

- Jedź, chłopie! - zawołał jakiś starszy mężczyzna. - Jedź, bo zdemolują autobus!

Pozostali pasażerowie zachowali spokój. Przywykli już do takich drobnych aktów przemocy.

Wiedzieli, że będą mogli wysiąść, zanim autobus zostanie podpalony i użyty jako barykada. Nawet podczas zamieszek istniały ustalone zasady postępowania. Clare drżała na całym ciele. Poczła pierwszą falę bólu; przycisnęła dłoń do rany nad lewym uchem. Dwie kobiety przesiadły się obok niej, jedną podtrzymywała, druga chusteczką tamowała krew.

- Do domu, szczeniaki! - wrzasnęła kobieta przez wybite okno. - Odrabiać lekcje, a nie włóczyć się po ulicach!

W burtę autobusu uderzył grad mniejszych kamieni. Kierowca przyspieszył i po chwili wyjechali z niebezpiecznego obszaru. W zajezdni ktoś podał Clare gorącą herbatę w kartonowym kubku, ale ręce tak się jej trzęsły, że nie mogła donieść herbaty do ust.

Przyjechała policja. Czy Clare coś widziała? Nie mogła sobie przypomnieć.

Zupełnie nic?

- Tylko szklany cukier błyszczący na podłodze - szepnęła. - Jak koraliki ...

Zerwała się z krzesła. Torebka! Czy ktoś widział jej torebkę? Mała torebka wyszywana koralikami, w której był adres Petera ... Błagała, żeby poszukali w autobusie. Powiedziano jej, że autobus został już przeszukany i nie znaleziono w nim żadnej bezpiecznej torebki. Na pewno? Tak, na pewno.

Poczła się tak, jakby ktoś jej umarł.

Wezwana karetka odwiozła ją do szpitala. Rodzice siedzieli przy niej całą noc, dyskutując o przyszłości. Clare miała szczęście, że nie odniosła poważniejszych obrażeń. To miasto jest jak ranne zwierzę, mówili; w każdej chwili może się rzucić na człowieka i zagryźć. Już od dawna nosili się z myślą o przeprowadzce. Tragedia, której cudem uniknęli, stała się bodźcem do działania. Przeniosą się do swojej wymarzonej Kornwalii i będą tam prowadzić niewielką gospodę.

Kiedy Clare dwa dni później wyszła ze szpitala, dom rodziców wystawiony już był na sprzedaż.

Nikt nie pytał, czy chce kontynuować studia w Belfaście. Kiedy o tym napomknęła, matka zaczęła się skarżyć na bóle w okolicy serca. Przygotowania do przeprowadzki szły pełną parą.

Clare zadzwoniła na uniwersytet i zostawiła wiadomość dla Petera, ale nie otrzymała odpowiedzi.

Uznała, że osoba, która odebrała telefon, zapomniała przekazać wiadomość, albo też z zasady tego nie robili, będąc wciąż nękani przez zakochanych młodych ludzi.

Trzy dni później przez godzinę czekała pod salą, w której miał mieć wykład, nie pojawił się jednak.

Nieśmiało zbliżyła się do jednej ze studentek i spytała, czy zna Petera Prendergasta. Ta skierowała ją do koleżanki z długimi warkoczami siedzącej na podłodze pod tablicą ogłoszeń. Dziewczyna potwierdziła, że zna Petera. Tak, będzie się z nim widzieć, najprawdopodobniej jeszcze tegoż wieczoru. Clare z ulgą wręczyła jej zaklejoną kopertę. Dziewczyna podała jej adres. Numeru telefonu nie pamiętała.

Pełna nadziei Clare wróciła do domu i czekała na odpowiedź. Jeśli spotkają się znowu i będą czuć to samo co tamtej czarodziejskiej nocy, zostanie w Belfaście. Może nawet zamieszkają razem.

Gdy tylko Clare wyszła z budynku, dziewczyna z warkoczami otworzyła kopertę, przeczytała list i wyrzuciła go do kosza. Sama ostrzyła sobie pazurki na Petera i nie miała zamiaru służyć jako swatka wystrojonej snobce z Akademii Sztuk Pięknych. Pogratiowała sobie w duchu, że podała Clare fałszywy adres.

Clare chodziła tam przez kilka dni z rzędu. Oczywiście nikogo nie zastała. Napisała do Petera na uczelnię. Ale i na ten list nie dostała odpowiedzi.

Była zdumiona. Czyż nie powiedział, że ją kocha? Trzy razy!

Minął kolejny tydzień. Peter milczał. Clare wpadła w rozpacz.

Dom został sprzedany, a rzeczy wysłane do wynajętego domku w Kornwalii. Clare zaczynała myśleć, że wyobraziła sobie tylko magiczną więź z Peterem. Szok, jakim był dla niej wypadek w autobusie, podkopał jej pewność siebie. Marzenie o prawdziwej miłości skalał obraz stłuczonego szkła, krzyki kobiet, twarz policjanta, który patrzył na nią ze współczuciem. Dlaczego bez wahania wskazano jej dziewczynę z warkoczami? Może z Peterem łączyło ją coś więcej niż koleżeństwo? I czy jej przyjaciółki miały rację mówiąc, że Peter miał tylko ochotę na seks, a przekonawszy się, że trafił na porządną dziewczynę, dał jej spokój? Żadna z nich nie słyszała słowa "kocham" na pierwszej randce. Żadna nie spotkała chłopca, który całował ją przez całą noc pod kocem i nie próbował posunąć się dalej. To wszystko wyglądało bardzo podejrzanie.

Clare spakowała swoje rzeczy w mieszkanku przy Morwowej, przez cały czas nasłuchując, czy ktoś nie puka.

Peter nie mógł pojąć, dlaczego Clare nie zadzwoniła. Kilka razy przeszedł się pod jej oknami w nadziei na przypadkowe spotkanie. Wstyd mu było, że od razu wyznał jej miłość. Co go opętało? Zachował się jak smarkacz. Dziewczyna pomyślała pewnie, że kłamie albo jest niezrównoważony psychicznie. W miarę jak mijały dni, czuł się coraz mniej pewnie. Dwa razy dzwonił do drzwi, lecz Clare nie było w domu. Przestał chodzić na wykłady, bo nie mógł się skupić. Wciąż zwlekał z napisaniem listu - nie miał pewności, jakie wrażenie na niej wywarł. Gdyby mógł spojrzeć jej w oczy, wtedy wiedziałby, jakich użyć słów. W końcu zostawił ostrożnie sformułowaną kartkę u właściciela herbaciarni, starego pana Muldoona.

Nie doczekawszy się odpowiedzi postawił wszystko na jedną kartę i przez dwa dni non stop siedział zdesperowany pod jej drzwiami. Ale Clare mieszkała już wówczas w Anglii i próbowała uleczyć złamane serce. Kiedy Peter dowiedział się o jej wyjeździe, wpadł w czarną melancholię. Zrozumiał, że nic dla niej nie znaczył. Omal nie oblał końcowych egzaminów chodząc na ciągłym kacu, bo każdego wieczoru leczył smutki w barze.

Clare o tym nie wiedziała. Była pewna, że go utraciła. Nie zdołała jednak o nim zapomnieć. Odrzuciła dziewięć propozycji małżeństwa i mając trzydzieści sześć lat wciąż była samotna. Perfekcjonistkom nie jest łatwo w życiu.

## 11. SADIE ZMIOTKA I KWAŚNIAKI

Sadie Smith siedziała w swojej funkcjonalnej kuchni na przedmieściu Belfastu zwanym Carryduff i z roztargnieniem przeglądała lokalną gazetę. Nie było w niej nic ciekawego. Nużące prośby o datkę na kolejną operację serca oraz historyczny artykuł o stratach, jakie poniosło miejskie przedsiębiorstwo komunikacji autobusowej z powodu wandalizmu. I zdjęcie nadętych z zadowolenia rajców na tle nowego zieleńca. W kwietniku tkwiła tabliczka informująca, że ufundowała go sieć barów szybkiej obsługi. Sadie prychnęła z pogardą: Ciekawe, na co idą podatki. Pewnie na wycieczki zagraniczne dla radnych.

- Pasożyty w prażkowanych garniturach! - oznajmiła uśmiechniętym twarzom na zdjęciu, dziobiąc w nie po kolei palcem. - Tym jesteście!

Sadie знаła się na pasożytach. Jej mąż był jednym z nich. Teściowa weszła do kuchni i zaczęła oskubywać przywiedle kwiaty stojące na parapecie.

- Goździki! - fuknęła. - Wolę róże. Białe róże na długich łądkach z mnóstwem asparagusu.

- Będę o tym pamiętać - odparowała Sadie - jeśli Arnold zacznie dawać więcej na życie.

- Co będzie na obiad? - zapytała staruszka. - Maurice zjadłby rybę smażoną na maśle. Jeśli się pospieszysz, zdążysz jeszcze do sklepu.

- Dobrze, będzie ryba - powiedziała Sadie. - Zdaje się, że mam filety z dorsza w zamrażarce.

Przepraszam cię na chwilę.

Pospieszyła do garażu, gdzie stała zamrażarka, szczelnie zamykając za sobą drzwi, by nie słyszeć, że Maurice nie znosi mrożonej ryby.

Przed dom zajechał błękitny jaguar, a w nim zadowolony z siebie Arnold. Właśnie sprzedał kolejną oranżerię, już dwunastą w tym roku. Alez będzie prowizja! Zarząd nie szczędził mu pochwał. Wiedział już, że podczas najbliższego gwiazdkowego przyjęcia otrzyma nagrodę Sprzedawcy Roku.

Zamówienie Aurory Blackstaff wysforowało go daleko przed pozostałych agentów. Stare zbzikowane dziwadło. Takie są najlepsze, pomyślał i przeczesał palcami włosy uśmiechając się do swego odbicia we wstecznym lusterku. Wyjedzie gdzieś z Patricią, żeby uczcić tę sprzedaż. Już od pewnego czasu planował wziąć sobie mały urlop od Sadie i rodziców.

"Zmiotka" i "Kwaśniaki" - tak ochrzciła ich Patricia. Patricia była świetna w nadawaniu przezwisk.

W ogóle miała liczne zdolności, wśród których na czołowym miejscu plasowała się zaradność - ostatecznie nie dla pięknych oczu dostała posadę kierowniczkę sklepu z upominkami w centrum miasta - miłość bliźniego natomiast była na szarym końcu. (Arnold poznał ją służbowo, kiedy rozżalona eks-pracownica sklepu wybiła cegłą witrynę.)

Polecą razem do Paryża. Będą się kochać w małym hoteliku nad Sekwaną ... Arnold wyobraził sobie pokój z muślinowymi firankami wydymającymi się w nocnym wietrze, zapach kawy dochodzący z ulicznych kawiarenek. Patricia podaje mu kawę do łóżka, jej małe migie piersi podrygują nad filizanką ...

Poczuł, że robi mu się gorąco. Rozluźnił krawat. Najważniejsze, że znajdzie się daleko od tetrczejących rodziców i głupiej tłustej żony.

- Ty stary draniu! - mrugnął do swego odbicia. - Kobitki wciąż na ciebie lecą.

Wziął z tylnego siedzenia teczkę i gazetę i pospieszył do domu.

Sadie była w złym humorze - zauważył to od razu, słysząc, jak trzaska szufladami w kuchni. Ostatnio wciąż się dąsała. Arnold upatrywał przyczyn złego nastroju żony w jej tuszy. Znów utyla, pomyślał. To okropne być taką beką sadła. Jak ona może w ogóle patrzeć w lustro?

Nie wyszła go przywitać. Grzała zupę z puszki, tłukła ziemniaki i smarowała chleb - wszystko równocześnie. Maurice narzekał na jakąś rybę i zrzędził, że nie będzie jeść kolacji. Arnold cmoknął matkę w policzek. Kazała mu uprzątnąć zwiędłe kwiatki z okna, bo psują jej widok na ogród.

Sadie przymknęła oczy, zrobiła głęboki wdech. Potem z brzękiem ustawiła talerze na stole i wyszła z kuchni.

- Nie będziesz jadła? - zawołał za nią Arnold.

- Nie jestem głodna! - odkrzyknęła.

- A to coś nowego! - rzekł półgłosem Arnold do rodziców i wszyscy troje zaśmiali się konspiracyjnie. - Staruszka traci apetyt!

- Akcje fabryki czekoladek Cadbury zaczną spadać - dorzuciła Daisy.

- Nie tak głośno - upomniał ją ze śmiechem Arnold - bo kucharka nam zastrajkuje!

- Ha! - warknął Maurice. - Kucharka, powiadasz? Mrożona ryba! Twoja matka nigdy nie kupowała półproduktów. Och, wiaż jeszcze czuję zapach potraw, które mi gotowała! Paszтет w cieście! Szarlotka! Pieczone kurczę! Konfitura z rabarbaru! Świeże domowe bułeczki! Ślinka człowiekowi cieknie na samo wspomnienie. Takie to delikcje ongiś jadłem. I dzięki nim dożyłem sędziwego wieku!

- Istotnie - rzekł ze smutkiem Arnold, myśląc o pieniądzech ojca.

- Nie dociągniesz do pięćdziesiątki, synu, jeśli będziesz jadł te świństwa - rzekł zjadliwie Maurice.

Arnold już miał opowiedzieć o swoim świetnym kontrakcie, ale zmienił zamiar. Po co się przyznawać, ile zarobi. Rodzice od dawna napomykali, że chcieliby zwiedzić świat, "póki po nim chodzą". Sama myśl, że miałyby siedzieć w jakimś hotelu z nimi i Sadie, przypawiła go o gęsią skórę. Po kolacji pójdzie do swojego gabinetu i zaplanuje romantyczny weekend w Paryżu.

Może od razu zamówi bilety na jakiś pikantny show w Moulin Rouge? Praca na samodzielnym stanowisku ma wiele zalet. Człowiek musi brać udział w tylu nudnych konferencjach ....

Sadie zamknęła za sobą drzwi sypialni i usiadła roztrzęsiona na łóżku. Nie ufała dziś sobie na tyle, by zaryzykować pozostanie przy stole z teściami i Arnoldem. Nie mogła na niego patrzeć. Zad rybę i ziemniaki, jakby nic się nie stało. Jak gdyby nie całował dłoni innej kobiety, nie głaskał jej po kolanie i nie szeptał jej do ucha czułych słówek ... ! Sadie miała ochotę wskoczyć na stół i wrzeszczeć do całkowitego ochrypnięcia, a potem złapać miskę z ziemniakami i cisnąć nią w okno. Żaluzje, ziemniaki i szkło na trawniku ... zaraz przestaliby się z niej naśmiewać. Ale w ten sposób zepsułaby wszystko. Przymknęła oczy. Trudno zachować równowagę ducha, gdy Maurice gędzi o rybie, Daisy o różach, a Arnold afiszuje się z jakąś blondynką. Przymknęła oczy. Nie może dać się sprowokować. Przede wszystkim powinna wiedzieć, co zamierza jej mąż.

Instynkt podpowiadał jej, że najlepiej byłoby zignorować miłosne podboje Arnolda. Może sypia z tą dzidirą, a może nie. I tak się nie rozwiedzie. Co to, to nie. Gdzie znajdzie kobietę, która lepiej zadba o jego spokój, żołądek, ubrania, rodziców i dom; spełni każdą prośbę i wykona każde polecenie. Bez Sadie Arnold nie byłby taki efektywny. Mimo to ...

Dla własnego spokoju Sadie postanowiła rozeznaczyć się w sytuacji. Rano pójdzie do Muldoona i tam się zastanowi. Tymczasem wyłowila z dolnej szuflady bielizniarki torebkę solonych precelków. Choćby miała pękać ze złości i upokorzenia, nie będzie z tego powodu chodzić głodna!

## 12. DZIWNE MAŁŻEŃSTWO

Penny stała przy desce do prasowania. Oznajmiła dziś Danielowi, że bierze sobie wolne popołudnie, żeby ogarnąć mieszkanie. Była tak podminowana, że nie mogła ustać za ladą. Prasowanie pomagało jej się odprężyć. Wyjęła z kosza pasiastą bluzę od piżamy Daniela i rozpostarła ją na desce. Ech, jakże żałowała, że Daniel nie wyrzuci tych starych szmat i nie zacznie sypiać nago. Miał takie piękne ciało!

- Gdybyś ty wiedział - powiedziała na głos, choć była sama w pokoju - że w piątą rocznicę ślubu byłam gotowa pójść do łóżka z dwudziestoletnim hydraulikiem w spodniach w kratkę i z czubem tlenionym na blond!

Omali nie rozplakała się ze wstydu na wspomnienie, jak wówczas przeszkodził im telefon i chłopak czmychnął przez kuchenne drzwi.

Ręka jej ścięła; musiała odłożyć żelazko. Podeszła do lustra wiszącego nad elektrycznym kominkiem i spojrzała na swoją trzydziestopięcioletnią twarz.

Dlaczego to zrobiłam? - pomyślała. - Stałam zbyt blisko niego, kiedy wypisywał rachunek. Prawie ocierałam się podbrzuszem o jego twarz. Boże przebac mi, ten smarkacz był cudowny. Skóra bez skazy. Czasem rozumiem, dlaczego mężczyźni miewają romanse. W obliczu takiego piękna trudno się oprzeć.

Dotknęła skóry na szyi.

Jeszcze gładka. Nie jest za późno, by przeżyć taką desperacką namiętność. A może jednak za późno?

Miałam nawet ułożoną pożegnalną kwestię, myślała dalej. Zamierzałam mu powiedzieć, że był słodki i nigdy go nie zapomnę. Rzuciłam mu to znaczące spojrzenie, jakie widuje się w starych czarno-białych filmach i człowiek od razu wie, że będą się kochać. Kontakt oczu, bez zmruczenia, bez słowa. Biedny chłopak, był przerażony! Może jestem zbyt melodramatyczna?

Tamtego dnia magiczny nastrój pierzchnął przerwany brutalnym dzwonkiem telefonu. Dzwonił sąsiad rodziców Penny. Mieli wypadek samochodowy, rzekł, są w ciężkim stanie. Czy mogłaby przyjechać do szpitala Royal Victoria?

Roztrzęsiona z podniecenia i poczucia winy Penny zdołała tylko pokiwać głową. Musi złapać taksówkę. Kiedy znów wbiegła do kuchni, drzwi były otwarte, a hydraulik zniknął. Został tylko rachunek na zlewozmywaku.

Przez następne dwanaście miesięcy nie miała czasu myśleć.

Miotła się między herbaciarnią a domem rodziców. Potem oboje zmarli, najpierw jedno, a trzy miesiące później drugie. Penny długo nie mogła dojść do siebie po ich stracie.

Daniel był prawie rad z wypadku, który zaabsorbował wszystkie myśli Penny. Zdawał sobie sprawę, że Penny oczekuje od niego czegoś więcej, niż był jej w stanie dać. Czuł, że ją rozczarował. Nie potrafił się zmienić. Było już za późno. Nocami śniła mu się matka, jej roześmiane umalowane usta. I nagle szok: odeszła i nikt nie wie dokąd. A potem okropna ciotka Kathleen daje mu do jedzenia stęchły chleb.

Często budził się zlany zimnym potem i do rana już leżał bezsennie. Kiedy Penny błagała, żeby z nią porozmawiał, odwracał się i odchodził. Pytała, na co trzymają oszczędności. Nie potrafił jej odpowiedzieć. Sam nie był pewien. Wiedział tylko to, co powiedziała mu ciotka, kiedy był małym chłopcem: że ekstrawagancja doprowadziła Teresę do ruiny.

Zapominając o prasowaniu, Penny podeszła do komody i wzięła z niej fotografię w srebrnej ramce. Ona i Daniel, szeroko uśmiechnięci, w dniu ślubu. Daniel odprężony i bardzo przystojny; był wtedy opalony jak Latynos. Penny promienieje szczęściem; na głowie ma śliczny ozdobiony kwiatami kapelusz - chwilę później wiatr zdmuchnął go do morza. W tle Millie z papierosem, prawie już wychodząca z kadru, w różowej sukni druhny, która gryzła się z jej rudymi włosami. Czyżby Penny i Daniel pobrali się za szybko, zanim zdążyli się poznać, jak orzekła Millie?

- Dziś nadal cię nie znam - szepnęła ze smutkiem Penny wpatrzona w zdjęcie.

### **13. DROGI NICOLASIE!**

19 marca 1999 r.

*Drogi Nicolasie!*

*To znowu ja, Brenda. Brenda Brown z Belfastu.*

*Chciałam Ci opowiedzieć, jak wyszła nasza mała wystawa. Otóż całkiem nieźle. Było mnóstwo wina i wszyscy trochę się upiliśmy, a przy okazji połamała się jedna z rzeźb Toma Reilly'ego-Dunseitha. Tom się wściekł, ale my śmialiśmy się do rozpuku, naturalnie kiedy nie patrzył. Po wypadku rzeźba wyglądała znacznie lepiej niż przedtem. Zresztą i tak ją sprzedał, podobnie jak wszystkie inne. Ja nie sprzedalam ani jednego płótna. To przez moje pospolite nazwisko.*

*Mimo to wystawa nie była stratą czasu. Dostałam miły list z Galwayu. Chcą wziąć w komis kilka moich obrazów, a może nawet urządzić mi wernisaż. Jadę tam na spotkanie z właścicielem galerii. Chętnie wyrwę się na kilka dni z zadymionego Belfastu, zwłaszcza teraz, gdy moi rodzice się rozwodzą.*

*Oznajmili nam o tym nieoczekiwanie w trakcie sobotniego obiadu. Nie podali nawet rozsądnego powodu, tyle tylko, że są już sobą znudzeni. Oto symptom końca wieku. Nuda stała się nagle czymś nie do zaakceptowania. Z tego co pamiętam, nudzili się ze sobą przez ostatnie dwadzieścia lat, ale dotąd żadne się nie uskarżało.*

*Chyba teraz powinnam już zmienić nazwisko. Które Ty byś wybrał: Emily Fitzwilliam-Morris, Anne Connolly-Smith czy Mary Montague-Skye?*

*Bardzo Cię proszę o zdjęcie z autografem. Jestem Twoją żarliwą wielbicieleką.*

*Z poważaniem*

*Brenda Brown.*



Gdy tylko złoty tusz wysechł, Brenda wrzuciła list do skrzynki. Był to już trzeci list wysłany przez nią do Nicolasa Cage'a. Wyobrażała sobie, jak otwiera je przy śniadaniu nad turkusowym basenem w Los Angeles. Z pewnością wyłowił je ze stosu innych; piękną czerwienią kopert musiały zwrócić jego uwagę. Ma na sobie ciemne okulary i wzorzystą, bajecznie kolorową koszulę, rozpiętą na piersi. Czy Amerykanie jedzą na śniadanie grzanki z marmoladą? Czy w ogóle jedzą grzanki? Chyba nie, raczej naleśniki z syropem. Naleśniki z syropem na białym talerzu obok trzech czerwonych kopert zaadresowanych złotym pismem. Ładna kompozycja. Być może umieści coś takiego w tle następnego obrazu.

#### 14. SKORUPY

Rose Thompson westchnęła siadając na ciasnym zapleczu kwaciarni. Na biurku piętrzyła się kupka listów, na które należało odpowiedzieć, i kilka rachunków do zapłacenia. Z drugiej, tej lepszej strony, leżało zamówienie na dziesięć identycznych bukietów do ozdobienia sali konferencyjnej w luksusowym hotelu. Musiała jeszcze wysłać zamówienie do hurtowni, no i nareszcie zabrać swoje rzeczy z domu, w którym przez ubiegłe cztery lata mieszkała z mężem. Zostały tam jej sukienki i buty, rozrośnięta monstera, drewniana afrykańska żyrafa i trzydzieści jeden książek o bukieciarstwie. Niewiele jak na cztery lata życia.

Tchórzliwie odkładała to już trzy miesiące. W czasie przerwy na lunch uprzątnie tył furgonetki, by zrobić miejsce, i pojedzie dziś po pracy. Miała nadzieję, że John będzie poza domem. Był bardzo atrakcyjny, a nie chciała komplikować sprawy pożegnalnym pocałunkiem, który mógł mieć dalszy ciąg. Nie pasowali do siebie i koniec. To kiepski pomysł ciągnąć nieudane małżeństwo tylko dlatego, że pożądasz męża jak szalona.

Włączyła czajnik i sięgnęła po pierwszy z brzegu list. Czas zacząć nadrabiać zaległości. O szóstej, zadowolona z owocnie spędzonego dnia, zamknęła sklep i włożyła żakiet. Prawie cieszyła się z planowanej wyprawy. Wieczór był jasny; postanowiła, że po załatwieniu tego ostatniego zadania wpadnie na kolację do baru Muldoona. Dziesięć minut później zobaczyła znajomy edwardiański budynek. Gdy jednak weszła do ogrodu, poczuła gorycz. Nie było jej zaledwie dwanaście tygodni, a między płytami chodnika już pleniły się chwasty. Żywopłot zdziczał, wybujały trawnik na gwałt prosił się o skoszenie. Rośliny w koszykach wiszących nad drzwiami zeschły całkiem, smętne pęki poźółkłych badyli kręciły się na wietrze. Oczywiście zapomniał o podlewaniu, pomyślała ze złością. Mimo że dołożyła tylu starań, by dobrać rośliny, które trzeba podlewać tylko raz w tygodniu. Rose straciła ochotę na pożegnalny pocałunek. Z westchnieniem otworzyła drzwi i weszła do środka zamykając je cicho za sobą.

W domu panował nieład. Stos pudełek po pizzy na stoliku w salonie, gazety na podłodze. Brudne kubki i talerze na gzymsie kominka. Stojąca w kącie monstera apatycznie zwieszała przywiedłe liście.

W kuchni ktoś był. Rose odwróciła się gwałtownie i znalazła twarzą w twarz z atrakcyjną młodą kobietą przyodzianą w koszulę Johna i nic poza tym. Właściwie jeszcze dziewczyną, nie kobietą. Paznokcie różowe jak u lalki Barbie. Utleniona na biało szopa i opalone nogi. Niebieskie rzęsy niczym pająki z innej planety. Dziewczyna trzymała w ręku czajnik.

- Ty pewnie jesteś Rose - odezwała się.  
- Tak - powiedziała Rose. - Wybacz, ale nie wiem, kim ty jesteś.  
- Mam na imię Cindy. John nie mówił, że dziś przyjdiesz.  
- Nie uprzedziłam go. Miałam wolną chwilę i postanowiłam wpaść po rzeczy.  
- Aha. Jest na górze, zaraz go zawołam.  
- Nie, nie trzeba. Wezmę tylko ...  
- Ktoś do ciebie, John! - zawołała Cindy. - To Rose!  
- Istna hipiska z tej jego żony, stwierdziła w duchu i po namyśle zapięła jeszcze dwa guziki koszuli.  
- O mój Boże! - dobiegł z góry męski głos. Rozległa się pospieszna krzątanina w sypialni i po chwili John zbiegł do salonu, mając na sobie tylko spodnie. Podał Cindy szlafrok i stanął obok niej. Dziwne, lecz wyglądali jak normalne małżeństwo. Pasowali do siebie znacznie bardziej niż John i Rose. Rose czuła, że zaraz się rozplacze z zazdrości, upokorzenia i żalu. Teraz rozumiała, dlaczego nie miał czasu podlać kwiatów.

\_ Rose ... - John odchrząknął i złożył ręce na piersi. - Nie spodziewałem się ciebie. Ładnie wyglądasz.

Nie była to imponująca przemowa po tak dramatycznym wejściu. Zerknął znacząco na Cindy dając jej do zrozumienia, żeby poszła na górę. Ale Cindy wcale nie miała ochoty zostawiać ich samych. Uśmiechnęła się do niego promiennie, udając, że nie rozumie.

\_ Eee ... cześć, John - bąknęła Rose. - Przepraszam za to wtargnięcie. Nie wiedziałam, że masz

towarzystwo.

\_ Hm, Rose, to jest Cindy, moja asystentka. I... eee ... Cindy, to jest Rose. Moja żona. Była żona. Hm ... trochę to kłopotliwe, moje panie.

Cindy uśmiechnęła się do Rose bez drgnienia niebieskich rzęs, a Rose odpowiedziała jej uśmiechem, zaciskając zęby. John uśmiechnął się do nich obu i zapadła krępująca cisza. Stali, jakby czekali na autobus albo koniec antraktu. Rose zastanowiła się przelotnie, czy na pewno zmyła wczorajszy makijaż (nie zmyła) i czy łuszczy jej się lakier na paznokciach (łuszczył się). Zastanawiała się również, jak John mógł tak szybko znaleźć sobie inną na jej miejsce. Doprawdy był bardzo nowoczesny. Zawsze do przodu, oto jego motto. Szkoda czasu na nostalgiczne wspomnienia. Rose zdała sobie sprawę, że musi dziś zabrać wszystkie swoje rzeczy. Nie chciała już wracać do tego domu.

- No cóż - powiedziała chłodno. - Wezmę tylko to i owo i znikam. Możecie wrócić do zajęć, które wam przerwałam.

\_ Nie ma powodu, żebyś była taka uszczypliwa - warknął John. - Ostatecznie to ty mnie porzuciłaś! Ja cię kochałem!

Uśmiech trzymał się warg Cindy jak przyrośnięty, ale stracił nieco ze swego blasku.

\_ Chciałaś, żebym sprzedawała alarmy przeciw włamaniom.

- Mogłaś powiedzieć "nie". Nie musiałaś się od razu wyprowadzać, na miłość boską!

- Jestem kwiaciarką. Kocham kwiaty!

- O, tak. Zdaję sobie z tego sprawę. - Kochasz je znacznie bardziej niż mnie, pomyślał.

- Co przez to rozumiesz? - Rose wychwyciła jego intencję bardziej z tonu niż słów.

- Nic. - Cindy nigdy nie kłóciła się z nim tak jak Rose.

Cindy uważała, że jest boski.

- Może napijecie się kawy? - wtrąciła Cindy starając się zachować cywilizowane formy.

- Ja dziękuję. Ale wy, proszę, nie przeszkadzajcie sobie. Rose ruszyła na piętro walcząc z zawrotem głowy, Cindy zaś wycofała się do kuchni, zadowolona, że nie będzie świadkiem emocjonalnych scen - zwłaszcza pojednania zwaśnionego małżeństwa. Po chwili wraz z Johnem przycupnięci na sofie pili kawę, podczas gdy Rose kursowała po schodach w górę i na dół niczym trąba powietrzna, wrzucała buty i książki do plastikowych toreb omijając wzrokiem łóżko, u którego wezglowia wisiały różowe kajdanki z pluszu. Resztki uczuć Rose zwiędły i uschły jak te kwiaty nad drzwiami. W ciągu paru minut była gotowa do wyjścia. Dogorywająca monstera została ostrożnie przeniesiona do furgonetki.

- Oddaję ci go. - Rose stanowczo wcisnęła klucz w wyciągniętą dłoń męża. - Nie będzie mi już potrzebny.

Kiwnął głową.

- Ostatnia rada, John: nie pozwól, żeby trawa cię zarosła. Dosłownie i w przenośni. Szkoda, że nie wykazałaś tyle inicjatywy w ogrodzie.

- Wybacz, nie miałem czasu. Było tyle spraw ... Szkoliłem Cindy i w ogóle ...

Cindy zarumieniła się gwałtownie. Rose nagle spostrzegła, że włosy na piersi jej męża zwijają się w małe ciemne pierścionki. Wciąż ją podniecał, ale miała pewność, że podjęła słuszną decyzję. John żył tylko chwilą bieżącą. Nie nadawał się na ogrodnika.

Nadszedł czas rozstania. John wstał, Cindy także. John miał ochotę uściskać Rose na pożegnanie, ale przeszkadzał mu kubek w jednej ręce, klucz w drugiej i zaborcza asystentka u boku.

Cindy odezwała się pierwsza:

- Będę na górze - powiedziała do Johna. - Rose, miło było cię poznać.

- Wezmę jeszcze to, jeśli pozwolisz. - Rose nieomal wyrwała jej z ręki porcelanowy kubek. - Dostałam go w prezencie ślubnym od siostry.

- To prawda - rzekł John. - Weź i ten, tworzą komplet. - Przełknął resztkę kawy i podał jej ciepły jeszcze kubek. Oboje patrzyli na zgrabne nogi Cindy wchodzącej po wąskich schodach. - Żegnaj, Rose - powiedział John. - Będzie mi cię brakować.

Rose przycisnęła oba kubki do piersi i bez słowa wyszła do oświetlonego jeszcze zachodzącym słońcem ogrodu, nie oglądając się za siebie. Wsiadła do furgonetki, postawiła kubki na fotelu pasażera i usiłując nie widzieć ironii sytuacji, uruchomiła silnik.

- W tym wozie są trzy skorupy - mruknęła cicho.

Drzwi domu się zamknęły. John bez wątplenia udał się na górę do sypialni.

W drodze do wynajętego mieszkania Rose chciała się rozplakać, lecz bez skutku. Czuła się odrętwiała. W pewnym sensie to dobrze, że głupie nadzieje na odnowę związku zostały tak brutalnie, jednoznacznie zmiażdżone. Czas zamknąć ten rozdział i ruszyć dalej. Pomyślała o swoim

rodzinnym domu w Connemarze. Musi tam wrócić, żeby rany w jej sercu mogły zacząć się goić.  
- Co za dupek! - syknęła z goryczą. - Taki ładny, a taki głupi! ...

## 15. SADIE MA PLAN

Sadie Smith była mistrzynią w chowaniu różnych rzeczy. Po całym domu miała poukrywane paczki drażetek czekoladowych na wypadek, gdyby nagle poczuła ochotę na coś słodkiego. Tego ranka wstała, gdy wszyscy jeszcze spali; włożywszy różowy satynowy szlafrok wzięła klucze Arnolda ze stolika w holu i wrzuciła je do wazy stojącej na komodzie. Potem weszła do swojej schludnej kuchni i postawiła mleko na kuchence. Uwielbiała gorącą białą kawę. Nucąc marszową melodię rozłożyła na stole nakrycia do śniadania.

Wychodząc z domu Arnold odkrył, że nie ma kluczy. Sadie zdziwiła się bardzo i przyłączyła do poszukiwań, sumiennie obmacując sofę ze wszystkich stron. Po półgodzinie dali za wygraną; Arnold wziął zapasowe i pojechał do pracy.

- Nie martw się, znajdę je przy odkurzaniu - zapewniła go beztrąsko Sadie. - Same nie odeszły daleko!

Kiedy skończyła zmywać po śniadaniu i usadziła teściów przy radiu w salonie, przemknęła na paluszkach do gabinetu Arnolda. Był to duży pokój, tak samo ostentacyjnie snobistyczny jak jej mąż. Stało tu eleganckie biurko i wygodny skórzany fotel, na ciemnozielonych ścianach wisiły sztychy o tematyce myśliwskiej. Arnoldowi nie był potrzebny gabinet w domu. Potrzebny mu był natomiast pretekst, żeby wieczorem pozostawić rodzinę samą przed telewizorem. Sadie nagle zdała sobie sprawę, jak niewiele czasu Arnold spędza z nią lub rodzicami, których podobno tak bardzo kocha.

Pociągnęła szufladę biurka. Zamknięta. W przywłaszczonym pęku znalazła mały mosiężny kluczyk i spróbowała włożyć go do zamka. Pasował. Wewnątrz były ulotki reklamujące wycieczki do Paryża.

\_ Mhm - mruknęła Sadie. - Urocze.

Pod ulotkami znalazła zdjęcie Arnolda na targach budowlanych w Anglii. Obok niego stała tajemnicza blondynka. Co za wampirzyca, pomyślała Sadie oglądając zdjęcie. Chuda i bezkrwista niczym upiór. Wystrzępiona blond grzywka, krwistoczerwone ostro zakończone paznokcie, wysokie obcasy cienkie jak sztylety i długie sztuczne rzęsy. Opalone nogi grubości zapalek - dziw, że się pod nią nie złamały!

Sadie oblała się rumieńcem, który nie ustępował barwą paznokciom wstrętnej wiedźmy ze zdjęcia. Na odwrocie widniał podpis:

Arnold i Patricia, Essex, 1998. Musi się dowiedzieć, czy znają się z pracy, czy też Arnold znalazł sobie kochankę anorektyczkę.

Po południu wyszła do miasta. Miała zamiar kupić nowy sweter dla Maurice'a i odebrać leki dla Daisy. Ulegając nagłemu impulsowi, wstąpiła do herbaciarni Muldoona, żeby spytać, czy przypadkiem nie znaleźli pozostawionej przez nią parasolki. Było kilka wolnych miejsc przyoknie, ale Sadie usiadła w kącie, przy tym samym stoliku, gdzie owego dnia jadła sernik z wiśniami. Potrzebowała spokoju, żeby się zastanowić - w domu Maurice i Daisy wciąż czegoś od niej chcieli.

Zamówiła kurczaka z podwójnymi frytkami i tort czekoladowy z bitą śmietaną. Chyba po raz pierwszy w życiu nie liczyła kalorii. Czowała, jak kolejne warstwy tkanki tłuszczowej topnieją w niej z powściąganą furii.

W drodze do domu wstąpiła do ślusarza na Fountain Street i kazała mu skopiować wszystkie klucze Arnolda.

Miała pewien plan.

\_ Ja ci pokażę, ty wymuskany, zarozumiały, niewyżyty zbrojeńcu - powiedziała na głos, maszerując z pełnym żołądkiem na przystanek.

Beatrice i Alice Crawley wybrały się do herbaciarni specjalnie, żeby powiedzieć Penny o ważnym liście, jaki otrzymały z kancelarii urzędu miasta.

Nareszcie, po tylu latach, ich ofiarna działalność na rzecz społeczeństwa miała zostać publicznie uznana! Burmistrz Belfastu wydawał w ratuszu uroczysty bankiet dla grona wybranych osób, które zebrały duże sumy na utrzymanie miejsc *pamięci* II wojny światowej w całej Europie. Po obiedzie przewidziano mowy oraz uroczyste otwarcie wystawy fotografii z czasów wojny. (Siostry również poproszono o udostępnienie kilku *zdjęć* świetlanej pamięci sierżanta Williama Crawleya.) Imprezę miała uświetnić swą obecnością bardzo ważna osoba, ale nie wiadomo było jeszcze kto. W liście napisano tylko: "Ustalenia są w toku".

Oczywiście zaproszono też prasę. (Może trafią do gazet!) Relacja telewizyjna miała zostać wyemitowana w popołudniowych wiadomościach, a Frank Mitchell, jeden z prezenterów lokalnej stacji, już poprosił je o wywiad. Siostry pękały z ciekawości, kim jest tajemniczy Bardzo Ważny Gość.

- Jak myślisz, czy chodzi o królową? - szepnęła Alice.

- Och! To dlatego nie chcą zdradzić szczegółów! Ze względów bezpieczeństwa. - Beatrice zakryła usta dłonią. Obie panie spojrzały na swe odbicie w antycznym lustrze wiszącym nad kominkiem. Potem co sił w wysłużonych w społecznej służbie nogach popędziły na *piętro* i pospiesznie zaczęły przymierzać wszystkie posiadane kapelusze.

## 16. HENRY ZNAJDUJE POCIECHĘ

Henry wyszedł z domu ze złożoną gazetą w dłoni i ruszył bez celu przez Malone, a potem Lisburn Road. Z przyzwyczajenia *skręcił* do herbaciarni Muldoona. Często tu przychodził, kiedy czuł się samotny. Przy ladzie stała Penny.

- Co podać, panie Blackstaff? Wygląda, jakby potrzebował pan pociechy. Polecam *kurczę* w sosie egzotycznym i budyń.

Henry uśmiechnął się, ale zamówił tylko *kawę* i kanapkę. Usiadł i zapatrzył się w okno.

Zastanawiał się, co robić. Pewnie *muszę się* z tym pogodzić, pomyślał. Skoro tylko Aurora *będzie szczęśliwa*, i ja jakoś to *przeżyję*.

- Co by pani powiedziała, gdyby mąż chciał wydać wszystkie *oszczędności* na remont domu? - spytał, kiedy Penny przyniosła mu *kawę*.

- Uklęknąłbym przed nim i całowała go po nogach - odparła Penny. - *Mówię poważnie*.

- O ho, ho! - mruknął Henry. Zawsze myślał, że nie przeszkadza jej obskurne *wnętrze* herbaciarni. A zatem nie mógł liczyć na współczucie Penny, gdy szło o prace remontowo-budowlane. - Jak tam budowa? - zagadnęła.

- Lada dzień *się* rozpocznie. Jeszcze tylko parę drobnych formalności.

Proszę się nie martwić. Na pewno obróci się to na dobre.

Henry zamieszał *kawę* i wyjrzał przez okno. Z kwaciarni naprzeciw wyszła zgrabna kobieta.

Wyjęła pęk kwiatów ze stojącego na chodniku pojemnika. Kiedy się wyprostowała, słońce musnęło jej długie rude włosy, które rozbłysły jak ogień. Henry widywał ją już wcześniej, lecz dopiero dziś zwrócił na nią uwagę. Miała bladą, subtelną piękną twarz i smukłe białe łydki. Ubrana była w czerwoną sukienkę w hinduskie wzory, czarny sweter i króciutkie czerwone botki w tym samym odcieniu co sukienka. Wpatrując się zachłannie w jej białą skórę, czerwoną sukienkę i bukiet lilii, który trzymała w ramionach, Henry poczuł się młody i stary zarazem.

Kobieta wróciła do sklepu, a Henry wciąż patrzył na zamknięte drzwi. Nagle zamarzył, że trzyma tę delikatną twarz w swych męskich dłoniach i całuje - czule, nie lubieżnie. Rzadko całował Aurorę. Prawdę mówiąc, od dawna tego nie próbował. Bał się, że wystawi mu mierną ocenę. Ciężko konkurować z bohaterami książek, galopującymi na dzikich rumakach przez porośnięte wrzosem pustkowia Yorkshire'u w zacinającym deszczu i gwałtownej wichurze.

- Czy ma pan ochotę na coś jeszcze?

Henry uświadomił sobie, że Penny wciąż stoi obok niego.

- Chyba poproszę o ten budyń - uśmiechnął się.

- Wiedziała, że w końcu *się* pan rozchmurzy!

Po posiłku Henry poszedł wprost do kwaciarni. Wmawiał sobie, że chce kupić kilka lilii dla Aurory, by przeprosić ją za wszystkie ostre słowa, lecz w rzeczywistości chciał jeszcze raz zobaczyć *piękną* rudowłosą. Kiedy wszedł do ciemnego, chłodnego wnętrza, serce zabiło mu szybciej.

Kobieta zbierała z podłogi liście i oberwane pączki. Podniosła na niego wąskie zielone oczy. Twarz miała usianą setkami różowych piegów. Była znacznie od niego młodsza, ledwie po trzydziestce.

- Dzień dobry - powiedziała z uśmiechem.

\*

Lilie wprawiły Aurorę w zachwyt. Żartowała co prawda, że kojarzą jej się raczej z pogrzebem, ale była nimi oczarowana. Pachniały upojnie. Od razu przestała się gniewać na Henry'ego. Arnold Smith został powiadomiony, że budowę można rozpocząć bezzwłocznie, gdy tylko zostaną dopełnione formalności. Do ogrodu wjechał buldożer i szklarnia Henry'ego odjechała w kontenerze na śmieci wraz z wonnymi ziołami i kwiatami w doniczkach, które grzechotały trwożnie na wybojach. W dniu, w którym wujkowa araukaria miała zostać brutalnie wyrwana z ziemi, Henry od rana czuł dotkliwy ból w sercu. Musiał wyjść z domu, żeby nie być tego

świadkiem. Po powrocie wyjął ze skrzynki pocztowej uprzejme odmowy od kolejnych trzech wydawców.

B udowa znacząco wpłynęła na ich życie. Pękały rury, wysiadały bezpieczniki, sąsiedzi mieli pretensje o kurz i hałas. Aurora wzięła urlop, żeby pilnować robotników. Henry do późna przesiadywał w antykwariacie i *większość* posiłków jadał u Muldoona. Aurora ledwie go zauważała; siedziała wśród rusztowań zajęta rozpatrywaniem próśb o przyjęcie do Rodziny Bronte oraz projektowaniem stroju, w którym miała wystąpić przed kamerami: czarnej sukni na obręczach z mnóstwem halek i białego koronkowego czepka.

David Cropper zatelefonował po raz kolejny, zapraszając Blackstaffów na obiad. Był bardzo podekscytowany: program uzyskał akceptację zarządu BBC i atrakcyjny wieczorny czas antenowy na drugim kanale. Aurora natychmiast przyjęła zaproszenie, ale nie przekazała go mężowi: I tak go to nie interesuje, powiedziała sobie. Będzie milczał z cierpienniczą miną lub co gorsza, powie panu Cropperowi, co myśli o Rodzinie Bronte. Oznajmiła więc, że idzie na spotkanie z ekipą filmową z BBC. *Będą* omawiać sprawy techniczne, dosyć nudne, nie ma zatem potrzeby, żeby Henry tam był. Nie miała zamiaru wzbudzać w nim zazdrości, skoro nie było po temu powodu.

Kiedy jednak nazajutrz przyjechał po nią David Cropper i Aurora po raz pierwszy zobaczyła go na własne oczy, pożałowała, że spięła włosy w kok i włożyła skromny żakiet ze stójką, który ją postarzał. Speszona jak pensjonarka, wykrztusiła jakąś idiotyczną uwagę na temat pogody. Wywarła jednak chyba dobre wrażenie na oszalałym panu Cropperze, bo sprowadził ją z atencją ze schodów, otworzył przed nią drzwi swojego niezbyt imponującego samochodu, zaczekał, aż Aurora wygodnie się usadowi i dopiero wtedy delikatnie je zamknął.

Zabrał ją do pięknej restauracji na Linenhall Street, gdzie spożyli wyśmienitego homara, sałatkę oraz dwie butelki białego wina. Aurora była urzeczona olejnymi obrazami na ścianach i dyskretną elegancją obsługi, a jeszcze bardziej urzekły ją senne brązowe oczy Davida Croppera. Choć w jego czarnych włosach lśniły pasma siwizny, nie wyglądał staro; nadawały mu szlachetny wygląd mędrca. W miarę jak doskonale schłodzone wino czyniło swoją powinność, do rozmowy wkradły się zalotne nutki. David podchwytował i kończył rozpoczęte przez Aurorę cytaty. Było to ekscytujące.

Ku miłemu zaskoczeniu Aurory w restauracji pojawiły się inne znane z telewizji twarze. David wstał, żeby ją przedstawić, było mnóstwo ściskania rąk i całowania się w powietrzu. Nowo przybyli usiedli przy osobnym stoliku, ale postawili drinki Davidowi i jego towarzysze. Aurora poczuła, że przynależy do intelektualnej śmietanki Belfastu. W połowie wieczoru odniosła wrażenie, że zna Davida od zawsze.

Musiała być więcej niż tylko trochę wstawiona, uświadomiła sobie później, wspominając swoje dramatyczne wyznania przy deserze. Mówiła o psychicznej więzi z Emily Bronte, której duch przemówił do niej w Haworth, i o powołaniu, by kontynuować rozpoczęte przez Emily wielkie dzieło szerząc w społeczeństwie umiłowanie literatury pięknej. David wysłuchał tego bez mrugnienia okiem, ba, w pewnej chwili położył swą wytworną dłoń na ramieniu Aurory i uściśnął je lekko.

Gdy działanie wina zaczęło słabnąć, przeprosiła za ten występ. Ale David stwierdził, że go zachwyciła. "Oczarowała", poprawił się zamawiając dwa likiery kawowe. Czuje w Aurorze bratnią duszę. Nadają na tych samych falach. Razem pokażą reszcie świata, że Belfast to nie tylko bomby, manifestacje i histeria.

Mów, mów do mnie jeszcze, przystojniaku - myślała Aurora, uśmiechając się skromnie.

Wychodząc, wzięła sobie na pamiątkę pudełko zapalek z emblematem restauracji.

W drodze powrotnej David, na pozór zupełnie trzeźwy, objaśniał jej kolejne etapy realizacji filmu. Pewnie jest zahartowany częstymi spotkaniami w interesach, myślała Aurora walcząc z ogarniającą ją sennością. Miała ochotę się położyć w najbliższym dostępnym miejscu, chociaż nie wiedziała, czy to wpływ wina czy urody Davida Croppera. Gdy opowiadała mu z ożywieniem o jardach białego płótna, z których powstanie halka do jej sukni z epoki, w jego oczach pojawił się błysk, który speszzył ją tak, że zmieniła temat.

Jazda samochodem trwała stanowczo za krótko. Pożegnawszy Davida, Aurora stała jeszcze przez chwilę przy furtce patrząc za nim, aż zniknął jej z oczu. Jest bardzo atrakcyjny, pomyślała i przez moment zapragnęła też mu się spodobać. Ale zaraz potem śmiała się już z siebie. Gdzież kobiecie w jej wieku do romansów! To tylko podniecenie występem w telewizji przyprawiało ją o zawrót głowy.

Weszła do domu, lawirując między kwiatkami Henry'ego.

Doprawdy zastawił doniczkami całe schody. Ciężko między nimi przejść. Będzie musiała mu zwrócić uwagę, gdy przeboleje już stratę ogrodu.

Henry leżał na sofie, sączył czerwone wino i przeglądał katalog ogrodniczy. Widząc go w zmiętych spodniach i starym pulowerze, Aurora poczuła przypływ irytacji. Mógł w tym czasie posprzątać, zamiast tracić czas na próżno. Choćby odkurzyć dywany.

- Nie widzę potrzeby, abyś nadal kupował te katalogi - wypaliła, zanim zdołała się powstrzymać.

- To prawda. Ale lubię je oglądać. Smakował ci obiad? W jego łagodnym głosie nie było śladu zazdrości ani podejżenia. - Strasznie długo cię nie było. Dokąd cię zabrał?

- Do Christies Brasserie. Było cudownie. Podają wyśmienity sos do homara. Nie mam pojęcia, co w nim było. I bardzo ładny wystrój. Zdumiewające, że nigdy tam nie byliśmy. - Należy się skoncentrować na prawdziwych szczegółach, oto pierwsza zasada zręcznego oszusta, pomyślała. - A ty? Zrobiłeś sobie coś do jedzenia?

- Poszedłem do Muldoona na rybę i frytki. Nie chciało mi się gotować tylko dla siebie. Na deser zamówiłem krem bananowy.

- Uważaj, bo zaczniesz tyć - stwierdziła złośliwie Aurora myśląc o płaskim brzuchu Davida Croppera nad czarnym paskiem z błyszczącą srebrną sprzączką. A potem szybko poszła na górę zrobić sobie gorącą kąpiel. Wolą zjeść Henry'emu z oczu - po części dlatego, że kręciło jej się w głowie od nadmiaru wina, a po części z powodu wyrzutów sumienia, że jest dla niego taka niemiła. Kilka dni później panna Wilkinson ogłosiła, że odchodzi na emeryturę, i dyrektorką szkoły została mianowana nieoceniona pani Blackstaff. Aurora triumfowała. Pierwszą osobą, której pochwaliła się radosną wieścią, był David. Pogratulował jej gorąco i natychmiast zaproponował kolejne spotkanie, by to uczcić.

## 17. CLARE I BRENDA JEDZĄ OBIAD

Clare Fitzgerald odetchnęła głęboko i podniosła słuchawkę. Zatrzymała się w Belfaście dłużej, niż zamierzała, odwiedziła paru starych znajomych i krewnych, sporo chodziła po mieście napawając się jego atmosferą. Nie mogła pozbyć się uczucia, że ma tu jeszcze coś do zrobienia. Może wciąż roiła sobie, że przypadkiem napotka swą utraconą miłość.

Sala koncertowa Waterfront Hall zrobiła na niej wrażenie, podobnie jak nowoczesne bloki na drugim brzegu rzeki. Kto by pomyślał, że stary, uparty Belfast tak się zmodernizuje? Było tu sporo porządnych restauracji, na przykład ta jakże surowa w wystroju knajpka przy Malone Road. Szkoda, że nie zdążyła napisać o niej artykułu. Trudno. Czas wracać do domu.

Usiadła na hotelowym łóżku i starannie wystukała długi numer.

Czekając na połączenie, zaczęła wkładać do kosmetyczki pachnące wanilią kremy i wymyślne flakoniki perfum.

- Dzień dobry, tu redakcja, czym mogę służyć?

- To ty, Mike? Cześć, co słychać?

- Clare! Wszystko w porządku, a u ciebie?

- Dobrze.

- Nie stęskniłaś się jeszcze za nami?

- Owszem, i wreszcie jestem gotowa do powrotu. Dostałeś filmy?

- Oczywiście!

- Jak wyszły zdjęcia? Co sądzisz o tym starym domu? Piękny, prawda? Oryginalne zabytkowe kominki i cała reszta.

- Śliczny!

- Mają tam wspaniałą ogród różany i stareńką altanę całą porośniętą bluszczem. Myślałam, żeby ją dać na okładkę.

- Mam się tym zająć?

- Hm ... tak, proszę. Chyba najlepsze będzie to z bladymi różami na tle drzwi altany. Ciemny bluszcz ... litery może białe? Zrobisz projekt?

- Jasne. Opowiedz coś więcej. Jak nastrój? Zadowolona z wycieczki?

- Czy zadowolona? Prawdę mówiąc, kiedy zaproponowałeś Belfast. myślałam, że zwariowałeś, ale to był dobry pomysł. Przy okazji odświeżyłam wspomnienia.

- Tak przypuszczałem. Spotkałaś kogoś interesującego?

- Spędziłam wspaniałą wieczór z koleżankami z lat szkolnych.

- Rejs po knajpach?

- W moim wieku? W Belfaście? Nie, poszłyśmy do miłej, spokojnej restauracji.
- Byli tam jacyś przystojni mężczyźni?
- Nie, nie poznałam żadnych przystojnych mężczyzn. Nigdy się nie poddajesz? Mówiłam ci już milion razy, żebyś mnie nie swatał. Lubię być sama.
- Skoro tak twierdzisz ... Masz zmęczony głos.
- Jestem trochę zmęczona. Cieszę się, że jutro już będę w domu. Zwiedzanie jest strasznie męczące.
- Kiedy lecisz? Wyślę po ciebie samochód.
- Będę na lotnisku Kennedy'ego o siódmej wieczorem. Waszego czasu.
- Powiedz, jakie masz plany na ostatni wieczór w rodzinnym mieście?
- Dziś? Zamówię kolację do pokoju.
- Nie żartuj!
- Mówię poważnie. Tak jest łatwiej. Uwierz mi. Podobnie zresztą spędziłam większość tutejszych wieczorów. Położę się dziś wcześniej, a jutro się zobaczymy. W redakcji wszystko gra? Udało ci się zdobyć drewnianą drabinę do tych zdjęć z pościelą?
- Owszem. A muszę ci powiedzieć, że nie było to łatwe.
- Świetnie. W takim razie dobranoc.
- Dobranoc, Clare.

Odłożyła słuchawkę. Mike był najlepszym asystentem w firmie.

Doskonale prowadził biuro pod jej nieobecność i załatwiał sprawy tak, jak ona sobie tego życzyła. Nie wzorem niektórych, co tylko patrzą, jak by wygryźć szefa.

Oczywiście mogła tu przysłać fotografa. Był świetny, ale Clare czuła się pewniej, kiedy była na miejscu. Miała talent do wyłapywania drobiazgów, które nadawały czasopismu styl. Na przykład ta stara altana w Stranmillas: czy fotograf dostrzegłby jej romantyzm? Skośne światło zachodu przesączone przez pergolę, drzwi lekko uchylone, tak by widać było puste wiklinowe fotele ... Okładka będzie tchnęła ich tęsknotą do kochanków, którzy siadywali w tej altanie przed laty ...

Przestań, skarciła się w duchu. Znowu robisz się sentymentalna.

To wszystko działo się bardzo dawno temu. I przypuszczalnie nie znaczyło dla niego nic. Był dla mnie po prostu miły, bo widział, że jestem niedoświadczoną nastolatką. Na pewno nie poznałby mnie dziś na ulicy. A tymczasem ja robię z siebie tragiczną bohaterkę.

Nie pomogło. Czuła, że musi tam wrócić, ostatni raz. Rzuci tylko okiem na tamte miejsca, a potem raz na zawsze wyrzuci je z pamięci.

Włożyła płaszcz i granatowy filcowy kapelusz z opuszczonym na oczy rondem i wyszła z hotelu. Ruszyła powoli przed plac Shaftesbury, oglądając wystawy galerii, a potem wzdłuż Lisburn Road, z której skręciła w Morwową.

Herbaciarnia była otwarta. Właściciele nic w niej nie zmienili w ciągu tylu lat, nawet szyldu. Było to przedziwne miejsce, trochę jak sklep czarnoksiężnika z bajki: zwyczajny z zewnątrz, a magiczny w środku. A może po prostu znowu ponosiła ją wyobraźnia?

Robiło się ciemno; na niebie świecił księżyc i gwiazdy. Z okien herbaciarni wylewało się światło tworząc prostokątne kałuże na chodniku. Cienie poruszających się wewnątrz ludzi znaczyły je jak fale. W lokalu był tłok, nie wypatrzyła ani jednego wolnego stolika, a nie chciała się do nikogo przysiąść. Znowu zaczęłyby się pytania o Amerykę. Wołała być sama ze swoimi wspomnieniami. Zawróciła od progu i poszła dalej.

Starając się opanować emocje spojrzała w okna swego dawnego mieszkania. W zaniedbanych skrzynkach na parapecie rosły mniszki.

Nagle w ciemnym kwadracie ukazała się biała twarz z czarną grzywką spadającą na jedno oko. Clare zamarła. Te same krótkie czarne włosy i wystające kości policzkowe. Zadygotała i mimowolnie uniosła dłoń do ust. To nie mógł być Peter. Dziś byłby po czterdziestce. Najwyraźniej zaczyna jej odbijać. Zjawa w oknie spojrzała wprost na nią i spłoszyła się prawie tak samo jak Clare. Dopiero po chwili Clare zdała sobie sprawę, że twarz należy do młodej kobiety. Zmusiła nogi do posłuszeństwa i ruszyła dalej. Posłyszała otwierające się drzwi i wołanie:

- Wszystko w porządku? Dobrze się pani czuje?

- Tak, tak - potwierdziła skwapliwie Clare. - Po prostu wzięłam panią za kogoś innego.

Przepraszam, jeśli panią wystraszyłam.

- Nic nie szkodzi. Bałam się, że pani zemdleje albo co. Mieszkam tu od kilku lat. Jest pani pewna, że nie pomyliła pani adresu?

- Och, tak, ale ta osoba nigdy tu nie mieszkała. To ja zajmowałam to mieszkanie. Jest pani po prostu bardzo podobna do ... do tej osoby. - Clare nie miała ochoty mówić Brendzie, że dwadzieścia lat

temu spędziła noc z mężczyzną, którego ledwie знаła. Ani że wzięją za chłopca. - Przepraszam - powtórzyła, odwracając się, by odejść.

- Proszę zaczekać! Powinna pani choć na chwilę usiąść. Wciąż jest pani bardzo błada. Może wejdzie pani do mnie na herbatę? Nazywam się Brenda Brown, jestem malarką.

- Clare Fitzgerald. Bardzo mi miło panią poznać. - Uścisnęły sobie dłonie.

Clare wiedziała, że nie powinna tam wchodzić. Sama prosiła się o kłopoty, stąpając po emocjonalnym polu minowym, jakim był jej dawny dom. Ale ruszyła za Brendą jak robot i bez słowa weszła w drzwi na pierwszym piętrze.

\_ Mój Boże ... - szepnęła. - Nic się nie zmieniło. Ten sam dywan, ten sam stół, ta sama sofa. Nawet meble stoją w tych samych miejscach. Dokładnie tak, jak było.

\_ Wcale mnie to nie dziwi. Właściciel to wykapany Scrooge. Wątpię, by zainwestował tu choć pensa.

\_ A więc maluje pani? - Clare zerknęła na płótna stojące pod ścianami. Mimo okoliczności obudziła się w niej zawodowa ciekawość.

- Tak.

- Aco?

\_ Takie tam ... smutki. - Teraz, gdy Brenda nareszcie miała zainteresowaną słuchaczkę, nie potrafiła się zdobyć na żadne wzniosłe zdanie. - Zwykłych ludzi. Zawiedzionych ludzi.

- Sprzedaje je pani?

\_ I tak, i nie. Tak, są na sprzedaż, ale nikt ich nie kupuje.

- Mogę spojrzeć?

\_ Proszę się nie krępować. - Brenda wręczyła jej listę tytułów. \_ *Czekając na ciszę, Koniec dnia, Matka z Belfastu* - czy-

tała na głos Clare. - *Kuchnia w Shankill, Zanim przyjdzie ksiądz, W oczekiwaniu świtu ...*

\_ T-tak ... - mruknęła zakłopotana Brenda. - Sporo tu czekania.

Clare przez dłuższą chwilę przeglądała obrazy. Były dobre, uznała. Odrobinę pompatyczne, ale dobre. Doskonałe możliwości, jeśli tylko obniżyć nieco ton.

\_ Czy mogłabym zobaczyć sypialnię? - spytała nagle.

Przez moment Brenda, przekonana, że chodzi o obraz zatytułowany "Sypialnia", usiłowała sobie przypomnieć, kiedy coś takiego namalowała i gdzie to jest. Potem uświadomiła sobie, że nieznajomej chodzi o miejsce, w którym sypia. Zaniepokoiła się. Może to wariatka? Nikt normalny nie wprasza się obcemu człowiekowi do sypialni. Równocześnie jednak twarz kobiety emanowała krzepiącym spokojem.

- Jest tam - wskazała drzwi na korytarzyk.

- Wiem, gdzie jest - uśmiechnęła się Clare i przeszła dalej, zostawiając Brendę w progu.

To samo tanie kute żelazne wiktoriańskie łóżko z utraconą częścią kwiatowego ornamentu.

Splowiała tapeta w kwiaty. Kuchenne krzesło zamiast nocnej szafki. Tylko dywan był inny: szary, gładki. (To było zasługą Brendy, która niechcący rozdeptała na starym dywanie tubę olejnej farby. Oszczędzała kilka miesięcy na nowy.)

- Dawniej dywan był tak samo koszmarny jak tapeta. - Po policzku Clare spłynęła duża łza.

Brenda odwróciła wzrok, dając jej czas na otarcie oczu. Zastanawiała się, czy ta skłonna do wzruszeń kobieta kupi jakiś jej obraz. Pieniądze były jej bardzo potrzebne, ale krępowała się zapytać.

- A zatem wynajmowała pani to mieszkanie? - bąknęła.

- Tak. Studiowałam w Belfaście bardzo wiele lat temu. Mieszkałam tu przez niecały rok.

- Powinna pani raczej powiedzieć "usiłowałam przeżyć". Zimą tu jest gorzej niż na Syberii.

- Wciąż nie ma centralnego ogrzewania? To skandal, mamy przecież koniec dwudziestego wieku. Czy wie pani, że mam jeszcze gdzieś klucz?

- Sądząc po stanie drzwi, zamki były zmieniane co najmniej kilka razy. - Brenda zawahała się, patrząc na Clare. - Za kogo mnie pani wzięła?

- Za osobę, którą znałam w tamtych czasach.

- Jak się nazywała?

- Uśmieje się pani .. To był chłopak, ale nosił taką samą fryzurę. Właściwie nie widziałam pani twarzy za tą grzywką. Oczywiście wcale nie wygląda pani jak chłopiec.

- Sympatia?

- I tak, i nie, że zacytuję pani powiedzenie. Nie znałam go dostatecznie długo, miałam jednak nadzieję, że wyniknie z tego jakieś głębsze uczucie. Tak podszeptywało mi serce.



- Rozumiem, co pani ma na myśli. Czasami człowiek po prostu wie.

- A pani? Spotyka się pani z jakimś miłym chłopcem? - Dla dobra swych napiętych nerwów Clare postanowiła odbić piłeczkę: - Tak - odparła Brenda, sama nie wiedząc dlaczego.

- Kocha go pani? Przepraszam, nie chciałam być wścibska. Ja po prostu jestem nieuleczalną romantyczką.

- Nic nie szkodzi. Tak, kocham go, ale nie jest to łatwa miłość, bo on nie mieszka w Belfaście.

- A gdzie?

- W Ameryce.

- To tak jak ja. W której części?

- Los Angeles.

- Ja zagnieździłam się na wschodnim wybrzeżu. Jak ma na imię?

Brenda w pierwszej chwili chciała wyznać prawdę, ale po namyśle zdecydowała się nieco ją zmodyfikować. Przypomniała sobie film "Wpływ księżycy".

- Nick. Jest... piekarzem. Piecze chleb. Jego rodzina ma piekarnię.

- Naprawdę? To niesamowite. A skoro mowa o chlebie, umieram z głodu. Chodźmy do tej knajpki obok, zapraszam panią na obiad. Przy jedzeniu opowie mi pani o wszystkim.

Brenda nie jadła od wczoraj, toteż w mgnieniu oka złapała kurtkę. Zeszły po wąskich schodach. Dłoń Clare zadrgała lekko, kiedy gasząc światło ostatni raz objęła wzrokiem zapuszczony hol i zamknęła za sobą drzwi.

- Proszę mi opowiedzieć o pani sympatii - zachęciła, kiedy rozsiadły się wygodnie przy wolnym stoliku u Muldoona.

- Jest Amerykaninem włoskiego pochodzenia. Bardzo przystojny, chociaż stracił jedną dłoń. Mógłby nie pracować, ale wie pani, firma. Włosi są tacy, mają bardzo silne poczucie obowiązku, gdy idzie o pracę i rodzinę. Uwielbia muzykę operową i cudownie wygląda w smokingu. - Brendzie było wstyd, że wygaduje takie okropne kłamstwa, ale już zaczęła i nie mogła się wycofać. Chyba po prostu chciała być zajmującą towarzyszką dla tej eleganckiej kobiety, która tak serdecznie zainteresowała się jej obrazami.

- Proszę zamówić to, na co ma pani ochotę - powiedziała Clare. - Widzę, że przydałaby się pani kuracja tuczająca. Wy, studenci, w ogóle o siebie nie dbacie. Zresztą sama wiem, ile kosztują płótna i farby. Też przez pewien czas studiowałam malarstwo.

- Tu w Belfaście? Naprawdę? Kiedy?

- Bardzo dawno temu. W 1982 roku.

- Maluje pani?

- Nie, wydaję czasopismo. Na temat architektury wnętrz - odpowiedziała Clare, dostrzegając kątem oka ładną kobietę w różowej wełnianej sukience, która podeszła, żeby przyjąć zamówienie.

Penny uśmiechnęła się do Brendy, ale nie zwróciła się do niej po imieniu. Była profesjonalistką i wiedziała, co wypada, a co nie. Wnętrza? Ano właśnie, już wie, gdzie widziała tę kobietę! Rozmawiały kilka miesięcy wcześniej o zagubionym czasopiśmie.

- Kurczę w sosie pomidorowym z ząbkami czosnku, pieczywo i masło - powiedziała szybko Brenda, przeglądając jadłospis. - Do tego herbata, tort kawowy i lody o smaku whisky. - Spojrzała niespokojnie na Clare. - Nie przesadziłam?

- Nie, proszę się nie krępować - odparła życzliwie Clare.

Wprawdzie zamówienie deseru bez osobnej zachęty nie mieściło się w ogólnie przyjętych normach, ale dziewczyna wyglądała na zagłodzoną. - Ja poproszę to samo - powiedziała do uśmiechniętej Penny.

Penny pospieszyła do kuchni, żeby donieść Danielowi, iż Brenda znalazła bogatą sponsorkę. Amerykańską dziennikarkę. Może wreszcie uda jej się zdobyć sławę i majątek.

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego nie wyjedzie pani do Ameryki? - zagadnęła Clare, gdy czekały na posiłek. - To przecież wielka szkoda, że jesteście rozłączeni, skoro się kochacie.

- No cóż ... Częściowo dlatego, że jego matka krzywo patrzy na naszą znjomość. Chce, żeby się ożenił z jakąś miłą Włoszką, która pomogłaby mu w piekarni. A częściowo z powodu mojej kariery. Chcę wyrobić sobie nazwisko tu, w Belfaście. To dla mnie bardzo ważne, żeby moja twórczość znalazła uznanie w mieście, w którym się urodziłam.

- Rozumiem. Pani chłopak musi być bardzo wyrozumiały. Mam na myśli to, że na panią czeka.

- O, tak. Jak się nazywał ten pani znajomy z czasów, kiedy pani tu mieszkała? - Peter.

- Peter i jak dalej? Może o nim słyszałam.

- Prendergast.

- Niestety, nie znam żadnych Prendergastów. Szkoda. Jak się poznaliście?
  - W dyskotecie. Uwielbiałam muzykę. Miałam kompletnego bzika na punkcie Human League.
  - Znam ich. Nadal są razem i wciąż koncertują.
  - Tak, wiem. Widziałam ich wiele razy. Mimo upływu lat wciąż są fantastyczni!
- Brenda przyjrzała się swojej nowej znajomej. Za bardzo umalowana. Czerwona konturówka, ostre kąty zamiast miękkiej linii górnej wargi. Włosy ufarbowane na czarno, równo przycięte. Ten welwetowy płaszcz ... ciut pretensjonalny. I za dużo biżuterii. Pęk dzwoniących bransoletek, po cztery pierścionki na każdej dłoni. Lekka przesada, mówiąc szczerze. Ale z drugiej strony była osobą hojną: zapłaciła za obiad. I można z nią było porozmawiać jak z człowiekiem.
- Nadal lubi pani muzykę lat osiemdziesiątych? - spytała.
  - Bardzo.
  - I te pióra na głowach? - uśmiechnęła się Brenda.
  - Muszę przyznać, że w owych czasach miałam słabość do oryginalnie uczesanych mężczyzn.
  - No tak. - Brenda musnęła dłonią grzywkę. - Proszę mi opowiedzieć, czym się pani kieruje wybierając wnętrza do swojego pisma?
  - Zwracam uwagę na szczegóły: niespotykane, oryginalne, inspirujące. I na to, żeby w sumie rodziły pozytywne odczucia.
- Brenda zmartwiła się nagle, że jej własne obrazy są zbyt przygnębiające. Czy dlatego nigdy nic nie sprzedała? Może powinna trochę ocieplić paletę?
- Clare jakby czytała jej w myślach. Odezwała się w zadumie: - Wie pani co? Chciałabym kupić jeden z pani obrazów, nim wyjadę. Czy mogłabym wpaść do pani jutro rano w drodze na lotnisko?
- Będzie mi bardzo miło - odparła wesoło Brenda. Jej radość się wzmożyła, kiedy zobaczyła, że Penny nałożyła im znacznie większe porcje, niż zrobiłby to Daniel. - Wpadło pani w oko jakieś konkretne płótno? - spytała, sięgając po solniczkę.
  - W zasadzie tak. Niewielki kwadratowy obraz. Zdaje się, że nazwała go pani: Czekam na miłość.
  - To mój autoportret. Zarezerwuję go dla pani.
  - Świetnie. Bardzo mi się spodobał.

## 18. CLARE ZWIERZA SIĘ PENNY

Nazajutrz wcześniej rano Penny ustawiała na ladzie piramidę z filiżanek, kiedy weszła kobieta z elegancką torebką i pakunkiem owiniętym w szary papier. Penny rozpoznała w niej dziennikarkę, która poprzedniego wieczoru zafundowała Brendzie sutyobiad, a potem rozmawiała z nią przez dwie godziny, co jakiś czas zamawiając świeżą kawę. Ciekawe, skąd się znają:

- Przepraszam - odezwała się kobieta. - Nazywam się Clare Fitzgerald. Zastanawiam się, czy mogłaby mi pani pomóc. - Z pewnością spróbuję - odparła życzliwie Penny.
- Usiłuję kogoś znaleźć. Pomyśli pani, że zwariowałam, ale szukam mężczyzny, którego poznałam tu, w Belfaście, siedemnaście lat temu.
- Jak się nazywa?
- Peter Prendergast.
- Oj, nie, nie znam żadnych Prendergastów. Mieszka gdzieś w pobliżu? Mam tu sporo znajomych, mogę popytać.

Clare uśmiechnęła się smętnie. Chyba straciła rozum, sądząc że ta jaskrawo ubrana kelnerka będzie знаła Petera. Ale bar był pusty, a kobieta za ladą robiła sympatyczne wrażenie. Clare zdecydowała się brnąć dalej.

- Właściwie nic o nim nie wiem. Ale, widzi pani, kiedyś siedziałam z nim w tej herbaciarni i ... i chyba wbrew rozsądkowi miałam nadzieję, że później czasem tu przychodził. Siedzieliśmy przy stoliku pod oknem i rozmawialiśmy przez parę godzin. Zakochałam się w nim tak śmiertelnie, jak człowiek potrafi tylko wtedy, gdy jest młody.

Obie kobiety zaśmiały się nerwowo.

- Zapisał mi adres i numer telefonu na kasecie magnetofonowej, a ja włożyłam ją do torebki. Tylko że zgubiłam tę torebkę. Były zamieszki i zostawiłam ją w autobusie. Wiecznie coś gubię. - O mój Boże! - westchnęła ze współczuciem Penny.
- Proszę mi wybaczyć, że pytam: nie dała mu pani namiarów na siebie?
- Nie miałam wtedy telefonu. Wiedział, gdzie mieszkam. Tu, w sąsiednim domu. Niemożliwe, żeby zapomniał.

(Ach, więc mieszkała tam, gdzie teraz Brenda!)

- Ale nie przyszedł. Szukałam go na uczelni, zostawiłam wiadomość. Dostałam adres, ale chyba nieaktualny. Potem mój tato zarządził przeprowadzkę i wkrótce wyjechaliśmy do Kornwalii. - Clare

westchnęła. - Przeniosłam się na uniwersytet w Londynie, a po studiach wyjechałam do Ameryki. Pracuję teraz w branży wydawniczej. Zajmuję się wystrojem wnętrz. Mój konik to szafy. Miejsce na wszystko i wszystko na miejscu. W sam raz dla takiej bałaganiary jakja ... ! Ale wracając do Petera ... może pani myśli, że to było tylko przelotne oczarowanie, lecz do dziś nie udało mi się o nim zapomnieć. I pomyślałam ...

- I pomyślała pani, że nie zaszkodzi się za nim rozejrzeć - dokończyła szybko Penny. - Rozumiem panią. Proszę mi powiedzieć, nie myślała pani o tym, żeby dać ogłoszenie w "Belfast Telegraph"?  
- Nie wiem ... Wydaje mi się to trochę zbyt... drastyczne. Mógłby się obrazić. Kto wie, jaka jest jego dzisiejsza sytuacja ... - Tak, wiem, co ma pani na myśli - przyznała Penny. - Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, umieszczę karteczkę w oknie, a jeśli ktokolwiek zapyta, przekażę wiadomość. Może być?

- Dziękuję. Jest pani tak bardzo uprzejma! - Clare podała Penny swoją firmową wizytówkę.  
- Nie ma o czym mówić. To naprawdę żaden kłopot. Wiem, jak to jest, kiedy kocha się kogoś, z kim nie można się porozumieć stwierdziła Penny ze smutkiem. Nalała kawy do filiżanki i podsunęła ją kobiecie w welwetowym płaszczu. - Proszę: Na koszt firmy.

Clare wzięła filiżankę i usiadła przyoknie, muskając dłonią stolik, jakby chciała wywołać duchy dawnych wspomnień. Pewnie siedzieli przy tym samym stoliku, na tych samych krzesłach - u Muldoona przecież nic się nie zmieniło. Penny wzruszył ten mimowolny gest i sama poczuła przypływ nostalgii. Chęć, by być kochaną, pożądaną, chyba nigdy nie doskwierała jej silniej. I nagle coś sobie przypomniała. Mglisty obraz listu z wypisanym ręcznie nazwiskiem.

Chwyliła wizytówkę Clare i pobiegła do kuchni. Miała taką szufladę, rzadko używaną: pełną gwoździ, nici, sznurka, papierowych torebek, starych kwitów i wizytówek. Pociągnęła uchwyt, ale szuflada ledwie drgnęła. Penny zajrzała przez szparę. W środku zaklinował się kawałek kartonu. W nagłym porywie wściekłości złapała uchwyt obiema rękami i szarpnęła z całych sił. Karton puścił, szuflada wyskoczyła z szyn i cała jej zawartość rozsypała się po podłodze kuchni.

- Cholerna ruina! - syknęła Penny. - Nic nigdy nie działa tak jak trzeba!

Pochyliła się, żeby zgarnąć śmietnik minionych lat i wśród gratów ujrzała spłowiałą kopertę. To ona! Na kopercie widniało: Dla Clare Fitzgerald.

Penny wydała głośny okrzyk. Przypuszczalnie widziała tę kopertę setki razy, ale po raz pierwszy nazwisko nabrało znaczenia. Pędem rzuciła się z powrotem do sali restauracyjnej. Clare nadal siedziała pod oknem.

- Niesamowite! - wysapała Penny bez tchu. - Właśnie znalazłam to w szufladzie. To chyba do pani. Clare wzięła kopertę i zacisnęła ją w palcach obu rąk. Chyba na chwilę przestała oddychać. Penny wróciła za ladę, zmuszając się, żeby nie podglądać. Clare otwarła kopertę i zaczęła czytać przez łyż napływające jej do oczu:

*Najmilsza Clare!*

*Jest mi trochę głupio, że piszę ten list, ale nie odezwałaś się i jestem niespokojny. Kilka razy byłem u Ciebie, nie zastałem Cię w domu. Możliwe, że w Twoich oczach zrobiłem z siebie idiotę mówiąc, że Cię kocham, ale mówiłem to poważnie. Jeśli chcesz się jeszcze ze mną spotkać, proszę, skontaktuj się ze mną. Chyba będę musiał wkrótce wynieść się z akademika, podaję Ci więc adres moich rodziców. Strasznie za Tobą tęsknię.*

*Kocham Cię.*

*Peter.*

Clare obróciła kartkę i przeczytała adres na odwrocie. A potem rzuciła się do kontuaru błagając Penny, żeby zamówiła jej taksówkę. Penny była tak podniecona, że ręce jej się trzęsły i dopiero za trzecim razem prawidłowo wystukała numer.

Clare wróciła do stolika i dokończyła kawę, nakazując sobie spokój. Jej ciało zmieniło się w rozdygotany kłębek nerwów. Pomyślała o Peterze i natychmiast zabroniła sobie o nim myśleć.

Trzymała kupiony obraz na kolanach, bojąc się, że gdy go odstawi, gotowa go zgubić. "Czekam na miłość." Płótno było niewielkie, będzie mogła wziąć je do samolotu jako bagaż podręczny. Kosztowało ją trzysta funtów. Warte było co najmniej dwa razy tyle. Clare proponowała wyższą sumę, ale Brenda nie chciała o tym słyszeć. Oznajmiła, że jest socjalistką i ma zasady.

Odchyliła szary papier i przyjrzała się portretowi Brendy Brown.

Namalowany mocnymi uderzeniami pędzla, z niebieskawymi cieniami, mógłby równie dobrze przedstawiać mężczyznę. Petera. Po powrocie do domu da go oprawić i powiesi w biurze.

Serce trzepotało jej w gardle. Skupiła myśli na młodej malarce.

Śmieszna ta mała. Wegetuje tu w upiornej norze czekając, aż jej chłopak znajdzie dla nich dom w Los Angeles i obwieści matce, że żeni się z Irlandką. Biedactwo! Hołdująca włoskiej tradycji teściowa gotowa jej dać niezły wycisk. Clare z całego serca życzyła Brendzie spełnienia jej marzeń. Zwykle wakacyjne miłości bledną wraz z opalenizną.

Co więcej, dziewczyna naprawdę miała talent. Może dopisze jej szczęście, kiedy przeprowadzi się do USA. Pochodząc z Belfastu, wniesie do tamtejszych środowisk powiew egzotyki. Brenda nie chciała wierzyć, kiedy Clare ją o tym zapewniała, ale tak właśnie było. Czasem artysta musi opuścić miejsce, w którym wyrósł, by zaczęto go traktować poważnie. Trudno być prorokiem we własnym kraju.

Clare wzięła ze sobą ulotkę z kilkoma obrazami Brendy i zrobiła jej udane zdjęcie. Obiecała, że postara się zamieścić notkę w dziale poświęconym sztuce nowoczesnej. Następnie wręczyła jej wizytówkę i czek na trzysta funtów.

Tak czy inaczej wyjazd należało zaliczyć do udanych. Miała dość fotografii ze Stranmillas, by zapełnić nimi osiem rozkładówek, i piękne zdjęcie altany, wymarzone na okładkę. Poznała zdolną malarkę i kupiła piękny obraz. Miała też gotowy temat na krótki artykuł do działu sztuki.

Cokolwiek się jeszcze stanie, opłacało się przyjechać.

Jakby na przekór tym rozsądnym myślom jej serce cały czas modliło się żarliwie, by odnaleziony list zaprowadził ją do Petera. Kiedy przed herbaciarnią zatrzymał się samochód i rozległ krótki klakson, biedne zdesperowane serce Clare było już skurczone do rozmiarów orzeszka. Jednym haustem dopiła kawę, uściskała Penny i pobiegnęła do taksówki, przyciskając portret Petera do piersi.

## 19. SIOSTRY CRAWLEY JADĄ NA ZAKUPY

Beatrice raz po raz odczytywała zaproszenie od burmistrza.

W końcu Alice zwróciła jej uwagę, że na brzegach znać już ślady palców. Aby zatem uchronić list przed zniszczeniem, siostry wetknęły go w pozłacaną ramkę i ustawiły na kominku.

*W świetle trudu, włożonego przez obie Panie w godne pochwały dzieło na rzecz społeczeństwa - pisał burmistrz - mam zaszczyt zaprosić Panie na uroczysty obiad poprzedzający oficjalne otwarcie wystawy Pamiątek Czasu Wojny. Strój oficjalny. R.S. v.P.*

Oczywiście siostry natychmiast potwierdziły przyjęcie zaproszenia i zaczęły odliczać dni do dwudziestego szóstego września.

Beatrice z triumfem zwróciła się do Alice:

- Wiedziałam, że w końcu doczekamy się uznania! Że dobre uczynki zostaną nagrodzone!
- Wciąż nie mogę w to uwierzyć - szepnęła Alice. - Koniecznie musimy się dowiedzieć, czy będzie ktoś z rodziny królewskiej. Choć pewnie nie zechcą tego zdradzić z obawy przed terrorystami. Kogo my znamy w ratuszu? Czy pani Cunningham z chóru kościelnego nie pracuje w nadzorze oczyszczania miasta?
- Szkoda fatygi - skrzywiła się Beatrice. - Ona też nie będzie wiedzieć. Dlaczego mieliby wtajemniczyć panią Cunningham, a nas nie? Skup się lepiej na tym, co na siebie włożymy. Gdzie znajdziemy odpowiednie kapelusze?
- Bez paniki - machnęła ręką Alice. - Mamy jeszcze mnóstwo czasu.
- Czas leci szybciej, niż się człowiekowi wydaje. - Beatrice znacząco uniosła brwi. - A czeka nas mnóstwo pracy!

Przekazały komitetowi organizacyjnemu informacje o pułku ojca i przebiegu jego służby, opis jego heroicznego dokonania, liczne medale, a ponadto zbiór przybłąkanych fotografii. Jedno ze zdjęć, na którym sierżant Crawley został uwieczniony w bramie obozu koncentracyjnego w Bergen-Belsen, szczególnie poruszyło komitet. Postanowiono je powiększyć i umieścić w eksponowanym miejscu. Było i inne zdjęcie, zrobione pięć miesięcy przed jego śmiercią, na którym Beatrice i Alice stoją wraz z ojcem na cmentarzu poległych żołnierzy we Francji. Działo się to w Dniu Pamięci 1973 roku. Fotografia ta stanowiła najcenniejszy skarb bliźniaczek, ale gdy komitet solennie się zobowiązał, że będzie o nią dbał, siostry Crawley zgodziły się ją wypożyczyć.

Zarezerwowały z dużym wyprzedzeniem wizytę u fryzjera. Beatrice przeszła na dietę, Alice zaś zaczęła kupować w kiosku popularne magazyny z plotkami o życiu wyższych sfer i czytać je od deski do deski. Wkrótce doskonale się orientowała, kto jest czym małżonkiem i jaldego rodzaju filantropią się zajmuje. Było to bardzo interesujące, chociaż nie przyznałaby się do tego siostrze, która wieczorami czytywała wysoce intelektualną poezję.

Widząc potępiające spojrzenie, jaldm Beatrice obrzuciła świeży stos gazet, Alice oznajmiła stanowczo:

- Nie chcę stanąć twarzą w twarz z VIP-em i nie wiedzieć, kim jest.

Wciąż się martwiły, co na siebie włożą. Nie mogą przynieść wstydu rodzinnemu miastu. Muszą się odpowiednio prezentować. Wystawa ściągnie fotoreporterów i ekipy obu lokalnych stacji telewizyjnych. Kto wie, może nawet będzie migawka w ogólnokrajowych wiadomościach, jeśli oczywiście nie przyćmią jej ważne wydarzenia na świecie

Rzecz jasna nie mogły zaćmić ważnego gościa przepychem stroju. To byłoby w złym guście. Zastanawiały się nad tym długo i uznały, że muszą postąpić tak, jakby sama królowa miała być obecna. Pod żadnym pozorem nie mogą ubrać się zbyt skromnie ani też zbyt strojnie. Królowej zdarzało się czasem wystąpić w źle dobranym ubiorze. Nie podążała za modą.

Jeśli włożą na siebie patriotyczny zestaw czerwono-biało-niebieski, będą wyglądały jak ubrane w sukienki ze starych flag, co byłoby żenujące. Czarny jest zbyt ponury, nadaje się na pogrzeb, lecz nie na bankiet. Szafirowy zbyt kojarzy się z Margaret Thatcher. Biały i kremowy odpada, nie wychodzą przecież za mąż. Zielony - zbyt irlandzki. Różowy - zbyt prostacki. Purpurowy - zbyt królewski. Alice martwiła się, że wyraźny deseń przyprawi królową o ból głowy. Beatrice odrzuciła tweed jako zaściankowy.

Dni mijały, a one wciąż nie mogły podjąć decyzji. A tu trzeba jeszcze dobrać do sukien okrycia wierzchnie, kapelusze i buty, nie mówiąc o torebkach i innych drobiazgach.

- Brosze! - wykrzyknęła Alice. - Potrzebne nam brosze. Królowa zawsze nosi broszę na ramieniu.  
- Nie stać nas na porządną biżuterię - zatroskała się Beatrice. - Mów, co chcesz, a ja nie włożę byle czego na obiad z królową. Co będzie, jeśli odkleją się i wypadną oczka, a my tego nie spostrzeżemy?

Tożsamość honorowego gościa nie została jeszcze oficjalnie ujawniona, lecz w parafii krążyły liczne plotki. Ktoś podsłuchał, jak burmistrz mówi do żony, że królowa na pewno przybędzie. Stało się zatem sprawą pierwszorzędnej wagi, by w najważniejszym dniu swego życia siostry były wytworne w każdym calu.

Z rozpaczy pojechały pociągiem do Dublina. W Belfaście wszystkie butikie pełne były haftów, cekinów i piór. Kto w ogóle kupuje te dziwaczne szaty i gdzie je nosi? - głowiły się rozsądne siostry. Nie zdołały znaleźć niczego odpowiedniego na tak wielką galę jak Wystawa Fotografii Czasu Wojny połączona z Uroczystym Obiadem i uświetniona Wizytą Królowej.

W Dublinie dostały to, czego szukały. Sprzedawczynie w butikach były tu bardzo uczynne i życzliwe; siostry ze zdumieniem przekonały się, iż nikt nie wspomina o podziale Irlandii.

Zapłaciwszy za zestaw tekstyliów w naturalnych barwach, wyszły z eleganckiego sklepu czując się jak zdrajczynie. W pociągu Beatrice przełożyła zakupy do pustych reklamówek od Harrodsa. Było już ciemno, gdy pospiesznie dreptały z dworca do swego małego domku.

- Nie mów nikomu, gdzie to kupiłyśmy - powiedziała Beatrice obracając się przed dużym lustrem w holu. Baczynym wzrokiem zmierzyła beżową wełnianą suknię i takiż płaszcz, brązowy kapelusz i buty. - Czy nie wyglądam przypadkiem jak biskopt unurzany z dwóch stron w czekoladzie? Tylko mów prawdę!

- Jesteś ucieleśnieniem elegancji - zapewniła ją ze śmiechem Alice, wkładając własne nabytki: jasnoszary żakiet z długą spódnicą, niebieskie pantofle i gustowny kapelusik z bławatkami wokół ronda. - Obie wyglądamy jak koronowane głowy, ktoś gotów się pomylić; ostatecznie nikt nie wie, jak wyglądają monarchowie z kontynentu. Potrzebne nam tylko jeszcze dwie brosze i gotowe.

Wiesz, jak należy dygać?

- Oczywiście, że wiem - odparła z godnością Beatrice.

- Sztuka polega na tym, żeby przykucnąć tak nisko, jak tylko się da, nie przewracając się na bok. - Natychmiast wprowadziła słowa w czyn i rzecz jasna z łoskotem wylądowała na podłodze.

- No dobrze. A kiedy urządzimy przyjęcie i co podamy? - spytała Alice, kiedy obie siostry usiadły na sofie z wieczornymi kubkami Ovaltyny.

- Jakie przyjęcie? - zdumiała się Beatrice, wciąż ciut oszołomiona po upadku.

- No cóż, chyba nie chcesz zataić przed przyjaciółmi naszej zażyłości z możliwymi tego świata?

Musimy zaprosić wielbego Pickforda i cały chór. I zdobyć przepis na te ciasteczka, które piecze książe Karol.

- Idę spać, kochana - westchnęła Beatrice. - Porozmawiamy o tym jutro rano.

## 20. RICHARD ALLEN JEST GOTÓW DO USŁUG

Kilka dni później do herbaciarni wszedł bardzo przystojny mężczyzna. Zapach jego wody po goleniu rozdził myśl o potężnym koncie w banku, a w błyszczących orzechowych oczach igrały łobuzerskie ogniki.

- Dzień dobry pięknej pani! Poproszę o kawę. Mokkę, jeśli jest.  
Richard Allen położył aktówkę na kontuarze. Rzadko bywał w podrzędnych jadłodajniach, ale dziś na ulicę Morwową sprowadził go interes: kolejna partia młodych małżeństw wyprowadzała się na przedmieścia, sprzedając agencji ciasne domki. Popyt na mieszkania dla studentów drastycznie podbił ceny domów w całej dzielnicy.

- Proszę usiąść - powiedziała wesoło Penny. - Zaraz podam.

Wciąż była podekscytowana porannym telefonem Clare Fitzgerald. Jak się okazało, pod podanym w liście adresem Clare zastała matkę Petera. Nie miały dużo czasu na rozmowę, bo samolot startował za dwie godziny, dowiedziała się jednak, iż Peter żyje i miewa się dobrze. I wciąż jest kawalerem.

- Czy pani uwierzy - śmiała się Clare - że też mieszka w Stanach? W Bostonie! Tak blisko, aja o tym nie wiedziałam!

Uszczęśliwiona Clare wróciła do Ameryki wyposażona w adres Petera, a także jego numery telefonów, prywatny i służbowy. Pracował w policji. Niesłychane!

Nie chciała czekać, zadzwoniła do niego z lotniska w Belfaście jeszcze przed odlotem, nie dbając o to, czy wyrwie go ze snu (istotnie spał). Bała się, że znów stanie się coś, co ich rozdzieli. Na przykład Peter pozna ślicznią dziewczynę i zakocha się w niej.

Peter podniósł słuchawkę po drugim sygnale. Clare nie wytrzymała i zaczęła płakać.

- Nie uwierzysz - łkała. - Dopiero wczoraj dostałam twój list! Czułam, że ta pani w barze mi pomoże. Tak mi przykro, że się wtedy nie spotkaliśmy, zanim ...

- Co? - wymamrotał. - Kto mówi?

- Clare! - Clare rozpląkała się jeszcze głośniej. - Clare Fitzgerald z Morwowej w Belfaście!

Ów fantastyczny rezultat wprowadził Penny w podniosły nastrój.

Oczywiście na sprawę można było spojrzeć i tak, że przez roztargnienie jej ojciec skazał tę parę na siedemnastoletnie rozstanie. Ale Clare wybaczyła Muldoonom tę zbrodnię. Była już umówiona na spotkanie z Peterem i pewna, że przerwany wątek będzie można podjąć w tym samym miejscu. Penny modliła się o ich szczęście. Ją samą najwyraźniej szczęście opuściło. Postanowiła, że nie wpuści Daniela do łóżka, dopóki się nie zmieni. Trudna miłość, tak to nazywano w ulubionych przez Millie przedpołudniowych programach telewizyjnych.

Gość zdjął modną marynarkę ukazując szerokie bary i wąską talię. Penny nagle odczuła dawno zapomnianą, świerzbującą sensację: kołatanie serca i skrócenie oddechu, oznaki pożądania. Zerknęła przez okienko do kuchni. Daniel napełniał babeczki truskawkami i kremem, skoncentrowany tak, że świat dla niego nie istniał. Jak zwykle.

Tak? Dobrze, pomyślała Penny. To ja sobie tymczasem poflirtuję!

Nalała kawę do jednego z fikuśnych chromowanych kubków, których rzadko używała, bo trzeba je było polerować. Położyła na spodku dwa herbatniki i wyjęła zza ucha wijące się pasmo włosów, które opadło jej zalotnie na twarz. Następnie wypięła biust i ruszyła do stolika, przy którym gość sprawdzał coś w notebooku.

- Mokka dla pana! Czym jeszcze mogę służyć? - spytała uwodzicielskim tonem.

- Bardzo pani miła, dziękuję - odparł. - Nie mam zbyt wiele czasu. Za dziesięć minut jestem umówiony z klientem.

- Interesy? A czym się pan zajmuje?

- Nieruchomościami, chyba za moje grzechy. Jeśli zechce pani sprzedać dom, proszę, oto moja wizytówka. - Z kieszeni na piersi wyjął biały kartonik.

- Richard Allen - odczytała Penny. - Dziękuję. Możliwe, że się z panem skontaktuję.

- W każdej chwili jestem do usług.

Chętnie pozwolę sobie usłużyć, pomyślała Penny, na głos zaś dodała:

- Mówiąc ściśle, nie chcę pozbywać się herbaciarni. Ale noszę się z myślą o nabyciu domu w tej okolicy. Nazywam się Penny Stanley. Proszę mi mówić po imieniu.

- Świetnie, Penny. Zadzwoń, kiedy się zdecydujesz.

- Zadzwonię z pewnością. Dziękuję, panie Allen.

- Richard. Dla ciebie Richard.

Penny wróciła za ladę i z werwą zabrała się do ścierania półek, nucąc pod nosem.

Chwała Bogu, dziś jest w lepszym nastroju, pomyślał Daniel z ulgą.

## **21. BRENDA SZUKA PRACY**

*19 czerwca 1999 r.*

*Drogi Nicolasio!*

*Mam nadzieję, że mój list zastanie cię w dobrym zdrowiu. Wczoraj dopisało mi szczęście.*

*Sprzedalam obraz! Hura! Siedzę teraz w barze u Muldoona i rozkoszuję się uczta, jaką zafundowałam sobie z tej okazji. Scampi ifrytki. Obraz kupiła bardzo kulturalna pani, która przypadkiem przechodziła obok mojej chaty. To znaczy mieszkania. Pochodzi z Belfastu, ale mieszka w Ameryce jak Ty.*

*Myślę, że to był dobry omen, bo dziś rano dostałam list z galerii, którą kiedyś odwiedziłam. Chcę zorganizować mi wystawę. Moją pierwszą samodzielną wystawę! Zostanie otwarta w grudniu, w galerii Pod Niebieskim Osłem w Galwayu. Przedziwny zbieg okoliczności, bo moje obrazy utrzymane są właśnie w niebieskawej tonacji. Może to też dobry znak?*

*Będę malować dniem i nocą, włożę w to całe serce i duszę. Mam już sześćdziesiąt gotowych płócien. Prosił mnie o trzy duże do witryny. Zamierzam zawieźć im cały nabój furgonetką, niech sami wybiorą, co zechcą.*

*Jestem tak podniecona, że od rana kręci mi się w głowie.*

*Ten mały obraz, który Ci posłałam, nosi tytuł "Koniec epoki".*

*Mówi o likwidowanej fabryce. To jedna z moich ulubionych prac. Mam nadzieję, że Ci się spodoba. Chciałam Ci się w ten sposób odwdziżyć za radość, jaką mi sprawiłeś swoimi filmami ("Dzikość serca" to jednak wciąż mój nr 1.)*

*Najserdeczniejsze pozdrowienia*

*Brenda Brown*

*PS. Proszę, przślij mi zdjęcie z autografem. Jestem Twoją gorącą wielbicielek.*

Brenda odczytała list jeszcze raz. Był krótki, utrzymany w dość beztroskim tonie. To dobrze, albowiem w rzeczywistości miała aż nadto trosk. Dręczyło ją przecucie, że jej kariera artystyczna zbliża się do końca. Jeśli wystawa w Galwayu okaże się niewypałem, będzie musiała stawić czoło problemom finansowym i znaleźć sobie posadę.

Biuro zatrudnienia coraz to przysyłało jej nowe oferty. Bardzo jasno dano jej do zrozumienia, że jeśli w najbliższym czasie nie przyjmie którejś z nich, cofną jej zasiłek. Najwyraźniej dostali zarządzenie, żeby przykręcić śrubę ludziom długo pozostającym bez pracy. Do niedawna byli wobec niej wyrozumiali, a nawet życzliwi. Umówili ją na siedem rozmów kwalifikacyjnych i za każdym razem Brenda totalnie spieprzyła sprawę. Bynajmniej nie celowo - po prostu nie mogła się powstrzymać od mówienia potencjalnym pracodawcom, co sądzi o ich działalności. Rozmowę dodatkowo utrudniał dżin z tonikiem, którym uspokajała nerwy. Sam pomysł, żeby ubiegać się o pracę na trzeźwo, był nie do przyjęcia.

Kierownicze drogerii powiedziała, że nie umie kłamać i nie będzie namawiać starych bab do kupowania za ciężkie pieniądze jakiegoś świństwa w kolorowych słoiczkach, które ponoć wygładza zmarszczki. Ponadto czułaby się zakłopotana, gdyby klient poprosił ją o prezerwatywy.

Rzeźnik dowiedział się, że okrwawiony pieniek do rąbania mięsa budzi w niej lęk. Powinien się przebranżowić i sprzedawać zupy dla jaroszy. Wtedy chętnie by u niego pracowała. W Ameryce jest mnóstwo wegetariańskich lokali, wyjaśniła życzliwie, i cieszą się one wielkim powodzeniem.

Ostatecznie każdy lubi zupę, niezależnie od rasy i wyznania.

Na spotkanie w siedzibie ulsterskiego parlamentu poszła ubrana w koszulkę z anarchistycznym hasłem i już w progu oświadczyła, że nie wierzy w demokrację.

Krajem powinni rządzić intelektualiści, nie karierowicze w kosztownych garniturach. W dzisiejszych czasach sprawami o fundamentalnym znaczeniu są walka z bezrobociem i ochrona środowiska naturalnego, a nie trywialne kwestie narodowościowe i religijne. Urzędnik stwierdził sucho, że szuka gońca i niestety nie ma czasu na dysputy polityczne z Brenda

Brown ani kimkolwiek innym. W tym właśnie leży sedno problemu, oświeciła go Brenda.

Każdy widzi tylko swoją małą działkę i nie dostrzega, że planeta Ziemia jest tylko delikatną, małą błękitną kulką pędzącą ku niepewnym losom.

Wychodząc przypominała jeszcze, że jeśli temperatura planety podniesie się zaledwie o sześć lub siedem stopni Celsjusza, w ciągu kilku tygodni zginie 99 procent żyjących na niej istot (niezależnie od ich przynależności państwowej). Zostaną tylko żuki lub coś w tym rodzaju. Wyrażono jej wdzięczność za tę informację.

Oczywiście nigdzie nie dostała pracy. Najgorsze spotkało ją w podmiejskim supermarkecie znanej firmy. Cierpiała chyba na dramatyczny brak personelu, bo zatrudnili ją natychmiast, chociaż

uprzedzała, że ciągły pisk elektronicznych czytników budzi w niej agresję. Poza tym jest uczulona na nylon, z którego uszyte są ich błękitno-pomarańczowe uniformy.

Usłyszała w odpowiedzi, żeby się nie martwiła, wkrótce się przyzwyczai do hałasu, a praca naprawdę nie jest trudna. Metkowanie warzyw, układanie towaru na półkach i pomaganie klientom. Niestety, kwestii uniformu nie da się w żaden sposób obejść.

A nie myśleli o tym, żeby ubrać pracowników inaczej? Na przykład w czarny drelch: szerokie spodnie bojówki i kepi w stylu Legii Cudzoziemskiej? Brenda bardzo chętnie zaprojektuje strój.

- Nie, dziękujemy - odpowiedzieli twardo. Czy mogłaby poprosić następną kandydatkę? Mają mało czasu.

Brenda była bardzo rozczarowana, że nie dano jej przedstawić kilku znakomych pomysłów dotyczących na przykład szerszej promocji ekologicznych produktów, ale obiecała stawić się do pracy.

- Przecież układanie towaru na półkach nie może być trudne! - powiedziała matce wieczorem przez telefon. - Najgorsza będzie nuda. I wstyd. Jeśli ktoś znajomy z Akademii zobaczy mnie z kubłem i mopem ... !

- Nie martw się, kochanie, na pewno szybko cię awansują - pocieszyła ją ciepło matka. - Jesteś przecież wykształcona. Zostaniesz co najmniej kierowniczką zmiany. Będiesz dostawać pensję. Ustawisz się.

(A przede wszystkim dobrze ci zrobi, jeśli codziennie na parę godzin wyjdiesz z domu, dodała w myśli.)

Perspektywa awansu przyprawiła Brendę o miły dreszczyk.

Nie brała pod uwagę takiej możliwości; dotąd nie myślała nawet o tym, że wreszcie będzie dostawać stałą pensję. Spisała długą listę nowych idei, którą zamierzała przedstawić kierownictwu, i kupiła paczkę ozdobnych spinek do włosów, żeby z ich pomocą ujarzmić grzywkę. Miały kształt słoneczników - na cześć Vincenta van Gogha, będącego najbardziej podziwianym przez Brendę twórcą i jej największą inspiracją.

Wyprasowała służbowy stroik i przymierzyła go. Okazał się nieco za ciasny w biuście i w biodrach też. Sama była sobie winna: podała im rozmiar 10. Co, do licha! Nie przyzna się przecież zupełnie obcym ludziom, że nosi dwunastkę. A gdzie jej godność? Czy zatrudnienie na czas określony za minimalną stawkę uprawnia cały świat do wglądu w dokładne wymiary jej kobiecych kształtów? Chwała Bogu, pod Niebieskim Osłem nie pytali jej o obwód pupy.

Z mieszaniną strachu i podniecenia Brenda zakreśliła kółkiem w kalendarzu pierwszy dzień pracy.

Kiedy dzień ów nadszedł, wyszła wcześniej z domu, żeby się nie spóźnić. Pokazano jej pokój śniadaniowy i magazyn, przedstawiono mnóstwo ludzi, których

imiona natychmiast wyleciały jej z pamięci. Magazyn był mrocznym betonowym bunkrem zastawionym wysokimi regałami, pomiędzy którymi zalegały czarne cienie. Na szczęście Brenda miała pracować w jasno oświetlonej sali sklepowej. Posłano ją do działu warzywnego i kazano rozłożyć na półkach dwie skrzynki melonów - jedną żółtych, a drugą ciemnozielonych.

\_ Pozrniataj siano i wytrzymaj dokładnie wyspę - polecił jej kierownik.

- Wyspę?

Okazało się, że tak nazywają stoisko.

\_ Już się robi! - Brenda uśmiechnęła się szeroko i z zapałem wzięła do pracy.

Uwinięła się w pół godziny, odkrywając przy tym, że melony są jednak znacznie cięższe niż pędzle. Prawdę mówiąc - potwornie ciężkie. Nim opróżniła skrzynki, pocąc się w ciasnym fartuszk, już była wykończona, a wtedy kazano jej przenieść wszystkie ziemniaki z przedniej wyspy na tylną.

\_ Dlaczego? - spytała. Słowo "wyspa" zaczynało w niej budzić wstręt. Żeby z przodu mogli ułożyć truskawki, to chyba jasne?

Brenda pociągnęła swoje skrzynki oraz wielki zestaw ścierek i mopów do frontowego sektora i zaczęła od nowa, trzymając głowę nisko na wypadek, gdyby do marketu wszedł Tom Reilly-Dunseith albo któryś z jego kumpli. Kiedy skończyła, kurz z ziemniaków zgrzytał jej w zębach. A potem musiała iść do magazynu po kiwi i mango. Nie miała pojęcia, jak wygląda mango. Nie słyszała nawet, żeby ktoś to jadł. Zanotowała w pamięci, żeby powiedzieć kierownikowi, że marnuje czas i pieniądze sprowadzając te egzotyczne dziwa z przeciwległej półkuli.

Kiedy maszerowała wzdłuż pogrążonych w półmroku półek, szukając tajemniczych owoców, któryś z nastoletnich pracowników magazynu dla żartu zgasił światło. W pomieszczeniu nie było okien i nagle zapanowała w nim kompletna ciemność. Brenda nie widziała nawet własnej ręki. Na dodatek nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest wyjście.

Owładnięta paniką potknęła się i przewróciła o wiadro z potwornie brudnym mopem. Pewna, że to



zombie lub seryjny morderca, potoczyła się wraz z nim po podłodze wrzeszcząc co sił w płucach. Nagle zapaliły się światła i dobiegł ją gromki śmiech zwijających się z uciechy żartownisiów. Musiała pójść do pomieszczenia socjalnego, żeby obmyć sobie twarz zimną wodą. Pracownikom wolno w nim było przebywać tylko w czasie przerwy śniadaniowej; oczywiście przyłapał ją tam kierownik i kazał natychmiast wyjść. Znalazła już te mango? - spytał ostro.

Na szczęście wkrótce była przerwa na herbatę. Pieprzyć mango, pomyślała Brenda wrzucając drobne do automatu z napojami. Usiadła z kubkiem gorącej czekolady na stercie węgla drzewnego do grilla. Nie do wiary: była dopiero dziesiąta czterdzieści pięć. Nim zdołała dopić kakao do końca, kazano jej wracać do pracy.

Większość porannych klientów stanowili emeryci zwożeni do marketu specjalnymi tanimi autobusami. Natychmiast się gubili i szarpali Brendę za ramię zadając jej dziesiątki pytań:

- Co dziś jest w promocji?

Nie wiedziała.

- Macie rajstopy pod kolor tego płaszcza? Też nie wiedziała.

- Czy po tym cieście nie dostanę zatwardzenia?

Tego Brenda również nie wiedziała i nie miała najmniejszej ochoty wiedzieć.

- Niechże mnie pani nie szczypie - odezwała się do starszej pani, która miała znacznie więcej krzepy, niż można by przypuszczać. - Całe ramię mam już sine!

- Nie pyskuj, panienko - odparła oburzona staruszka - bo złożę na ciebie skargę! Cóż to za zachowanie?

- Bardzo przepraszam, ale proszę tylko, żeby nie szczypała mnie pani w ramię. To supermarket, nie podrzędny burdel!

- Ty bezczelna dziewucho!

- Jest pani bardzo silna, a to boli. Czego pani tu szuka? Szpinaku?

- O, przebrała się miarka! Obsługa! Gdzie tu jest kierownik? Dopilnuję, żeby zwolniono cię z pracy, smarkulo!

- Ale ... Halo, proszę pani! Przepraszam!

Rozjuszona staruszka wyruszyła już jednak z misją oczyszczenia marketu z niepożądanych bezczelnych elementów. Znalaziono kierownika zmiany i między tą trójką rozpoczęły się zawody na siłę głosu. Wygrała Brenda. Ma się rozumieć, natychmiast ją zwolniono.

Postanowiła nie pisać Nicolasowi, że w tym momencie straciła panowanie nad sobą i zaczęła demolować sąsiednie stoiska. Zostać wylaną po trzech godzinach pracy za to, że nie zna się na zaburzeniach trawienia, to niesprawiedliwe! Zarobiła ledwie dwanaście funtów, zyskując w zamian spojówki zaognione od kurzu z kartofli, brudną wodę z mopa we włosach i ramiona sine od uszczyptnięć. Na dodatek skóra pod nylonowym pancerzem świerbiła ją jak diabli.

Chwyliła żółty melon i wyrzuciła go w górę, tak wysoko, jak tylko starczyło jej sił. Chwilę później w ślad za nim poszybował następny, za nim jeszcze jeden, zielony, i dalsze.

- *Patrzcie na me krągłe, mięciutkie melony, o-ny-o-ny-o-ny* - darła się Brenda. Przerażeni klienci kryli się za regałami.

- *Który ma ochotę na słodkie melony, rozkoszne melony, o-ny-o-ny-o-ny ...* - dało się słyszeć przy wtórze miękkich plaśnień roz-

trzaskujących się na posadzce owoców. Dzieci płakały, czterech emerytów przewróciło się biegnąc do wyjścia. Kilkoro ludzi zostało pokaleczonych, gdy najdorodniejszy melon wpadł z hukiem do szklanej witryny, przerywając im nabieranie sałatek. Brenda, ścigana przez ochroniarzy, kluczyła po sklepie, burząc piramidy biszkoptów i proszków do prania. W końcu wpadła do pokoju kierownika i zamknęła się w nim na klucz. Nim jeszcze ochrona zabrała się za wyważanie drzwi, ze wszystkich głośników dobiegł grzmiący okrzyk: - *Sklepy Dunnesa są znacznie lepsze od tej nory! Kupujcie u Dunnesa! Najlepsze oferty tylko u Dunnesa!*

Kierownik wprost oniemiał z wściekłości. Ta obłąkańcza rozróżba miała miejsce nie byle gdzie, a w placówce największej gałęzi największej sieci supermarketów Zjednoczonego Królestwa. Kazał wezwać karetkę, żeby mogli zasłonić się chorobą psychiczną Brendy, gdyby ktoś podał ich do sądu.

(O tym wszystkim też nie napisała w liście.)

Pracownicy marketu okazali się bardzo mili. Czekali z nią na parkingu, aż przyjedzie karetka. Ktoś przyniósł jej gorącą, bardzo słodką herbatę. Ktoś inny powiedział, że praca w markecie jest szalenie stresująca. O tak, przyznała Brenda. Ten ciągły pisk elektronicznych kas to psychiczna tortura, zwłaszcza dla kogoś, kto jak ona mieszka sam i nie jest przyzwyczajony do hałasu.

Udała, że się uspokaja, a gdy strażnicy puścili jej ręce, zerwała się do biegu niczym chart. Nie zdołali jej złapać; kiedy zadyszana dotarła do domu, odkryła, że zgubiła swoje śliczne spinki w kształcie słoneczników.

Po długim namyśle kierownik postanowił nie pociągać biednej Brendy do odpowiedzialności za wyrządzone szkody i nie zgłaszać wypadku ani na policję, ani do wydziału zdrowia. Był on w gruncie rzeczy przyzwoitym człowiekiem, poza tym miał dość zachodu z uspokojeniem rozhisteryzowanej kobiety, która sprowokowała zajście. Obiecał jej nowy płaszcz i ścierając z wyłogów nasiona melonów po raz kolejny zastanowił się, czy nie pora już przejść na wcześniejszą emeryturę.

## 22. DWOJE TO TOWARZYSTWO, TROJE - TŁUM

Około południa Sadie wyszła z domu. Wiedziała, że Arnold ma się spotkać z kolegami na lunchu w hotelu Europa. (Kupiła mu z tej okazji nową koszulę i krawat.)

Trapiła się od tygodni, odwołując podjęcie decydującej walki.

Pochłonięła w tym czasie dziesiątki bajgli z dżemem malinowym i czekoladowych rogalików z kremem. Ani bajgle, ani rogaliki nie wpłynęły znacząco na jej życie osobiste. Tyle tylko że dały Arnoldowi pretekst do przykrych uwag; na przykład, że *będzie* musiał wzmocnić wszystkie meble prętami zbrojeniowymi (ważyła już ponad osiemdziesiąt kilo).

Z wielkimi oporami jechała więc dziś do centrum. Biuro Arnolda znajdowało się na drugim piętrze wiktoriańskiego domu przy Eglantine Avenue. Sadie wypróbowała po kolei klucze, aż w końcu jeden obrócił się w zamku. Weszła na paluszkach i przezornie zamknęła za sobą drzwi. Planowała schować się i czekać dotąd, aż usłyszy coś, co przekona ją o niewierności męża. Wtedy zastanowi się, co dalej. Przeszukiwanie kieszeni i biurka Arnolda nie dało rezultatu; dlatego znalazła się dziś w tej krępującej sytuacji. Szybko rozejrzała się po pokoju, spostrzegając przy tym, że na biurku nie ma zdjęć, które dała mężowi - tego, które zrobili sobie w Portrush w zeszłym roku.

Tylko jedno miejsce nadawało się na kryjówkę. Sadie odsunęła wysoką szafę na akta od ściany w rogu i wstawiła za nią składane krzeselko. Z zaciętymi ustami wepchnęła się w ciasną szczelinę, przyciągnęła szafę do siebie i usiadła, wierząc się dotąd, aż znalazła w miarę wygodną pozycję. Potem wyjęła z torebki groszową powieść i opakowanie cukierów toffi. Wrzuciła jednego do ust i zaczęła czytać.

Punktualnie o drugiej drzwi otwarły się gwałtownie i zabłyśło górne światło. Sadie wstrzymała oddech.

- Chodź no tu, czarownico - rzekł Arnold do kogoś, kogo Sadie nie mogła dojrzeć. - Przyznaj się, specjalnie włożyłaś tę minispódniczkę? Przez cały ten cholerny lunch miałem ochotę się na ciebie rzucić. Jezus! Myślałem, że nigdy nie skończą głądzić!

Rozległ się odgłos pospiesznych pocałunków, a potem Sadie omal nie zemdląła, gdy mężczyzna będący od dwudziestu lat jej mężem powiedział:

- Muszę cię mieć teraz, zaraz! Wskakuj na biurko, prędko! Sądząc po odgłosach, jego towarzysza zajęła miejsce na biurku z taką wprawą, jak gdyby robiła to co dzień. Sadie uniosła wzrok ku górze

- w samą porę, by ujrzeć, jak czerwona bluzka ładuje na żyrandolu. Arnold sapał niczym zgoniony pies. Rozległ się dźwięk rozsuwanego zamka i chichot:

- Miałaś oglądać moje nowe podwiązki, nie macać, bezwstydniku!

Z biurka zsunęły się jakieś papiery, coś brzękło.

- Uwważaj na tę lampę, to antyk - upomniał kobietę Arnold zduszonym głosem.

Gdy było po wszystkim, nalał whisky do dwóch kieliszków, a Patricia zapaliła sobie i jemu papierosa. Schowana za szafą Sadie żuła toffi kurczowo zaciskając powieki.

- Mam dla ciebie niespodziankę, Patty-Pat - rzekł Arnold przestawszy dyszeć.

- Cudnie! Uwielbiam niespodzianki. Co to? Powiedz mi!

- Sprzedałem znów ostatnio kilka oranżerii.

- No to co? Cały czas sprzedajesz oranżerie.

- I zarobiłem na prowizjach sporą sumkę. Ludzie w tym mieście mają więcej pieniędzy niż rozumu. Na przykład ta stara wiedźma od umarłych pisarzy ...

- Wiem, mówiłaś mi o niej. Co z tą niespodzianką, nie dręcz mnie dłużej! - zaśmiała się Patricia.

- Cierpliwości, kotku. A więc żeby to uczcić, jedziemy oboje na dwa dni do Paryża.

Siedząca na biurku kobieta pisnęła z zachwytu:

- Wiedziałam! Wiedziałam, że coś knujesz! Kiedy jedziemy? Muszę sobie kupić coś do ubrania!

Podaj mi bluzkę: Kiedy powiesz Zmiotce i Kwaśniakom?

- Fe, nie psuj nastroju! Naprawdę sypiać z tą kobietą to tak, jakby mieć wychodek obok pałacu. O, właśnie: zrób Sadie. Zawsze mnie to rozwała.

- Sadie Zmiotka! Straszliwa pompa ssąca! - zaryczała grobowym głosem Patricia i oboje zaczęli się śmiać do rozpuku.

- Genialne! Jakbym ją widział! Jeszcze!

\_ Zmiotam wszystko, co popadnie! Kiszki grają mi marsza! Pożrę cały świat! - warczała Patricia goniąc Arnolda po gabinecie w samych koronkowych pończochach.

\_ Już wystarczy! Starczy! - wołał. - Dostałem kolki ze śmiechu. Powinnaś występować na scenie. Dobra, ubierz się, bo jeszcze ktoś cię zobaczy.

- Opowiedz mi o wycieczce.

\_ Polecimy w październiku, samolotem. I nie zwracaj sobie głowy ciuchami. Przez czterdzieści osiem godzin nie pozwolę ci się ubrać. Rodzinie powiem, że lecę na konferencję w sprawie ekologicznych produktów dla domu. Zresztą zabójady rzeczywiście kładą spory nacisk na takie rzeczy. O! Powiem, że rozważamy stworzenie ponadnarodowego kartelu. Sadie i tak wierzy we wszystko, co jej mówię.

- Idiotka.

\_ Faktycznie, jest naiwna. Bozia poskapiła jej rozum. Jeszcze whisky?

- Mhmmm ... Tylko kropelkę. Muszę wracać do pracy. Wieczorem mają nam przywieść świeczniki. Kiedy się znów zobaczymy?

- Zadzwoń do ciebie. Nie wyłączaj komórki.

- Tęskniłam za tobą w sobotę. W kinie leciał świetny film i musiałam pójść sama. Pozbądi się wreszcie Zmiotki i bądi tylko ze mną!

- Przecież ci mówiłem, że nie stać mnie na pielęgniarkę. Moi rodzice wymagają opieki. Ale gdy tylko opuszczą ten padół łez, pozostawiając mi górę pieniędzy, stara Sadie dostanie kopa. I wtedy zamieszkamy razem. Dom zapisany jest tylko na mnie, chociaż Zmiotka o tym nie wie.

- Da sobie radę. Będzie mogła zawodowo pielęgnować chorych, w wolnych chwilach obżerając się słodyczami. Ma spore doświadczenie w obu tych dziedzinach.

- No, no, miej że trochę litości. Ostatecznie staruszka nie jest taka zła. Nawet całkiem miła ... na swój sposób.

- Ale nie jest mną. A to mnie kochasz, prawda, skarbie?

- Przecież wiesz o tym, Patty-Pat. Kocham tylko ciebie. Bądź co bądź masz najlepsze nogi w całej Irlandii Północnej!

Patricia wyszła z biura o trzeciej. Przez resztę popołudnia Arnold czytał gazetę, odebrał cztery telefony i zrobił sobie kawy. Sprzedawanie okien nie było widocznie zbyt absorbującą pracą. Tuż przed piątą zaczął się głośno zastanawiać, co też Sadie zrobiła na obiad (romantyczne uniesienia wzbudziły w nim apetyt). Stek i frytki z buraczkami i sałatką z pomidorów? Albo kotlety schabowe z musem jabłkowym? A może soczyste kielbaski w pikantnym sosie? Ho, ho, ho! Rozochocony kulinarnie Arnold wstał, pogasił światła, po czym wyszedł zamykając za sobą drzwi.

Po chwili szafa w kącie zadygotała. Sadie wyswobodziła się z ciasnej kryjówki; twarz miała ciemną jak chmura gradowa. W gabinecie unosił się jeszcze dym z papierosów. Myślała, że Arnold dawno rzucił palenie. Często uskarżał się na klientów, którzy zasmradzają mu tytoniem drogie marynarki. Starając się nie patrzeć w stronę biurka, dyskretnie opuściła pomieszczenie.

Tego wieczoru Arnold zauważył, że Sadie zachowuje się dziwnie. Po pierwsze przyszła później niż on. Dotąd zawsze witał go wesoły ogień na kominku, gotowy obiad i rodzice usadowieni już przy stole. Dziś bąknęła tylko, że autobus się zepsuł, i podała im zimną pieczeń i kupną sałatkę.

Potrząsając butelką sosu, Arnold zerknął na żonę. Zobaczył, że żuje bardzo powoli i wpatruje się w niego z dziwnym wyrazem twarzy.

\_ Może masz ochotę na paryską bułkę? - spytała głucho, krusząc w dłoniach kromkę chleba.

\_ Nie, dziękuję - odparł Arnold i nerwowo przełknął ślinę.

### **23. ORANŻERIA GOTOWA!**

Pod koniec lipca wielka budowla wreszcie została ukończona.

Chociaż Smith zatrudnił dodatkową ekipę, żeby przyspieszyć prace, Henry miał wrażenie, że hałas młotków i pił będzie mu towarzyszył już do końca życia. W gardle wciąż miał kurz, dokuczalo mu gwałtowne bicie serca.

David Cropper przyjechał na oględziny i orzekł, że warunki do filmowania w oranżerii są wspaniałe, światło dokładnie takie, jakiego trzeba. Zwalila się też cała podekscytowana Rodzina Bronte. Po dopełnieniu wzajemnych prezentacji pan Cropper zdradził, że o ich ekskluzywnym towarzystwie mówi całe miasto. Termin kręcenia filmu był już ustalony, kostiumy gotowe. Aurora całymi dniami ćwiczyła głośne czytanie, aż w końcu dostała chryпки.

Tymczasem Henry zakochał się w dziewczynie z kwaciarni, do której chodził przynajmniej raz w

tygodniu (po kwiaty dla Aurory, rzecz jasna!). Na imię miała Rose. Rose Thompson i Henry Blackstaff - oba nazwiska miały staroświecki urok, co wprawiło go w absurdalną radość. Śnił, że mieszka z Rose w małym domku otoczonym baśniowym ogrodem. Siedzą pod płaczącą wierzbą patrząc, jak słońce zachodzi za niskim drewnianym płotem. Całują się czule, otoczeni pachnącą lawendą.

Czasem, kiedy w sklepie nie było klientów, toczyli długie rozmowy o ogrodnictwie. Wymieniali doświadczenia, które kwiaty są trwalsze, a które łatwiejsze w uprawie. Oboje byli zdania, że importowane rośliny są ładne, owszem, ale wkrótce całkowicie wyprą z rynku miejscowe odmiany.

Większość mieszkańców Belfastu nie potrafiłaby nawet nazwać dzikich kwiatów - westchnęła Rose. - A szkoda, bo wystarczy je tylko posadzić i rosną

I pachną. Szklarniowe róże prawie nie mają zapachu, zwłaszcza gdy je porównać z tradycyjnymi. Są takie wątle - dodał Henry, wachając miniaturową różyczkę i myśląc o Aurorze. Tworzą wyłącznie bezcielesny obraz. Pamiętam kwiaty róż wielkie jak deserowe talerzyki, pełne kropel deszczu i skorków. Rosły w każdym ogrodzie w tej dzielnicy.

Hm ... - Rose nie była przekonana, czy ta wizja urzekłaby jej klientów.

Ale zapach - ciągnął Henry - zapach był oszałamiający. Wieczorami powietrze było ciężkie jak kadzidło.

To prawda - przyznała Rose. - Czysty romantyzm. Nie ma na świecie piękniejszej rzeczy niż różany ogród.

Za każdą wizytą Henry coś kupował i parapety domu pełne były kwiatów we wszelkich barwach i rozmiarach. Aurora bąknęła, że są urocze, ale nie pozwoliła mu ich wstawić do oranżerii, twierdząc, że zniweczą oficjalną atmosferę.

Po jakimś czasie zmieniła jednak zdanie i doszła do wniosku, iż kilka eleganckich roślin o dużych liściach ożywi nagie ściany. Właściwie był to pomysł Davida, lecz Aurora przyznała mu całkowitą rację. Wyłuszczyła Henry'emu swój plan. Spojrzał na nią nieprzytomnym wzrokiem.

Czy ty mnie słyszysz, Henry? - spytała ze zniecierpliwieniem. Zdjęcia miały zacząć się nazajutrz.

Powiedziałam, że chcę kupić jakieś duże rośliny do oranżerii. Wygląda tam teraz trochę goło, tylko książki i wyplatane krzesła. Może kilka palm w doniczkach i aspidistrę? Jak myślisz?

Aspidistrę? Tak, będzie bardzo odpowiednia.

Jak się nazywa ta twoja kwaciarnia?

Co?

Henry, oprzytomniej! Pytałam, jak się nazywa kwaciarnia, do której chodzisz.

Rose. To znaczy, kwaciarnia Rose Thompson. - Przed oczyma Henry'ego zamajaczyły zielone oczy kwaciarki. Ś wietlista i gibka jak nimfa Rose zręcznie przycina łodygi i osadza je w piankowym podkładzie długimi smukłymi palcami ...

Masz ich numer telefonu? Henry, skup się, mam niewiele czasu. A właściwie mógłbyś sam tam zadzwonić? Muszę jeszcze omówić parę rzeczy z Davidem.

Tak, tak. Chyba mam gdzieś rachunek. Zaraz zadzwonię. Zadzwonił dopiero nazajutrz rano.

Jąkając się z emocji, spytał, czy Rose ma na stanie kilka dużych roślin harmonizujących stylistycznie z wiktoriańską architekturą domu. Bo trzeba by je dostarczyć jeszcze dziś.

Odpowiedziała, że przywiezie je w porze lunchu.

Zaraz potem przyjechała ekipa fimowa i zaczęła rozstawiać sprzęt. Dom zapełnił się krążącymi w tę i z powrotem ludźmi ciągnącymi kable, mierzącymi naświetlenie i mocującymi jupitery. W samym środku tego zamieszania na podjazd wjechała furgonetka. Serce Henry'ego zatrzymało się na chwilę, gdy zobaczył w progu Rose Thompson z wielką palmą w objęciach. Rzucił się na pomoc.

Dzięki - wysapała. - Ta donica jest potwornie ciężka.

Zaraz pani pokażę, gdzie mają stanąć, choć dokładnie nie

wiem, jak żona chce je rozmieścić. Zaraz ją zapytam. Przepraszam na chwilę.

Dobrze, w tym czasie przyniosę pozostałe.

Kiedy rośliny zostały ustawione, a potem przestawione raz i drugi i Aurora wreszcie była usatysfakcjonowana, poszła na górę się przebrać. Henry i Rose zostali sami w holu.

Bardzo pani dziękuję - powiedział Henry. - Teraz to naprawdę dobrze wygląda. Kręcą tu dziś film dla telewizji. Dokumentalny.

Tak? To fantastycznie! Mam nadzieję, że wszystko pójdzie jak z płatka. - Rose sięgnęła do klamki.

Ja ... eee .. cały czas chcę panią spytać, czy to zbieg okoliczności, że ma pani takie kwiatowe

imię.

– Nie - zaśmiała się. - Moja mama też była zapaloną ogrodniczką.

– To ona zaszczepiła w pani miłość do kwiatów?

– Tak, ona. No cóż, muszę lecieć. Proszę nie zapomnieć podlać roślin.

Wycofała furgonetkę i zniknęła za bramą. Henry jeszcze długo stał w otwartych drzwiach czując, jak mocno bije mu serce.

Wnet zaczęli się zjeżdżać siostry i bracia Bronte w wiktoriańskich strojach, które mocno im utrudniały wysiadanie z samochodów i taksówek. Henry podawał jaśminową herbatę i małe napki z lososiem. (Aurora kilkakrotnie zwracała mu uwagę, żeby ścierał z chleba całą skórę.)

Nieco później pani Johnson zemdlała i trzeba ją było rzeźwić papierowym wachlarzem. Ktoś próbował zdjąć jej palto, ale odprawiła go słabym gestem dłoni w koronkowej mitence. Henry nie był pewien, czy zemdlała naprawdę, czy tylko wczuła się w rolę. Aurora i David długo rozmawiali w oranżerii. Aurora miała na sobie obrzeżony koronkami czepek, czarną suknię na niezliczonych halkach i ... - tak, chyba gorset, zważywszy osiłą talię. David Cropper ledwo oddychał z pożądania. Aurora odczytała wyjątek z "Wichrowych Wzgórz", żeby wypróbować akustykę, a Dawid słuchał, jak gdyby odkrywała przed nim tajemnicę wiecznego życia.

## 24. DECYZJA PENNY

Penny była w transie. Tak się w każdym razie czuła - jakby żyła we wnętrzu przezroczystej muszli. Widziała ludzi i słyszała, co mówią, ale nic do niej nie docierało. Wiedziała tylko, że będzie miała romans z Richardem Allenem, sprzedawcą nieruchomości. Hartowała sumienie, ćwiczyła spokój i zbierała się na odwagę.

Zadzwoiła do niego. Rozmowa przeciągnęła się na pół godziny. Oznajmiła, że szuka czegoś nietuzinkowego, a on opowiedział jej o swoim mieszkaniu nad rzeką z przeszkloną widokową ścianą salonu. Wyraziła stosowny zachwyt napomykając, że chciałaby zobaczyć coś tak fantastycznego. Roześmiał się i odrzekł, że to się da załatwić. Tak, wszystko wskazywało na to, że pan Allen bez trudu pozwoli się uwieść.

Ubierze się wyzywająco, będzie z nim flirtować i schlebiać mu.

Mężczyźni uwielbiają być podziwiani i chwaleni. Otwierają przed kobietami drzwi i nosić ich bagaże. Kobiety wyemancypowane nie mają dla nich uroku, chociaż kończy się już wiek dwudziesty. Pozwoli sobie wytłumaczyć różne opcje kredytu hipotecznego, chociaż zna je na wylot i tak naprawdę nie jest jej potrzebny żaden kredyt.

Millie zawsze jej mówiła, że jest bardzo atrakcyjna, że mogła złapać o wiele lepszą partię. W porządku, Penny sprawdzi tę teorię. Zobaczy, czy w ładnym opakowaniu jej kobiece krągłości wywrą odpowiednie wrażenie na eleganckim i pewnym siebie mężczyźnie. Zrobi wszystko, by wzbudzić w nim pożądanie.

A jeżeli je wzbudzi, co wtedy? Ano, pójdzie z nim do łóżka, choć w środku palił ją wstyd na myśl o tym, co zamierza zrobić. Musi iść z nim do łóżka. Inaczej nigdy się nie dowie, czy namiętność, o której marzy, istnieje naprawdę, czy to tylko wymysł firm wydawniczych. Jeśli poczuje rozkosz lub w ogóle cokolwiek, odejdzie od Daniela i wyprowadzi się z Belfastu. Nie znaczy to, że ona i Richard mają szansę na wspólną przyszłość. Zresztą Penny nie chciała wiązać się z Richardem. Kochała Daniela i wątpiła, czy zdoła pokochać innego. Ale nie chciała już z nim żyć, za dużo było w niej goryczy. Nie, znajdzie sobie małe mieszkanko gdzieś nad morzem i do końca życia pozostanie sama.

Jeśli zaś nie odczuje nic, będzie wiedzieć, że to ona ponosi winę za fiasko ich małżeństwa. Wróci do pracy w barze i wyrzeknie się marzeń o miłości i tym podobnych głupstwach.

Zamierzała zrobić się na bóstwo, a potem umówić się z Richardem na rozbieraną randkę. Jak to ostatnio nazywają? Bzykanko. Raz już omal nie uwiodła obcego faceta, może to zrobić i tym razem. Tamten hydraulik też by się jej nie wymknął, gdyby dzwonek telefonu nie zniszczył naładowanej erotycznie atmosfery.

Bardzo poruszyła ją opowieść Clare Fitzgerald o zgubionej torebce. Wraz z adresem na kasecie przepadła przyszłość - wszystko, co mogło się być wydarzyć. Jeden błąd zmienia bieg dziejów.

Peter zostawił list, a pan Muldoon włożył go do szuflady i zapomniał o nim. Kolejna stracona szansa. Siedemnaście lat poszło na marne. Penny była przerażona tą historią i przekonana, że musi ona mieć głębsze znaczenie. Może herbaciarnię prześladowuje pech? Millie nieraz (choć nigdy wprost) dawała jej to do zrozumienia.

## 25. POCZĄTEK ROMANSU

W pierwszą sobotę sierpnia Penny zaczęła dzień jak zwykle - od pieczenia, podawania i znoszenia naczyń. O pierwszej po południu siadła jednak przy stoliku, leniwie sącąc duże cappuccino i puszczając mimo uszu prośby Daniela, żeby pomogła mu się uporać ze wzmożonym ruchem. O drugiej, kiedy Daniel udał się do składziku po herbatę w saszetkach, Penny opuściła lokal, zostawiając go na pastwę losu. Wzięła ze sobą książeczkę czekową, miała bowiem zamiar wydać mnóstwo pieniędzy. Gdy Daniel wyszedł z kuchni niosąc dzbanek z herbilną i tacę słodkich drożdżowych bułeczek nadziewanych jagodami, już jej nie było. Strach ścisnął mu serce zimnymi palcami.

Penny poszła pieszo do centrum miasta i wybrała nowy salon fryzjerski, w którym panował duży ruch. Weszła do środka, usiadła na skórzanej kanapce i czekając na swoją kolej rozglądała się 'ciekawie'. Po chwili młodzianka uczennica poprosiła ją do umywalni. Zapytała, czy Penny chce całkiem zmienić image. Najwyraźniej uznała to za konieczne.

Stylistka, która przyszła obejrzyć jej włosy, zmarszczyła brwi i w zadumie przygryzła wargę. Są suche i bardzo twarde, oznajmiła. Nie będą się układać przy tej długości. Cieniowanie też byłoby ryzykowne, a blond pasemka na tak ciemnym tle - wykluczone. Penny bąknęła, że ma za mało czasu, by lepiej dbać o włosy. Prosi o jakąś ładną, sportową fryzurkę, która nie będzie wymagać modelowania. Pracuje zawodowo, wyjaśniła, żeby pokryć zakłopotanie. Dwudziestoletnia stylistka, która mając dwoje dzieci i pracując dziesięć godzin dziennie wyglądała jak światowej klasy modelka, orzekła z rezygnacją, iż w takim razie trzeba będzie je obciąć. Penny po krótkim wahaniu wyraziła zgodę.

Zacisnęła powieki, gdy gorąca mydlana woda zmyła i uniosła w niebyt jej dotychczasowe życie. Zaszczękały nożyczki; usłyszała szelest metalowej folii i miękkie mlaśnięcia pędzla nakładającego na jej włosy jakiś żel. Odczekała trzydzieści minut, po czym znów poproszono ją do umywalni. Zabrzęczała suszarka i owionął ją silny zapach lakieru do włosów.

- Już - powiedziała fryzjerka. - Jak się pani podoba? Penny obejrzała w lustrze swój nowy image i pokiwała głową, bo ze zdumienia odjęło jej mowę. Mahoniowe kosmyki wiły się miękko, otulając jej policzki. Wyglądała o dziesięć lat młodziej. - Jeśli się pani nie spieszy, doradzałabym wizytę w naszym

salonie kosmetycznym i wyregulowanie brwi. Są bardzo grube, wyglądałyby o wiele ładniej, gdyby je nieco ujarzmić.

- Rzeczywiście tak zrobię. Dziękuję za radę.

- Czy szykuje się pani na szczególną okazję? Może da sobie pani zrobić profesjonalny makijaż? Nadałby pani trochę więcej blasku i wykończył stylistycznie całość. Ma pani bardzo ładną, kształtną twarz. - Fryzjerka chciała zakończyć perorę jakimś miłym akcentem.

Penny z uśmiechem pokiwała głową i dała jej bardzo hojny napiwek.

W salonie kosmetycznym Penny poddała się sesji tortur z użyciem gorącego wosku i pęsety, po której miała oczy pełne łez. Kosmetyczka z brwiami cienkimi jak druciki wtarła jej w zaczerwienione czoło kojącą maść i przyniosła filiżankę herbaty. Kiedy opuchlizna zaczęła się zmniejszać, Penny pozwoliła sobie nałożyć błady fluid, szary cień do powiek i błyszczącą brązową szminkę. Rzęsy zostały pogrubione warstwą tuszu; musiała kilkakrotnie mrugnąć, żeby przyzwyczaić się do ich ciężaru. Wyolbrzymione w ten sposób oczy Penny przybrały nagle bardzo uwodzicielski wyraz. Z trudem poznała je w lustrze. Kosmetyczka powiedziała jej, że jest piękna. Mówiła szczerze. Penny Stanley naprawdę była piękną kobietą.

Kupiła sobie mały słoiczek fluidu, opakowanie szarego cienia i szminkę w ładnym złotym pudełku. Otrzymała do tego firmowe etui ściągane złotym sznureczkiem. Daniel byłby zgorszony widząc jej rozczulenie głupiutkim gadżetem. Ale dla Penny to etui symbolizowało cały luksus i piękno, jakiego życie jej poskapiło. Dostała też firmową wizytówkę z wypisanym nazwiskiem stylistki, żeby na przyszłość wiedziała, do kogo się zwrócić.

Kiedy była już gotowa, podeszła do kasy. Ponoć szczęścia nie można kupić, lecz jest to tylko w części prawda. Penny wydała w sumie sto czterdzieści funtów, a czuła się jak milionerka. Ludzie na ulicy oglądali się za nią z podziwem. Szastanie pieniędzmi to jednak wielka frajda, uznała w duchu. Pełna nowo nabytej pewności siebie przechadzała się przez chwilę oglądając wystawy, po czym nacisnęła dzwonek w drzwiach ekskluzywnego butików przy hotelu Europa. Już mieli zamykać, ale ekspedientka zaprosiła ją do środka.

Przejrzawszy szybko wieszaki, Penny skompletowała sobie nowy strój - szare wełniane spodnie pod kolor cienia do powiek, czarny żakiet i buty oraz małą torebkę. Postanowiła od razu się przebrać, poprosiła więc o odcięcie metek.

- Zdaje sobie pani sprawę, że wtedy nie będzie pani mogła zwrócić zakupów? - spytała nieufnie sprzedawczyni.

- Wiem, wiem - powiedziała Penny wypisując kolejny czek.

Przełożyła kosmetyki do nowej torebki i zapięła zameczek, który zaskoczył z miłym dla ucha kliknięciem. Potem, pomachawszy na pożegnanie zdumionym ekspedientkom, wyszła ze sklepu niosąc stare ubrania w reklamówce, której pozbyła się przy pierwszym napotkanym śmietniku. Brygada murarzy zamarła na rusztowaniu odprowadzając ją pełnym zachwytu spojrzeniem. Młoda i pełna życia Penny kroczyła ulicą w swojej nowej kreacji, a wiatr śpiewał jej chwałę w liściach kasztanowców.

Usiadła na ławce w ogrodzie botanicznym, ściskając torebkę z czarnego welwetu. (Przypomniała sobie Clare Fitzgerald i na wszelki wypadek owinęła pasek wokół przegubu.) Była szósta po południu. Z Richardem umówiła się na ósmą. Pomimo zdenerwowania zaczęła odczuwać głód. Różowawe światła w oknach i sączący się na ulicę zapach czosnku zwabiły ją do włoskiej restauracji obok uniwersytetu. Przystojni kelnerzy z wdziękiem śmigali między stolikami, roznosząc posiłki na wyładowanych srebrnych tacach.

- Stolik dla dwojga? - zagadnął ją jeden z nich, zerkając na zegarek.

- Niestety, tylko dla mnie. Ale noc jeszcze młoda! - roześmiała się Penny.

- Służę pani. - Kelner poprowadził ją do małego stolika w zacisznym kącie obok efektownie podświetlonego drzewka.

Penny poprosiła o kieliszek wina i otworzyła oprawne w skórę menu. Jak to miło jeść potrawy z cudzej kuchni, pomyślała, z lubością wciągając w nozdrza zapach pomidorów wrzących w winnym sosie, parmezanu i oliwy. Po gruntownym przestudiowaniu jadłospisu zamówiła szczypcę la:abów z sałatką, a później jeszcze kawę z ekspresu i wodę perrier. Załowała, że nie ma z nią Daniela. Jakże byłoby miło trzymać się za ręce i udawać, że są na wakacjach w Rzymie!

Z sufitu zwisały pędy dzikiego wina, a ścianę pokrywał fresk przedstawiający włoską wieś. Obrusy były w biało-zieloną kratę, serwetki zielone; obok baru stał piękny posąg kobiecy ze śnieżnobiałego marmuru. Penny chłoneła każdy szczegół. Była przyzwyczajona do roli obserwatora, milczenia i jedzenia posiłków w samotności. Chciała dokładnie zapamiętać ten dzień. Za dziesięć ósma zapłaciła i wyszła z restauracji.

Ściskając mocno torebkę pchnęła drzwi winiarni przy "lepszym" krańcu Lisburn Road. Wnętrze tonęło w ciepłym półmroku. Krzesła wyściełane granatowym aksamitem, mahoniowe stoliki, mosiężne lampki nad nowoczesnymi obrazami; w rustykalnych stojakach rzędy omszałych butelek z winem. Większość obecnych stanowili elegancko ubrani mężczyźni. Ich spojrzenia odprowadziły ją do baru, gdzie usiadła na wysokim stołku i zamówiła lampkę wina, ostentacyjnie spoglądając na zegarek, aby było wiadomo, że na kogoś czeka. Nie chciała się narażać na kłopotliwe awanse. Wypiła wino i zamówiła jeszcze lampkę. Czy Richard pamięta, że się umówili? Czy przyjdzie? Przez telefon wydawał się bardzo chętny, skwapliwie podchwycił pomysł, żeby spotkali się przy drinku. (Richard Allen nie szukał zbędnych problemów; wierzył, że najlepiej poruszać się z prądem.) Dziesięć po ósmej Richard wszedł do winiarni, już od progu kiwając na barmana, żeby nalał mu drinka. Uśmiechnął się na widok Penny i usiadł obok niej przy barze. Lokal się zapełniał, muzyka zabrzmiała odrobinę głośniej.

- Witaj - powiedział. - Fantastycznie wyglądasz. Zmieniłaś fryzurę, prawda? Ledwie cię poznałem. Napl:awdę wypiękniłaś.

- Dzięki za komplement - uśmiechnęła się.

- Cieszę się z tego spotkania. Nawet jeśli nie zdołam ci nic sprzedać.

- Założę się, że mówisz to wszystkim napotkanym paniom - zaśmiała się Penny. Ale i tak było jej bardzo miło.

Kiedy o dziesiątej Richard poszedł do toalety, barman, który znał go od lat, szeptem ostrzegł Penn y, że jej towarzysz to donżuan, po którym nie można sobie zbyt dużo obiecywać. Chce się tylko zabawić. Penny była uradowana. To tak jak i ona, odparła. Chce się tylko zabawić.

Powiedziała Richardowi, że jest mężatką. Chciała, żeby od początku sytuacja była jasna.

Najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu. Napomknął, że wyczuł w jej głosie coś, co mogło wskazywać, że nie interesują jej wyłącznie ceny apartamentów nad rzeką. Gawędzili chwilę o cenach nieruchomości, które w jednych częściach miasta rosły, a w innych spadały. Potem o tym, że w Belfaście nie mieszkają żadni znani ludzie; o dobrych i złych programach w telewizji; o tym, jak natychmiast zaczyna padać, ilekroć człowiek wyjdzie z domu bez parasola; o nowych modelach samochodów,

o podróżach, o jedzeniu, o dobrych i kiepskich restauracjach - starannie omijając ryzykowne tematy wiążące się z polityką i religią. Richard płacił za drinki. Od czasu do czasu kładł dłoń na przedra-

mieniu Penny, a ona jej nie odtrącała.

O jedenastej wyszli razem z baru. Richard zaproponował, że pokaże jej swoje mieszkanie. Jako potencjalna nabywczyni powinna je obejrzeć od wewnątrz - zwłaszcza wspaniały widok z okna na rzekę Lagan. Oboje udawali, że pora jest odpowiednia na negocjacje handlowe. Złapali taksówkę. Co dziwne, Penny wcale nie czuła się skępowana wchodząc do mieszkania obcego mężczyzny. Richard puścił ją przodem. Istotnie, okno jarzyło się światłami Waterfront Hall na drugim brzegu. We wnętrzu wielkiej przeszklonej hali koncertowej ludzie rozmawiali, śmiali się i przemieszczali schodami na różne piętra. Wyglądało to jak mrowisko w przekroju. Przez chwilę stali obok siebie, podziwiając widok. Richard delikatnie położył dłoń na plecach Penny. Serce skoczyło jej do gardła, nie z pożądania, lecz z nerwów.

Apartament był bardzo funkcjonalnie urządzony, wszystkie sprzęty harmonizowały ze sobą odcieniami kremowej i czekoladowej barwy. Penny spytała, czy Richard sam zaaranżował wnętrze.

- To było mieszkanie pokazowe - wyjaśnił. - Kupiłem je wraz z umeblowaniem.

- Nie wniosłeś tu nic swojego?

- Tylko wieżę stereo i ubrania. Niestety, jestem typowym kawalerem - rzucił lekko, lecz przez moment miała wrażenie, że mówi to z nutką smutku.

- To prawda - przyznała z uśmiechem.

- Rozgość się - rzekł wchodząc do małej kuchni, żeby zrobić kawę. Penny posłyszała, jak włącza przyciski drogiego ekspresu, i z trudem opanowała śmiech, gdy oparzył się wrzącym mlekiem. Te wymyślne maszynki są dość trudne w obsłudze, jeśli się nie ma wprawy.

Przypomniała sobie, jak tańczyła z Danielem tej nocy, kiedy się poznali. Pomyślała o dniu swego ślubu; o tym, jak niecierpliwie czekała chwili, kiedy znajdą się razem w łóżku. Stała przy wielkim oknie spoglądając w dół, na wodę. W oczach miała łzy.

- Pocałuj mnie - powiedziała, kiedy Richard wrócił z kuchni niosąc tacę z dwiema filiżankami białej kawy i paterą różnokształtnych niemieckich herbatników.

Odstawił kawę na stolik, zdjął marynarkę i w jednej chwili znalazł się przy niej. Końcami palców powiódł po ramionach Penny, a potem zamknął ją w objęciach. Richard Allen nie bał się kobiet. Miał pełną świadomość, że jest dobrym kochankiem. Dopiero gdy rozmowa schodziła na temat obrączek, zaczynał się czuć niepewnie.

Całowali się długo; kawa wystygła, a Penny przestała myśleć o Danielu.

## 26. KOCHANKOWIE

Nazajutrz Daniel był dziwnie cichy. Penny zrobiła sobie długą kąpiel, po czym ubrała się bez pośpiechu i zeszła na śniadanie nie o ósmej rano, lecz o wpół do pierwszej po południu. Daniel spojrzął na jej nową fryzurę i odmienioną makijażem twarz, bąknął, że ślicznie wygląda, po czym podał jej jak zwykle herbatę i drożdżówkę, ale ani słowem nie starał się dociec, gdzie była przez całą noc i dlaczego wróciła na palcach o świcie. Wydawał się szczęśliwy, że w ogóle wróciła.

Z upływem godzin Penny doszła do wniosku, że jej mąż po prostu nie wie, co powiedzieć. Poślubił ją dla pieniędzy, dla firmy - od dawna miała tego świadomość. Oznajmiła mu, że wyjeżdża na dwudniowy urlop i bierze ze sobą książeczkę czekową.

Daniel spurpurowiał, ale nadal milczał.

- Nie zapytasz mnie, dokąd jadę? - spytała.

- A masz zamiar mi powiedzieć?

- Danielu, musimy porozmawiać. Szczerze. Bardzo cię o to proszę.

- Ja też zaraz wychodzę na godzinę. - Daniel podniósł się z miejsca, zamknął drzwi i zaciągnął żaluzje.

Penny nie przypominała sobie, by choć raz w ciągu minionych siedemnastu lat Daniel zamknął lokal przed dziewiątą. Nawet w wigilię Bożego Narodzenia do późna obsługiwali ludzi, którzy spacerowali po ulicach śpiewając kolędy.

- Musimy porozmawiać, jeśli chcemy uratować nasze małżeństwo. Tak daleko być nie może.

- Porozmawiamy, kiedy wrócisz.

Możemy porozmawiać teraz. Jeśli tego nie chcesz, nie pojedę.

- Nie, jedź. Odpocznij. Zasłużyłaś na wakacje - rzekł i wyszedł kuchennymi drzwiami.

Penny nie starała się go zatrzymać. Spakowała kilka rzeczy do niewielkiej torby, zamknęła dom na klucz i wezwała taksówkę, która miała ją zawieźć do mieszkania Richarda. Zabierał ją na wieś, gdzie zamierzali chodzić na długie spacery, jadać w stylowych gospodach i dzielić łóżko w małym, acz drogim hoteliku. Z wrażenia kręciło jej się w głowie. Była mężatką, miała kochankę, ale jej doświadczenie w sprawach seksu wciąż było bardzo skromne.

Millie Mortimer ucieszyła się na wieść, że Penny robi sobie urlop. Należy jej się jakaś przyjemność



po tylu latach niewolniczej pracy w firmie, stwierdziła z mocą i natychmiast przyniosła Penny swój śliczny ciepły płaszcz i eleganckie ranne pantofle. Penny nie zdradziła jej całej prawdy. Powiedziała tylko, że wyjeżdża na parę dni, żeby zastanowić się nad swoim małżeństwem (co też było prawdą, tyle że częściową).

Richard już czekał. Było za późno na zmianę planów. Penny wsiadła do taksówki i kontrolnie zerknęła we wsteczne lustro, żeby sprawdzić, jak wygląda jej nowa fryzura.

## 27. SIOSTRY CRAWLEY SĄ W SZOKU

Dwa tygodnie przed spotkaniem z królową Alice przypomniała sobie o broszach. Musiały dobrać brosze do nowych kreacji. Miały jeszcze trochę odłożonych pieniędzy i gdy naradzały się, czy wydać je na biżuterię, Beatrice nagle poczuła ochotę na tort czekoladowy.

- Chodź - powiedziała. - Może Daniel zna miejsce, gdzie można tanio kupić ładne ozdoby, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Kto jak kto, on będzie wiedział - zgodziła się Alice. - Zamknij tylne drzwi, a ja zgaszę radio.

Penny nie było, co samo w sobie stanowiło niecodzienne zdarzenie, za to Daniel znalazł rozwiązanie trapiącego je problemu. - A nie mają panie jakichś ozdób po zmarłej matce? Najlepiej z czasów wojny; byłoby to zręczne nawiązanie do wystawy.

Beatrice przypomniała sobie, że na strychu wciąż stoi matczyny kufer pełen ubrań, butów i różnych innych rzeczy, których nie zdecydowały się rozdać po śmierci pani Crawley. Była pewna, że jest w nim też szkatułka ze sztuczną biżuterią.

- Zniesiemy go ze strychu i gruntownie przeszukamy. Może znajdzie się tam coś odpowiedniego - oznajmiła. - Dziękujemy, panie Stanley.

Daniel uśmiechnął się myśląc, że dobre uczynki są w gruncie rzeczy łatwe. Crawleyówny zjadły tort i poszły do domu rozpocząć poszukiwania.

Po wielu wysiłkach i okrzykach "Uważaj!" kufer został zniesiony po drabinie i ustawiony w sypialni Beatrice. Siostry siadły na łóżku, by chwilę odsapnąć, po czym otworzyły obitą skórą skrzynię. Z zewnątrz była zakurzona i osnuta pajęczyną, ale w środku czas stanął. Kolorowe sukienki, płaszcze i bielizna pachniały świeżością, jakby włożono je tam wczoraj.

- Nie do wiary, że była tak drobniotka - westchnęła Alice.

- Te ubranka są jak dla lalki.

Beatrice znalazła szkatułkę i wyjęła ją z kufra.

- Na szczęście biżuteria pasuje na każdą figurę. Mam nadzieję, że znajdziemy tu coś przydatnego. Swoją drogą Daniel miał świetny pomysł!

W szkatułce były głównie naszyjniki, bransoletki i klipsy, ale na samym dnie znalazły dwie duże brosze. Jedna była w kształcie ważki, wysadzana turkusami, druga miała kształt bukietu czerwonych tulipanów o złotych łodyżkach i liściach. Beatrice zaniosiła je do okna; słońce błysnęło w szlifowanych szkiełkach

- Chyba znalazłyśmy dokładnie to, czego nam trzeba - orzekła. - Ja wezmę czerwoną, a ty niebieską. Musimy je pokazać Penny za następną bytnością u Muldoona.

- Co to za kartka na dnie pudełka? Patrz, wystaje rożek. Alice sięgnęła pod jedwabną wyściółkę i ostrożnie wyjęła pożółkły ze starości papier. Rozłożyła go i wygładziła na łóżku. Było to świadectwo urodzenia. Dokument wymieniał Williama i Elizę Crawleyów jako rodziców bliźniaczych córek urodzonych w domu, w Belfaście dnia 16 września 1941 roku.

- Ależ to jakaś pomyłka - powiedziała Alice. - Urodziłyśmy się w tysiąc dziewięćset czterdziestym, sześć miesięcy po tym, jak tato poszedł na wojnę. Wpisali tu nieprawidłową datę ...

Siedząca bez ruchu Beatrice zakaszła nerwowo.

Siostry patrzyły na dokument wiedząc, że raz wypowiedzianych słów nie da się już cofnąć.

Przeprowadzone w duchu obliczenia przyprawiły je o szok. Musiały więc zostać spłodzone w czasie, kiedy William Crawley walczył na froncie. Co z kolei oznacza, że ich biologiczni rodzice nie byli sobie poślubieni. Beatrice przywołała na myśl niezliczone okazje, kiedy nazywała rozmaitych łobuzów "przeklętymi małymi bękartami". Jakąż krzywdą jest taki wyrok dla dziecka, które dopiero uczy się rozumieć świat.

Alice myślała o ich pierwszym dniu w szkole, pięćdziesiąt pięć lat temu. Niektóre dziewczynki chichotały i trącały się łokciami, gdy nauczycielka odczytała z dziennika nazwiska bliźniaczek. Czy już wtedy wiedziały? Czy słyszały, jak ich rodzice plotkują przy herbacie? "No, jeśli te dwie zostały spłodzone w małżeńskim łóżku, to ja jestem chan krymski!" - i podobne tanie, obelżywe uwagi. Biedna matka, jakże musiało jej być przykro, gdy ludzie znacząco patrzyli na jej dzieci. Ich odmienność za bardzo rzucała się w oczy; podświadomie Alice zawsze o tym wiedziała. Ale w świetle tych dat...

\_ Idąc do szkoły byliśmy bardzo małe, mniejsze od innych dzieci - powiedziała. - Dopiero potem urosłyśmy.

Wysadzone sztucznymi klejnotami broszki, prezent od kochanka Elizy, błyszcząły w dłoni Beatrice. One znały prawdę: prawdziwym ojcem dziewcząt był urodzony w Niemczech Żyd nazwiskiem Leo Frank. Jego genom powiodło się tam, gdzie zawiódł William. Do dziś widać je było wyraźnie na twarzach obu sióstr.

Beatrice podniosła rękę do gardła i znów zakaszła.

\_ Nie jesteśmy dziećmi Williama Crawleya, bohatera wojennego - rzekła cicho. Łza spłynęła jej po policzku.

\_ Czy to znaczy, że mamusia miała romans? - Twarz Alice była blada jak kreda.

\_ Na to wygląda. Zawsze mówiła, że nasze świadectwo urodzenia zaginęło podczas przeprowadzki. Jesteśmy o rok młodsze, niż myślałyśmy.

\_ Biedny tato - szepnęła Alice. - Nie wierzę w to! Błąd powstał w kancelarii. Jakaś roztargniona głupia urzędniczka musiała się pomylić.

Beatrice potrząsnęła pudełkiem i zza wyściółki wypadła mała fotografia. Była na niej matka w uniformie pielęgniarki, stojąca na schodach szpitala Royal Victoria u boku wysokiego mężczyzny w okrągłych okularach i małej czarnej czapeczce zsuniętej na tył głowy. Z tyłu widniał podpis: *Eliza i Leo, 1941*. Mężczyzna obejmował ją w talii, widać było zaokrąglony już nieco brzusek. Beatrice i Alice miały te same ciemne oczy i proste długie nosy, co mężczyzna na fotografii.

Alice wykrztusiła z trudem:

- Tego zdjęcia raczej nie będziemy pokazywać w ratuszu.

- Czekaj - wpadła jej w słowo Beatrice. - Jeśli dobrze rozumiem, nasz prawdziwy *ojciec* był wyznania mojżeszowego! Patrz na tę czapeczkę, którą ma na głowie. To się chyba nazywa jarmułka.

- Chcesz powiedzieć, że był Żydem? - Alice spłoszona zakryła ręką usta.

- Nie należy odrzucać takiej możliwości - stwierdziła oględnie Beatrice.

- Ale jak to możliwe? Mamusia była przyzwoitą kobietą.

Może padła ofiarą gwałtu? W gazetach piszą często takie straszne historie ...

- Alice, spójrz na to zdjęcie. Mama się uśmiecha. Nie widzisz podobieństwa między nami a tym panem? Ja już wolę być owocem miłości niż gwałtu, ty nie? Nieraz słyszało się o takich wojennych romansach. Przerażeni, smutni ludzie są podatniejsi na pokusy - szeptała Beatrice. - Skąd miała wiedzieć, czy jeszcze zobaczy męża?

- Ale to oznacza, że była grzesznicą, kobietą upadłą, skazaną na potępienie! - Alice była na skraju hysterii.

- Przestań!. ~ Beatrice uniosła chusteczkę do oczu. - Bardzo cię proszę, przestań. Nie mów takich rzeczy o naszej mamie. Zabraniam ci.

Zeszły do saloniku, by pokrzepić się gorącą słodką herbatą.

- Czuję się jakoś inaczej - wyznała Alice. - Coś się chyba zmieniło. Czy jesteśmy żydówkami?

- Nic podobnego. Zostałyśmy wychowane jako chrześcijanki i nimi jesteśmy. - Beatrice była tego pewna. - Choć podobno Żydzi są pracowitą rasą, wysoko ceniącą więzy rodzinne. I przykładają wielką wagę do edukacji.

- No tak! My też zostałyśmy nauczycielkami! - wykrzyknęła Alice. - Czy powinniśmy komuś to ujawnić?

- Nie, nie. Jestem temu przeciwna. Zdecydowanie nie. Zresztą po co? Nie wiemy o nim nic bliższego, nie znamy nawet jego nazwiska. I nie mamy pewności, czy to on był... - Beatrice urwała. Nie zamierzała sugerować, że Eliza Crawley miała wielu kochanków. Na szczęście do Alice nie dotarł sens tego zdania.

- Chyba w czasie wojny nie mieszkało tu zbyt wielu Żydów?

Może gdzieś jest wykaz nazwisk? Albo listy uchodźców z Niemiec? Może mamy gdzieś rodzinę?

- Nie. Rodzice nie chcieli, żebyśmy o tym wiedziały. Będziemy nadal postępować tak, jak gdyby nic się nie stało.

Dopiero znacznie później Beatrice znalazła w sypialni wielokrotnie złożony kawałek papieru, który zapewne też wypadł ze szkatułki. Rozwinęła go. Był to telegram.

- Co tam pisze? - ponaglała ją przestraszona Alice. Beatrice zawahała się. Bała się, że telegram potwierdzi to, co i tak już było oczywiste. Potwierdził.

*Gratulacje, najdroższa. Pragnęliśmy dziecka i mamy aż dwoje.*

*Wybierz imiona i dbaj o nasze córeczki. Tak bardzo chcę wrócić i już zawsze być z tobą. Kochający*

*mąż William.*

- Był prawdziwym bohaterem - szepnęła Beatrice. - Nigdy nawet przez chwilę nie dał nam odczuć, że nie jesteśmy jego dziećmi.
  - To prawda. Dziś już nie ma mężczyzn tego kalibru - przyznała ze łzami Alice. - Tak bardzo za nim tęsknię!
  - Obie za nim tęsknimy, siostrzyczko.
- Objęły się ramionami i płakały przez długą chwilę. Nagle Alice wzdrygnęła się nerwowo, bliska ataku serca.
- O mój Boże! - wykrzyknęła. - Czy wiesz, że możemy mieć w żyłach n i e m i e c k ą krew?

## **28. PREZENT DLA BRENDY**

Pani Brown naciskała na dzwonek, w jednej ręce dzierząc dużą torbę z szarego papieru.

- Niespodzianka! - wykrzyknęła, kiedy Brenda otworzyła drzwi mrużąc oczy w jaskrawym świetle dnia.

- Co się stało, mamusiu? Nie mam zbyt wiele czasu, siedzę nad obrazami dla galerii w Galwayu.

- Wiem, że jesteś zapracowana, kochanie. I dlatego przyniosłam ci śliczny prezent. Myślę, że może być sporo wart, choć kupiłam go za dwadzieścia funtów na targu.

- O! Jest w tej torbie?

- Oczywiście. Ale może najpierw pozwolisz mi wejść? Jest ciężki.

Brenda była podekscytowana. W jej życiu nareszcie zaświecił promyk słońca. Czas najwyższy!

Spędziła w biurze zatrudnienia kilka godzin, nim udało jej się odzyskać zasiłek po dyscyplinarnym zwolnieniu z supermarketu.

Pani Brown zamknęła za sobą drzwi i wspięła się w ślad za córką po wąskich schodach. Brenda przytupywała z podniecenia w ciasnym korytarzu, kiedy jednak ujrzała zapowiadany prezent, nie wiedziała, co myśleć. Była to złocona rama do obrazu, bogato zdobiona rzeźbionymi w rogach kwiatami i owocami.

- Ta-dam! - zawołała matka. - No, jak ci się podoba?

Czy ja wiem ... - zawahała się Brenda. - Zwykle nie oprawiam swoich obrazów, dlatego maluję też boki płócien. To mój znak firmowy. Poza tym nie sądzę, żeby którykolwiek pasował do tej ramy.

Moje są kwadratowe.

Zawiedziona, że niespodzianka nie wzbudziła oczekiwanego entuzjazmu, pani Brown wydeła usta i wsadziła ramię z powrotem do torby.

- Trudno. Myślałam, że się ucieszysz. Mogłabyś namalować coś specjalnie do niej i uczynić to gwoździem wystawy.

- Cieszę się, mamu. Nie wiem tylko ...

- Przecież wszystkie obrazy tego Vincenta Jak-Mu-Tam wiszą w złotych ramach. Doprawdy, Brendo! Mam ją zabrać? Myślę, że bez trudu ją odsprzedam.

- Nie, nie. Broń Boże. Daj mi ją. Jest śliczna. Napijemy się kawy, żeby to uczcić?

- Z miłą chęcią. Przyniosłam ci jeszcze to. - Pani Brown wydobyła z torby staroświecką paterę na słodczyce.

- Prawdziwe чудо! Dzięki, mamu! - Tym razem Brenda zadbała o to, by w jej głosie słychać było zachwyt.

- No to świetnie. Wiedziałam, że będziesz zadowolona.

- Usatysfakcjonowana ofiarodawczyni zasiadła przy małym stoliku, podczas gdy Brenda zajęła się parzeniem kawy.

- Obawiam się, że nie mam w domu nic słodkiego - bąknęła.

Pani Brown wyjęła z kieszeni kurtki paczkę kokosowych ciasteczek, a z drugiej pudełko małych rogalików.

- Nigdy nie masz - uśmiechnęła się. - Jesteś prawdziwą artystką. Poza sztuką w ogóle nie dostrzegasz świata.

- To chyba nie takie złe - odparła Brenda. - Świat przy bliższym poznaniu nieco rozczarowuje. Opowiadaj, co u ciebie słychać.

- Sporo. Sprzedałam siedem pełniutkich bagażników starych szpargałów twego ojca. Zarobiłam fortunę. - Pani Brown rozpakowała ciastka i ułożyła je na szklanej paterze.

- Tato się wścieknie.

- Płyty, niemodne ubrania, popielniczki, książki. .. Skoro ich nie zabrał do mieszkania tej dziwki, najwyraźniej nie są mu już potrzebne.

- No tak. - Brenda westchnęła. - Wciąż nie mogę dojść do siebie po tym szoku. Jak sobie radzisz?

- Nieźle. Dziewczyny z pracy wyciągnęły mnie na koncert.  
Daniel O'Donnell to prawdziwy balsam na złamane serce.  
- To dobrze.  
- A w weekendy chodzę do nowego klubu tanecznego. Mówiłam ci, że jedziemy na wycieczkę do Nashville?  
- No, no! Nie tracisz czasu!  
- Cóż, kobieta w moim wieku nie może sobie pozwolić na dziesięcioletnią rozpacz, kiedy się okaże, że mąż jej już nie kocha. Nie dam się zniszczyć.  
- On wróci, mamó. To więcej niż pewne. Najdalej za miesiąc będzie klęczał pod drzwiami, słowo ci daję. Dziwki rzadko potrafią zadbać o mężczyznę.  
- Pożyjemy, zobaczymy. Tymczasem mam zamiar korzystać z życia. A gdybyś ty, moja droga, miała trochę rozumu, robiłabyś to samo, zamiast całymi dniami tkwić skurczona w tej ciasnej klatce. Może dasz mi ze dwa obrazki? Jutro jadę na giełdę staroci do Lurganu. Tam zawsze kręci się sporo zamożnych ludzi.  
- Nie zniżę się do odpowiedzi.  
- Jak sobie życzysz. Muszę lecieć.  
- Posiedź jeszcze chwilę.  
- Nie mogę. O jedenastej przychodzą malarze. Postanowiłam trochę odświeżyć dom. Może byś tak w wolnej chwili namalowała dla mnie jakiś ładny widoczek?  
- Postaram się. Pa.  
- Pa, kotku. Masz tu parę groszy. - Wręczyła Brendzie czterdzieści funtów. - I nie wydawaj wszystkiego na farby. Słyszysz? Kup sobie za to parę porządných obiadów.  
- Dzięki, mamusiu. Jesteś najukochańsza.  
- Dobrze, że chociaż ty to doceniasz. Dobra, idę. Zamknij za mną drzwi na klucz. Ja bym się bała mieszkać w takim sąsiedztwie.  
Po odjeździe matki Brenda przyklękła na podłodze, żeby dokładniej obejrzeć ramę. Wyglądała na ręcznie rzeźbioną w drewnie. Czy to możliwe, że pokryto ją prawdziwym złotem? Ornament ginał w gęstym lepkiem kurzu, z tyłu wisiały strzepy płótna pozostałe po wyszarpniętym obrazie. Brenda doszła do wniosku, że matka miała rację: rama naprawdę mogła być sporo warta. W każdym razie nie był to gipsowy odlew. Wyczyści ją i będzie miała z niej pożytek.  
Z rosnącym podnieceniem znalazła całówkę i zmierzyła boki.  
Namaluje obraz tego formatu i powiesi go w kącie galerii - gdzieś, gdzie nie będzie się kłócił z pozostałymi. Ot, taki drobny kaprys, który być może wpadnie w oko krytykom i zostanie wspomniany w recenzjach z wystawy?  
Zrobiła sobie jeszcze jedną kawę i zjadła resztę ciastek zastanawiając się, co namalować. Rama trafiła do niej w najodpowiedniejszej chwili. To na pewno dobry znak.

## 29. SPOTKANIE Z KRÓLOWĄ

Alice codziennie skreślała w kalendarzu kolejny dzień, aż wreszcie nadszedł dwudziesty szósty września. Tego popołudnia siostry miały wziąć udział w uroczystościach w ratuszu. Ubrały się w zupełnej ciszy. Razem stanęły przed lustrem w holu, przypinając matczyne broszki. Z ulicy dobiegł krótki dźwięk klaksonu - sygnał, że przyjechała taksówka.  
- Chodź - powiedziała Beatrice. - Im prędzej będziemy to miały za sobą, tym lepiej. Tylko pamiętaj: zastanów się dwa razy, zanim otworzysz buzię. Jeśli sprawa się wyda, nie będziemy się mogły pokazać w klubie turystycznym.  
- Bez obaw. Nie wyciągną tego ze mnie nawet na torturach.  
Mam tylko nadzieję, że nie napotkamy zbyt wielu snobów. Czy zauważyłaś, że tego rodzaju okazje budzą w ludziach najgorsze instynkty?  
Usiadły w taksówce z takimi minami, jak gdyby wieziono je na ścięcie.  
- Dokąd szanowne panie jadą w pełnej gali? - spytał kierowca.  
- Do ratusza. - Beatrice nie miała ochoty na pogawędkę.  
- Jakies święto?  
- Nie, zwykły obiad. I bardzo proszę, niech pan lepiej patrzy na drogę.  
Goście przechadzali się po ogrodzie, wymieniając domysły, kto może być gwiazdą wieczoru. Alice z przewieszoną przez ramię torebką zastygła w królewskiej pozie obok pomnika ofiar wojny. Jakiś niedowidzący dziennikarz rzucił się ku niej w przekonaniu, że jest ową tajemniczą osobistością. Bardzo był zmieszany, kiedy się dowiedział, iż ma do czynienia ze zwykłą emerytką. Beatrice wzięła siostrę za ramię i ustawiła ją w kolejce do wejścia, trzymając na podorędziu mocno już

wymiętolone zaproszenie.

Gości wprowadzono do sali bankietowej, gdzie zajęli miejsca robiąc przy tym niewiarygodnie dużo zamieszania. U szczytu stołu wywiązała się nieomal bójka - żona burmistrza i pewna radna pokłóciły się o krzesło sąsiadujące z miejscem VIP-a. Padło przy tym kilka nieprzyjemnych oskarżeń o kumoterstwo.

Na stołach było tyle kwiatów, że ledwie starczyło miejsca na talerze. Beatrice miała nadzieję, że kwiaty zostały wpięrowo dokładnie obejrzone; królowa uzna ich za dzikusów, jeśli pajak wpadnie jej z goździka wprost do zupy. Alice rozglądała się po sali sprawdzając, czy nie ma w niej pozostawionych paczek, i modłać się, by zamach bombowy nie popsuł uroczystości.

Burmistrz pocił się obficie w urzędowej toczce. Ozdobny łańcuch z minuty na minutę robił się cięższy, a na dodatek uwierały go najlepsze spodnie. Będzie musiał przejść na dietę. Albo kupić nowe spodnie. Musi się dowiedzieć, czy fundusz reprezentacyjny obejmuje takie rzeczy jak garnitur. Zastukał w mikrofon i poprosił o ciszę. Goście byli już tak spięci, że kurczowo ściskali brzegi obrusa, pozostawiając na nim wilgotne plamy. Wszyscy wstrzymywali oddech. Alice szturchnęła Beatrice łokciem, żeby skłonić ją do podniesienia głowy. Ta z kolei syknęła, że jeśli Alice jeszcze raz ją szturchnie, sama wylądnie na dywanie pod stołem.

Burmistrz odkaslnął, przedłużając niezręczną sytuację. Był boleśnie świadom krążących od miesięcy plotek. Wszyscy spodziewali się ujrzeć królową. Dołożył wielu starań, by sprostać oczekiwaniom, ale w tym akurat terminie królowa była zajęta - oglądała wystawę psów w Leeds.

Obwieścił zatem z dumą, że obiad uświetni nie kto inny, a ...

Królowa piękności! Miss Irlandii Północnej, panna ... - zaciął się. Zapomniał jej nazwiska.

Wszystkie te dzierlatki wyglądały tak samo: wielkie białe zęby i długie chude nogi. Jak konie.

Burmistrz wolał nieduże, apetyczne kobietki w domowych fartuszkach.

- Panna ... Miss Irlandii Północnej! - ryknął do mikrofonu wywołując nieznośny pogłos.

Z bocznego pomieszczenia wyłoniła się dziewczyna w sukience z lat czterdziestych i furażerze RAF-u. W sali zapadła pełna zgromy cisza. Miss przeszła pomiędzy rzędami stołów wdzięcznie machając ręką i kręcąc biodrami jak na wybiegu.

Ktoś zachichotał. Beatrice uświadomiła sobie, że to Alice. Zaczęła więc pokasływać i klaskać, by zagłuszyć zduszone odgłosy załamania nerwowego swojej siostry. Reszta gości ocknęła się z szoku i też zaczęła klaskać. Napięcie, które rosło przez parę miesięcy, nagle puściło. Aplauz był ogłuszający. Fotografowie rzucili się naprzód, a królowa piękności obdarzyła ich najszerszym uśmiechem, jaki siostry Crawley kiedykolwiek widziały: w wieńcu wybielonych zębów widać było migdałki. Goście zostali na chwilę oślepieni błyskami fleszów.

- Powiedz, że to mi się śni - powiedziała Alice i z kolei Beatrice zgięła się w histerycznym ataku śmiechu.

- Zakryj uszy, Alice. Zaraz będę kłąć jak pijany doker.

- Rzeczywiście zaklęła aż sześć razy z rzędu.

Podano obiad, skądinąd wyśmienity, ale siostry z trudem przełykały każdy kęs. Żuchwy je bolały od silenia się na uśmiech. Alice gorączkowo szukała pretekstu, żeby mogły wrócić do domu, lecz nie przyszło jej do głowy nic sensownego. Czuła się jak ktoś, komu wyrwano serce i zastąpiono je pestką moreli. Jediną pociechą było dla niej spostrzeżenie, że żona burmistrza, Georgina, jest jeszcze bardziej przynębiona niż ona i że jej wielki czarny kapelusz ozdobiony sztucznymi kwiatami lili wygląda jak karawan po wypadku drogowym.

Miss Irlandii Północnej uprzejmie słuchała odczytywanych mów, ale impreza straciła całą wiarygodność.

- Możesz nazwać rodzinę królewską bandą głupków, jeśli chcesz - szepnęła zjadliwie Alice - ale kto może się z nimi równać klasą? To wszystko lipa.

Kiedy przemówienia wreszcie dobiegły końca, połowa gości zaczęła klaskać, podczas gdy druga połowa pilnie dłużyła w zębach wykałaczkami. Beatrice wyobraziła sobie ojca, który siedząc w okopach otrzymuje telegram z wieścią o narodzinach bliźniaczek. Uroniła łzę goryczy, goście zaś trafnie zgadując, że myśli o zmarłym krewnym, odwrócili wzrok, by oszczędzić jej zakłopotania. Gdy wreszcie ogłoszono otwarcie wystawy, Alice ukryła się w toalecie. Skulona w kabinie podsłuchiwała niechcący, jak jedna z zaproszonych kobiet chwali się, że skradła w sklepie buty za trzysta funtów, a inna opowiada o lesbijskim romansie ze swoją trenerką tenisa. Co dziwne, te skandaliczne wyznania podniosły Alice na duchu.

Poza tym jednak siostry umierały z nudów. Gdy odbywszy obowiązkową turę po wystawie zmierzały w stronę wyjścia, wyłowiono je z tłumu, ustawiono pod ścianą jak jeńców wojennych i sfotografowano wraz z wesołym prezenterem telewizyjnym Frankiem Mitchellem i królową

piękności, której nazwiska wciąż nikt nie znał.

Gdy nazajutrz Beatrice zobaczyła to zdjęcie w "Belfast Telegraph", orzekła, że wyglądają, jakby się octu napiły. Fotograf skupił się na ślicznej buźce miss, toteż Frank Mitchell i Crawleyówny ledwie zmieścili się w kadrze. Ich ślicznych kapeluszy w ogóle nie było widać. Beatrice wybuchała śmiechem, ilekroć zerknęła na gazetę, Alice jednak była oburzona.

- To za naszą kulturę i dumę narodową drogi ojciec narażał życie na froncie - warczała - podczas gdy biedna mama musiała się pocieszać w ramionach innego!

- Hm, cóż ... - bąknęła Beatrice - jeśli lepiej się nad tym zastanowić, to gdyby nie wojna, mogłoby nas wcale nie być na świecie ...

Co rzekłszy, siostry zawarły umowę, że nie będą się tym więcej martwić. Są bowiem rzeczy zbyt głębokie, aby ludzkie serce zdołało je pojąć w pełni.

Oczywiście cała dzielnica czytała codziennie "Belfast Telegraph". Sąsiadka, która przysłała im pogratulować, oznajmiła:

- Pokazaliśmy tym Szwabom, kto jest lepszy. Spuściliśmy im niezłe lanie!

Alice wyszła szybko z pokoju.

### 30. WSPOMNIENIA Z CONNEMARY

Podczas gdy Aurora i David oglądali w salonie taśmę ze zmontowanym filmem, Henry wymknął się z domu. Przez dwie godziny włóczył się po parku, a potem poszedł do herbaciarni. Zastał tam Rose; siedziała sama przy stoliku.

Wahał się przez chwilę, w końcu jednak podszedł.

- Przepraszam - rzekł. - Nie chciałbym przeszkadzać. Czy mógłbym postawić pani kawę w podziękowaniu za pomoc przy roślinach do oranżerii?

- Ach, to pan, panie Blackstaff.

- Proszę mówić mi Henry.

- Dziękuję, Henry. To bardzo miłe z pańskiej strony. .

Zamówił kawę i bajgle, po czym znów usiadł. Ucieszyło go to przypadkowe spotkanie; w towarzystwie Rose wszystkie jego troski nikły. Tak miło się z nią gawędziło. Nie miał zamiaru sprowadzać rozmowy na tematy osobiste, lecz przyłapał się na tym, że wypytuje ją o różne rzeczy.

- Ma pani specyficzny akcent. Nie pochodzi pani z Belfastu?

- Nie, urodziłam się w Connemara.

- Jak to się stało, że wylądowała pani tutaj? Słyszałem, że Connemara jest bardzo piękna.

- O, tak. To ostoja dzikiej przyrody. I w tym właśnie *sęk*: nie ma tam zbyt wielu miejsc pracy.

Przeprowadziłam się tu po ślubie. Mąż ma niewielką firmę w centrum. Sprzedaje różne elektroniczne gadżety. Ma bzika na punkcie wszystkiego co nowoczesne, zminiaturyzowane i chromowane. .

- A moja żona wręcz przeciwnie. Żyje w przeszłości. Zakurzone stare księgi, tego rodzaju klimat. Od dawna jest pani zameżna?

Cztery lata. Prawdę mówiąc, właśnie się rozwiodłam.

- O, mój Boże. Tak mi przykro. Nie powinienem był pytać ...

- Nic nie szkodzi. Nie rozpaczam, widzi pan. Przeczynałam, że tak się to skończy. Już od dawna nie mieliśmy o czym ze sobą rozmawiać.

- Ach, tak - bąknął Henry, a serce zatrzepotało mu jak zrywający się do lotu ptak.

- Chciał, żebym zamknęła kwiaciarnię i pracowała u niego. Sprzedawała alarmy antywłamaniowe. To była kropla, która przepełniła czarę. Zrozumiałam, że już nic nas nie łączy. - Rose uśmiechnęła się smutno. - Pewnie pana gorszę. Myśli pan, że zbyt lekko traktuję małżeństwo.

- Nic podobnego. Uważam, że jest pani bardzo dzielna. Skoro i tak nie dało się go uratować ... Nie mieliście dzieci?

- Nie. John uważał, że powinniśmy poczekać, aż firma się rozkręci. A pan?

- Też nie. Jakoś nie zdążyliśmy o tym pomyśleć. Było tyle innych spraw. A potem pewnego dnia okazało się, że jesteśmy już za starzy. - Henry czuł, że mówi za dużo, ale słowa same padały mu z ust, nie potrafił ich powstrzymać.

- Proszę tak nie mówić! Widzę, że nie jest pan topolą, tylko dębem, który długo zachowuje młodość.

Henry wybuchał śmiechem.

- I co teraz pani zrobi?

- Wróć do Connemary. Lubię Belfast, ale nigdy nie czułam się tu jak w domu. Moja przyjaciółka

ma letni domek tuż nad morzem. Jakiś czas tam pomieszkam w charakterze stróża, dopóki nie zastanowię się, co dalej. Mam siostrę w Australii, może do niej pojedę. Jeszcze nie zdecydowałam. Najpierw chcę korzystnie sprzedać sklep.

- Proszę mi opowiedzieć o Connemarze.

- No cóż, wszystko jest szare i bez przerwy pada. Mało drzew. Kamienne murki. Często brakuje mi tamtej ciszy i mgły, która unosi się znad morza. Chyba trzeba się tam urodzić, by to pojąć.

Większość moich znajomych nie zamieszkałaby tam za żadne skarby świata ... ale ja tęsknię.

- To dlaczego nie chce pani tam zamieszkać?

- Ależ chcę. Muszę tylko mieć dach nad głową, pieniądze na życie i najchętniej miłego towarzysza, z którym mogłabym to życie dzielić. Jeśli na przykład poznam niezależnego finansowo dżentelmena o miłym charakterze, który lubi życie w ciszy i spokoju, osiągnę swój cel. Pewnie nie zna pan nikogo, kto spełniałby te kryteria?

Henry spłonął rumieńcem. Ona tylko żartuje, mitygował się w duchu. Ale jeśli ...

- I co pani będzie robić, jeśli znajdzie pani takiego mężczyznę?

- Będę sadziła drzewa. Do końca swoich dni. Czy pan wie, że kiedyś cała ta wyspa pokryta była lasem? Zasadzę setki drzew. I miliony kwiatów. Dzikich kwiatów.

Program telewizyjny odniósł wielki sukces. W ślad za nim ukazał się rój artykułów w prasie. Aurora nie posiadała się ze szczęścia. David Cropper został jej najlepszym przyjacielem. Teraz we dwójkę planowali serię audycji radiowych dla szkół.

Henry błąkał się po domu jak dyżurne widmo. Oranżeria Aurory jakoś go odstręczała, zupełnie jakby sama nie chciała go wpuścić. Zaczynał myśleć, że ma własną duszę i stanowczo odmówił jądania w niej śniadań. Aurora go wyśmiała. Sama spędzała w oranżerii każdą wolną chwilę czytając mistyczne książki pod lnianym parasolem.

Po tak udanym lunchu Henry jeszcze kilkakrotnie zaprosił Rose do Muldoona. Rozmawiali na wszelkie możliwe tematy. Dowiedział się o niej mnóstwa rzeczy: na przykład, że mając czternaście lat wyskoczyła oknem z pierwszego piętra prowadzonej przez zakonnice szkoły, żeby nie przyłapano jej z papierosem. Złamała nogę i już nigdy więcej nie zapaliła papierosa. Henry opowiedział jej o antykwariacie, o araukarii i starej szklarni; nie wspominał tylko o swych próbach literackich. Skończył już z fikcją. Teraz pragnął zasmakować prawdziwego życia.

### 31. BRENDA JEDZIE DO GALWAYU

Opowieści Rose o Connemarze wysłuchała też niechęć Brenda Brown. Było jej trochę wstyd śledzić cudzą rozmowę, ale słowa Rose malowały przed nią tak kuszące obrazy, że nie mogła się powstrzymać. Pisała właśnie kolejny list do Nicolasa Cage'a, z trudem usiłując się skupić.

Podniecony umysł Brendy włączał się i wyłączał jak wadliwa żarówka.

10 października 1999 r.

*Drogi Nicolasie!*

*Jak się miewasz?*

*Proszę, napisz mi, czy otrzymałeś obraz. Byłabym szczęśliwa wiedząc, że jest w Twoich rękach.*

*Wystarczy pocztówka, parę słów.*

*Pamiętasz, pisałam ci o galerii w Galwayu. Byli dla mnie bardzo mili. Rozumieją moją sztukę.*

*Myślę, że mieszkańcy południowej części tej wyspy pod względem kulturalnym stoją znacznie wyżej od sąsiadów z Północy. W Belfaście sprzedaje się wyłącznie tandetne landszafty.*

*Nie mam zamiaru malować akwarelą widoczków Portstewart Strand. Coś takiego w duchowej strawie jest odpowiednikiem chip*

*sów. Właścicielka herbaciarni, w której właśnie siedzę, pani Penny Stanley, ma w mieszkaniu takie" dzieło". Pokazywała mi je w zeszłym roku. Trudno uwierzyć, że jej mąż wybulił kupę forsy za ten kicz.*

*Jeśli sprawy w Galwayu ułożą się dla mnie pomyślnie, być może już tu nie wrócę.*

*Jeśli otrzymasz ten list, pomyśl o mnie 15 grudnia. To dzień otwarcia mojej wystawy.*

*Dowiedziałam się niedawno, że mój ojciec żeni się z inną kobietą. Teraz przypominam sobie kłótnię rodziców, jakiej byłam świadkiem pewien czas temu. Mama wykrzykiwała coś o " wydrze Z*

*Dublina". Myślałam wtedy, że mówią o faunie. Biedna mama. Sąsiedzi wyprowadzają teraz psy pod naszym domem w nadziei, że przez okno dojrzą, jak płacze. Ale mama jest dzielna.*

*Wróciła do panińskiego nazwiska.*

*Wspominałam właścicielom galerii Pod Błękitnym Osłem (tej w Galwayu), że noszę się z myślą o*

zmianie nazwiska, ale stwierdzili, że nie ma się czym trapić. Brenda Brown jest ładne (tak powiedzieli), a nazwisko nie ma wielkiego znaczenia.

Proszę o kilka zachęcających obrazków do powieszenia w oknie wystawowym.

Dbaj o siebie.

Ucałowania,

Brenda.

PS. Proszę, przyslij mi zdjęcie z autografem. Jestem Twoją gorącą wielbicieleką.

### 32. SIOSTRY CRAWLEY WIDZĄ ŚWIATŁO W TUNELU

Minęło kilka dni. Co wieczór przy pacierzu Alice roniła kilka łez, a Beatrice coraz to spoglądała na portret świętej pamięci ojca, szukając w jego błękitnych oczach oznak zawodu - widziała w nich jednak tylko miłość. Rozwazały po tysiącokroć wszystkie możliwości, płakały, modliły się, desperowały i złościły. W końcu nie miały wyboru, musiały uznać, że ich biologicznym ojcem był prawie na pewno żyd o imieniu Leo, najprawdopodobniej uciekinier z hitlerowskiej Rzeszy. Matka miała romans, który mąż jej wybaczył. A skoro on mógł przebaczyć i zapomnieć, one także. Alice rozchmurzyła się nieco, kiedy siostra zwróciła jej uwagę na to, że brytyjska rodzina królewska też ma w żyłach niemiecką krew.

- Małżonek królowej Wiktorii, Albert, był Niemcem, nieprawdaż? Mieli mnóstwo dzieci. Ci Niemcy muszą być niewiarygodnie płodni! - stwierdziła Beatrice. - Właściwie stałyśmy się obywatelkami świata, co w sumie brzmi o wiele lepiej niż "prowincjuszki". Podobno zastryk obcych genów wzmacnia rasę.

I tak po wielu smutnych dniach poczuły coś zbliżonego do zadowolenia.

Nie zwierzyły się nikomu ze swego odkrycia, nawet pastorowi. Nadal co niedzielę chodziły na poranne nabożeństwo, lecz gdy pastor gromił zepsucie współczesnego świata, siedziały cicho. Nie klaskały w dłonie i nie potakiwały.

- Niech ten, co jest bez grzechu, pierwszy rzuci kamień szepnęła cichutko Alice.

Przestały pisać zażalenia na właściciela kiosku. Szkoda było marnować pieniądze na znaczki, skoro i tak na złość im wystawiał coraz więcej gorszących czasopism. Nawet działalność dobroczynna straciła dla nich nieco ze swego powabu. Już od dawna nikogo w parafii nie dziwiły ich rekordowe kwesty. Wielu uważało to wręcz za ich powinność. Przecież Crawleyówny i tak nie mają nic innego do roboty, mawiano. Nie muszą odbierać wnuków ze szkoły, gotować obiadów dla całej rodziny ani sprzątać po mężach. Głęboko urażone siostry musiały mimo wszystko przyznać, że jest w tym sporo racji.

- A, srał to pies! - westchnęła Beatrice pewnego deszczowego niedzielnego popołudnia. (Beatrice nauczyła się kląć i czyniła to z upodobaniem.) Siedziały właśnie przy stole po obiedzie złożonym z wyśmienitej pieczeni wołowej i jorkszyrskiego puddingu. - Nie chce mi się zmywać. Mam ochotę zrobić coś innego. Coś ekscytującego.

- Ciekawe, co można zrobić ekscytującego w mokrą niedzielę w Belfaście? - zdziwiła się Alice.

- Bierz płaszcz - zarządziła Beatrice. - Jedziemy do centrum zapisać się na wycieczkę do Izraela. Na diabła oszczędzamy te emetytury? Obie stoimy nad grobem, nie mamy dzieci ani innych spadkobierców. Wyruszymy w podróż naszego życia!

- Ale dlaczego akurat do Izraela? I co będziemy tam robić?

- Podziwiać widoki, jeść egzotyczne potrawy i poznawać ludzi. A poza tym odmówimy parę modlitw.

Postanowiły lecieć w Boże Narodzenie. Alice rozsmakowała się w bajglach z serem; Beatrice uznała, że woli strudel z jabłkami. Zaczęły pozdrawiać obcych na ulicy. Ostatecznie, mawiała Beatrice, wszyscy ludzie są ze sobą jakoś spokrewnieni.

### 33. SADIE POZBYWA SIĘ KWAŚNIAKÓW

Zemsta Sadie oblekała się w ciało powoli, ale plan był genialny. Najpierw zamierzała ośmieszyć Arnolda w oczach kochanki. Potem zrobić porządek z jego rodzicami oraz ich pieniędzmi.

Następnie okryć Arnolda wstydem w środowisku zawodowym i jeszcze przed Bożym Narodzeniem ostatecznie pozbyć się go z domu w Carryduff. Spędziła u Muldoona wiele godzin dopracowując w myśli kolejne kroki.

Chodziła tam prawie codziennie, byłą już po imieniu z Danielem i Penny. Przyglądała się im bacznie od stolika w kącie, przy którym zawsze siadała. Zauważyła, że Daniel nie jest już tak oddany pracy jak dawniej. Jeśli akurat nie było takiej kanapki, na jaką Sadie miała ochotę, po



prostu mówił, że nie ma, zamiast ją przyrzadzić. Często mieszał zamówienia albo mylił się przy wydawaniu reszty. Był szary na twarzy i często ziewał. Włosy miał już tak długie, że mógł zakładać grzywkę za ucho. Jest przemęczony, myślała Sadie. Przeważnie tylko on obsługiwał klientów. Penny przeciwnie, rozkwitła. Odkąd tak drastycznie obcięła włosy, była pełna życia i energii. Rozstała się z tanimi błyskotkami, kolczykami i cygańskimi sukienkami; nosiła teraz proste lniane garnitury i nieskazitelny makijaż i towarzyszył jej delikatny zapach drogich perfum. Wychodziła i przychodziła kiedy chciała, a raz Sadie widziała, jak zajeżdża taksówką z kilkoma torbami z renomowanych sklepów.

Kiedy indziej znów była świadkiem kłótni państwa Stanleyów.

Rozmawiali w kuchni, trudno było zrozumieć każde słowo, ale poszło chyba o srebrny naszyjnik. Drogi naszyjnik, w którym Penny paradowała od kilku dni. Skąd go ma? I gdzie była przez cały weekend?

Sadie była wstrząśnięta słysząc drwiący głos Penny: Nie wie?

Jeszcze się nie domyślił? Przecież i tak go to nie obchodzi. Czyżby nagle kuchnia przestała mu wystarczać? Sadie zapomniała o serniku z wiśniami, tak gorliwie się przysłuchiwała.

Potem zobaczyła Penny na Lisburn Road - wsiadała do samochodu z przystojnym mężczyzną w eleganckim garniturze. Nagle wszystko stało się jasne. Penny ma romans, a Daniel tak się martwi, że nie może pracować. Biedaczysko! Sadie zaczęła się zastanawiać, czy nie jest ostatnią sprawiedliwą w tym mieście, gdzie każdy flirtuje na prawo i lewo, przyprawiając rogi prawowitym małżonkom. Doprawdy Daniel powinien przywołać żonę do porządku

Co do niej samej - była zdecydowana ukarać męża za to, jak ją potraktował. Dała mu dość czasu na poprawę. Nikt nie mógłby jej zarzucić braku cierpliwości. Podczas tego długiego koszmarnego lata cząstka serca Sadie wciąż chciała wybaczyć. Potworności, jakie o niej wygadywał, były wszak tylko czczymi przechwałkami starzejącego się mężczyzny usiłującego zrobić wrażenie na znacznie młodszej kochance. (Złośliwej interesownej czarownicy!) Biedny Arnold! Patricia kokietuje go majtkami z czerwonej koronki, żeby położyć szpony na ich luksusowym domu, wartym co najmniej sto pięćdziesiąt tysięcy funtów. Przecież nigdy w życiu nie zarobi takiej sumy sprzedając wazoniki w tym nędznym sklepiku. O nie, pomyślała Sadie. Po moim trupie. Prędzej popełnię masowy mord, nim pozwolę tej wiedźmie postawić nogę w moim domu.

Nie, nie tak, zbesztala się w duchu, nakazując sobie spokój.

Jeśli stracę kontrolę nad sobą, stracę wszystko. Trafię za kratki, a w kobiecym oddziale więzienia w Maghaberry na pewno nie podają sernika z wiśniami. Jeszcze raz przebiegła w myślach plan. Czas wprowadzić go w życie. Zasięgnęła też porady prawnej. Adwokat powiedział jej, żeby się nie martwiła. Arnold blefował; nie ma prawa wyrzucić jej na ulicę. Nabyty w ciągu dwudziestu lat małżeństwa dom stanowił ich wspólną własność.

Czasem budziła się przed świtem ze snu, w którym Arnold ze łzami wyznawał jej wszystko. Klęczał przed nią na dywanie i błagał o wybaczenie mówiąc, że był głupcem, ślepym, okrutnym głupcem.

Lecz na jawie Arnold był daleki od skruchy. Oświadczył, że nie będzie jeść mrożonek i przerzucił się na muesli. Codziennie przed wyjściem do pracy podziwiał w lustrze w holu swój odchudzony brzuch. Cały wolny czas spędzał w gabinecie, wydzwaniając do Patricii. Wobec tego Sadie westchnęła z rezygnacją i zerknąwszy na ścienny kalendarz firmy Nicholl Fuels (ozdobiony efektownym zdjęciem tankowca) uznała, że czas litości minął.

W dniu, w którym Arnold miał lecieć do Paryża, odcięła mu dwa guziki z najlepszego ubrania i spuściła je w toalecie. Następnie przypaliła żelazkiem jego nową koszulę, paszport zaś wrzuciła pod łóżko. Na dno podróżnej torby wsunęła dwa pornograficzne pisemka bardzo niskich lotów, które zakupiła specjalnie w tym celu, i dokładnie zamaskowała je ręcznikiem.

- O mój Boże! - jęknęła, wchodząc do kuchni, w której Arnold pił poranną herbatę. - Kochanie, brakuje ci dwóch guzików w marynarce. Dopiero teraz to zauważyłam!

\_ Do diabła, Sadie! Jak to się mogło stać? Szukałaś w szafie? - Tak, nigdzie ich nie ma. Jasna cholera! A tak dobrze wyglądałem w tym garniturze!

- Niestety, to nie wszystko ...

Co jeszcze? Kobieto, nie mam czasu! Zostawiłam żelazko na twojej koszuli ...

Chyba jej nie spaliłaś?

No właśnie tak, kochanie. Szukałam tych nieszczęsnych guzików.

\_ Co za niezdar! Mam lecieć do Paryża w przypalonej koszuli?

- Tak mi przykro! To twój wyjazd do tego stopnia mnie rozstroił, że wszystko leci mi z rąk. Będę za tobą tęsknić ...

Arnold musiał włożyć inny, gorszy garnitur i starą koszulę, co niezmiernie go zirytowało. Dopiero wtedy spostrzegł, że paszportu nie ma na szafce przy łóżku, a zanim go znalazł, uświadomił sobie, że spóźni się na samolot. W pośpiechu zaciął się przy goleniu i boleśnie uderzył w duży palec u nogi, kiedy biegł przez hol do samochodu. Trzasnął drzwiami i z nadmierną prędkością pojechał na lotniskó.

Patricia była bardzo podenerwowana. Czekala na niego w barze, roniąc gorzkie łyzy. Kiedy wszedł do holu, rzuciła się na niego i zaczęła go okładać torebką. Musieli czekać trzy godziny na następny lot, mieli zatem mnóstwo czasu na kłótnię. Nim wreszcie dotarli do hotelu w Paryżu, kuchnia była już zamknięta, bar także. Gdy zaś Arnold rozpakował torbę i wypadły z niej pornograficzne pisma, Patricia wpadła w furję.

- Ach, tak! To tym dla ciebie jestem? Tanią dziwką? Jak śmiałeś brać te świństwa w naszą wymarzoną podróż?

Arnold po raz pierwszy słyszał, jak Patricia krzyczy. Jej głos niepokojąco przypominał ujadanie rozjuszzonego psa.

- To nie ja. Nie wiem, skąd się tam wzięły. Przysięgam.

- Pewnie Zmiotka ci je tam włożyła, co?

- Oczywiście, że nie. Sam się pakowałem. Ciekawe, jak bym uzasadnił, że biorę ze sobą trzy paczki prezerwatyw. Zwykle nie są potrzebne na branżowej konferencji, chyba że sytuacja firmy jest tak zła, że trzeba ją ratować przy użyciu desperackich metod. Ha, ha, ha!

- Och, zamilcz! Czemu się po prostu nie przyznasz?

- Bo ich nie brałem! Mówię prawdę, Patricio!

- Nie wierzę ci. Jak zresztą mogłabym wierzyć notorycznemu kłamcy?

- Słucham?

- Dobrze usłyszałeś. Jesteś ohydny łągarzem. Okłamujesz swoją żonę od miesiąca. Co ja mówię, dłużej, ponad rok! Powiedziałaś, że jest głupia i naiwna, bo wierzy we wszystko, co jej mówisz. Ja też jestem głupia i naiwna, tak?

\_ Słuchaj! To jak, bzykamy się czy nie? - Arnold poczuł się nagle znużony. Usiadł ciężko na zmiętych pisemkach dla panów. Jeśli erotyczne igraszki zostały skreślone z menu, to pójdzie sobie zrobić gorącą kąpiel i odpocznie w niej, krzepiąc się dużą whisky.

\_ Co takiego? Wiesz co, Arnoldzie, tym razem przekroczyłeś już wszelkie granice. Weź te świństwa do łazienki i tam się zabawiaj. Jeszcze nigdy nikt mnie tak nie obraził! - Patricia straciła ochotę na seks. Arnold zaczynał jej działać na nerwy. Robił się ciut za bardzo arogancki.

Arnold powlókł się do łazienki, gdzie nadąsany usiadł na sedesie czekając, aż woda wypełni wannę.

O północy wypili wodnistą francuską herbatę i wyczerpani położyli się do łóżka. Patricia obróciła się plecami, a gdy wsunął jej rękę pod nocną koszulkę w desperackiej próbie skonsumowania wycieczki, uszczypnęła go tak mocno, że na dłoni pozostał ciemny krwiak.

Tego samego wieczoru w Belfaście Sadie nalala teściom po mocnym dżinie z tonikiem i usadowiła ich wygodnie przy kominku. Postawiła na stoliku orzeszki i chrupki. Zaciągnęła ciężkie zasłony w oknach i wepchnęła stertę prasowania głębiej w kąt.

\_ Kiedy kota nie ma, myszy harcują! - zachichotała, dorzucając szczypczykami lód do szklanek.

\_ Przynajmniej jest miło - prychnęła Daisy, sięgając po orzeszka.

\_ O co chodzi? - zainteresował się Maunce. - Co świętujemy?

\_ Och, nic - odparła Sadie. - Doszłam do wniosku, że należy nam się jakiś drobny luksus. - Sięgnęła po pilota i przerzuciwszy kilka kanałów znalazła program podróżniczy, który wcześniej wyszukała w gazecie. Chciała stworzyć odpowiednią atmosferę.

Daisy spojrzała na błękitne niebo na ekranie i westchnęła.

\_ Co za krajobraz! - rozmarzyła się Sadie. - Chciałabym być Greczynką. Albo Hiszpanką. Albo Włoszką; wszystko jedno, byle mieszkać w ciepłych krajach. Czy to normalne, żebyśmy musieli płacić setki funtów za to, żeby zobaczyć słońce?

- Świetnie cię rozumiem - przyznała Daisy.

- Niektórzy chętnie by zapłacili, gdyby mogli jechać - burknął Maurice.

- Ciekawe, że to mówisz - podchwyciła Sadie. - Parę dni temu oglądałam znakomity program o parze emerytów z Birmingham. Mąż cierpiał na artretyzm jak ty, Maurice, a żona też nie była w pełni sprawna. Pojechali na jakąś grecką wyspę. Boże, jak tam było pięknie!

- Byli w naszym wieku? - spytała z powątpiewaniem Daisy.

- Starsi. Ośrodek został zaprojektowany specjalnie dla seniorów. Jak widać, w tym wieku też można

się dobrze bawić. - Sadie schrupała kilka orzeszków i dołała wszystkim dzinu.

- Założę się, że nie było tam tanio - wtrącił Maurice.

- Oczywiście, że nie. Wszystko parterowe, żadnych schodów i tak dalej. W nocy cichutko; w tej części wyspy nie ma żadnej dyskoteki. Angielska kuchnia, ale na życzenie także miejscowe przekąski. Owszem, drogo. Ale jaki pożytek z posiadania pieniędzy, jeśli człowiek nie ma z nich żadnej przyjemności? Nie zabierze ich przecież ze sobą do grobu, przynajmniej takie jest moje zdanie. Mówiąc szczerze, pomyślałam wtedy o was. O tym, że na pewno chcielibyście zwiedzić świat, zanim będzie za późno. Możecie jechać! Co was zatrzymuje?

Maurice i Daisy patrzyli na nią osłupiali. Synowa zwykle nie okazywała im aż tyle serca. Co jeszcze dziwniejsze, tego sam~go ranka rozważali wyjazd na parę dni nad morze, do Portstewart. Życie w tym domu było nieco męczące, odkąd Sadie machnęła ręką na domowe obowiązki i została pełnoetatowym obibokiem.

- Zastanówcie się - powiedziała. - Naprawdę nie musicie skąpić sobie pieniędzy z myślą o pozostawieniu ich Arnoldowi, mnie i chłopcom. Damy sobie radę. Arnold bardzo dobrze zarabia, choć nie lubi się tym chwalić. A chłopcy są już ustawieni w Australii; ich firma ogrodnicza przynosi niezłe zyski. Australijczykom nie chce się kiwnąć palcem; całymi dniami leżą na plaży albo pływają na deskach.

\_ Nie jestem pewna ... - bąknęła Daisy

\_ Moim zdaniem należą się wam wakacje. W tym przeklętym kraju wiecznie pada deszcz.

Gdybym ja miała własne fundusze, już by mnie tu nie było.

\_ Nie wiem, co powiedzieć - zakłopotał się Maunce.

\_ Wiesz co? - przerwała mu Sadie. - Nigdy nie mówiłam tobie i Daisy, jak bardzo was lubię i podziwiam. Jestem raczej skryta, nie lubię zanudzać ludzi tym, co czuję, ale chcę, żebyście o tym wiedzieli.

\_ O. Eee .... dzięki, Sadie - zająknęła się Daisy. - Zawsze myślałam, że ci tu przeszkadzamy.

\_ Co? Nic podobnego. Dlaczego mielibyście mi przeszkadzać? Chciałabym tylko, żebyście mieli więcej z życia.

\_ To znaczy? - spytał Maurice.

\_ Och, zdaje sobie sprawę, że nie jestem dla was zbyt zajmującym towarzystwem.

\_ W naszym wieku człowiek nie pożąda już rozrywek - stwierdziła Daisy.

\_ Z tym właśnie się nie mogę zgodzić. Powinniście cieszyć się odpoczynkiem, zapracowaliście na to. Ja nawet gotuję kiepsko; nie to co ty, Daisy. Nie można porównać mrożonego dorsza z tym, co ludzie jedzą w greckich tawernach. - Wszyscy troje zapatrzyli się na ekran. Młody przystojny kelner podawał na nim kolorową sałatkę roześmianym turystom. - I pomyśleć, że oboje byliście tacy aktywni i niezależni. Doprawdy, szkoda.

\_ Co chcesz przez to powiedzieć, Sadie?

\_ Tylko to, że jeżeli chcecie jechać na wycieczkę, zadbam o Arnolda. Przyrzekam, że będzie miał wszystko, na co zasługuje. \_ To mówiąc, Sadie dyskretnie otarła oczy wierzchem dłoni, żeby podkreślić szczerą swoją słów. Potem zaś podkręciła głośność i reszty dokonał za nią telewizor.

\*

Wróciwszy z Paryża, Arnold zastał rodziców w doskonałych humorach. W holu stały cztery nowe walizki, a na stoliku leżał stos ulotek biur podróży.

- Co się stało? - spytał. - Mamy gości?

- O, dobrze, że jesteś - zawołała Sadie z kuchni, gdzie składała serwetki. - Jak było w Paryżu? Mam nadzieję, że nie zanudziłaś się na śmierć. Czym was karmili?

- Oczywiście, że się nie nudziłem. Ale co tu się dzieje?

- Te ich podróbki, ślimaki i końskie głowy ... Faj! - skrzywiła się Sadie. - Czy to prawda, że robią kiełbasy z krowich jelit?

- Pytałem, co tu się dzieje? - Arnold lekko się zniecierpliwiał.

- Chodzi ci o walizki?

- Tak, chodzi mi o walizki.

- Maurice i Daisy jadą na wycieczkę. Nie jesteś jedynym globtroterem w rodzinie. W przyszłym tygodniu lecą do Grecji.

- Co takiego? Kto wpadł na ten pomysł? Kategorycznie zabraniam! Na litość boską, oboje są po siedemdziesiątce!

- Według współczesnych standardów to jeszcze nie starość, kochanie. Żebyś wiedział, jak się cieszą!

- Nie mogą jechać sami! To śmieszne. Nie ma mnie trzy dni, a już cały dom stoi na głowie. Doprawdy, Sadie, zawiodłem się na tobie.

- Wysłuchaj do końca. Nie *będą* zdani tylko na siebie. Organizator przyśle po nich samochód i zadba o stosowną opiekę. Przez cały czas *będzie* im towarzyszyć pielęgniarka i kilku pomocników. Wszystkie posiłki *będą* mieli podane pod nos. Nie muszą robić nic prócz miłego spędzania czasu. Nie martw się, skarbie. - Sadie uśmiechnęła się do męża tak, jakby pocieszała dziecko, które stłukło sobie kolano.

- Pielęgniarka? Ciekaw jestem, ile to *będzie* kosztować!

- zołądkował się Arnold.

- A co *cię* to obchodzi? Mają własne oszczędności. - Na razie, zaśmiała się w duchu Sadie. - A tak przy okazji, mogłabym w tym miesiącu dostać trochę pieniędzy na siłownię? *Będę* miała teraz więcej czasu, *muszę* się pozbyć brzuszka.

Przez kilka dni Arnold chodził pośpenny jak chmura gradowa. Maurice i Daisy polecili do Grecji i tak im *się* tam spodobało, że postanowili przedłużyć pobyt o miesiąc. Przysłali pocztówkę. Poznali mnóstwo miłych ludzi i już świetnie *się* orientują w topografii wyspy. Domek jest bardzo wygodny. Maurice'owi przestały dokuczać kolana, a Daisy zasmakowała w miejscowej kuchni. "Czujemy *się* tak, jakbyśmy mieli żyć wiecznie" - pisali. Arnold z trudem tłumił wściekłość.

Niedługo potem Sadie sprząając w komórce wystawiła na trawnik jego kije golfowe, które natychmiast, w biały dzień, buchnął przechodzący złodziejaszek.

\_ Tyle co *się* odwróciłam i już ich nie było! - oznajmiła Arnoldowi, kiedy wrócił z pracy. - Tak mi przykro! Nie do wiary, że jestem taką naiwną idiotką!

Wieczorem Arnold miał jednak wrażenie, że słyszy w łazience jej chichot. Powiedział Patricii, że Sadie Zmiotka codziennie chodzi do siłowni.

\_ Ale dotąd - stwierdził - nie schudła ani grama. Mam wrażenie, że *wręcz* przytyła.

#### 34. DOM PRZY MAGNOLIOWEJ

Romans kwitł. Richard nie miał pojęcia, że jest pierwszym i jedynym kochankiem Penny prócz jej męża, chociaż zauważył, że nie jest wyuzdana, a wręcz trochę tajemnicza. Zawsze pozostawiała mu inicjatywę. Rozbierała się i ubierała w łazience, nie jak jego poprzednie kochanki, paradujące przy nim w białym. Miała w sobie mnóstwo godności i szanowała jego godność. Richard cenił to u kobiet. Czerpała z seksu wiele rozkoszy. Zwykle zasypiali trzymając się za ręce.

Gdyby Richard był inny, albo sytuacja była inna, pewnie poprosiłby Penny o rękę. Bardzo ją polubił, być może nawet się w niej zakochał. Mówił jej, że jest cudowna i urocza, starannie wystrzegając się jednak słowa "miłość". To oznaczałoby deklarację, a Richard nie chciał się wiązać. Jeśli kiedykolwiek stanie przed ołtarzem, będzie miał u boku spowitą w biały welon milionerkę. Nie chciał przez całe życie sprzedawać nieruchomości.

Zanim to wszakże miało nastąpić, Penny była dlań ideałem.

Śmiała się z jego dowcipów i nie zadawała mu osobistych py\_ tań. Nie chciała poznać jego rodziców, nie pytała za każdym razem: "Kiedy się znów spotkamy?" Sama dbała o antykoncepcję nie obarczając go odpowiedzialnością za te sprawy. W łóżku była delikatna, cierpliwa i odprężona, pieściła jego muskularne plecy i całowała go lekko. Zachowywała się cicho. Żadnych krzyków, głośnych jęków i paznokci wbitych w plecy jak z tą dziewczyną z North Down, z którą spotykał się dwa lata temu. Wyzwolone kobiety potrafią być bardzo męczące, szczególnie gdy wpadnie im do głowy "urozmaicić" współżycie. Richard nie miał czasu ani ochoty na kina porno, kluby go-go, seks grupowy ani erotyczne rekwizyty. Był staroświeckim kochankiem.

Penny te spotkania w wytwornym kawalerskim gniazdku również sprawiały wielką radość. Richard był zawsze pełen galanterii i nieznużenie namiętny - doskonale spełniał swoją rolę. Chodzili do teatru, jeździli samochodem nad morze, jadali kolacje w wiejskich karczmach. Czasem płacił Richard, a czasami Penny pokrywała rachunek. Efekt wart był wysiłków, jakie włożyła w makijaż i strój, ale nie miał wiele wspólnego z naładowanym erotycznym napięciem scenach, jakie widywała w filmach.

Brenda nieraz mówiła, że oddałaby wszystko za jeden pocałunek Nicolasa Cage'a; potem mogłaby umrzeć szczęśliwa. Penny nie czuła tego do Richarda. Może taka miłość, jakiej pragnęła, istnieje wyłącznie na srebrnym ekranie.

Czasami zostawała na noc, a czasem o północy wracała taksówką do domu. Okłamywała Daniela - tylko w ten sposób mogła mu zaoszczędzić bólu. Coś podejrzewał rzecz jasna, ale nie miał pewności.

Taksówkarze już ją znali i domyślali się prawdy. Była jednak miłą, uczciwą klientką i zawsze

dawała im dobre napiwki, toteż nie pozwalali sobie na jakiegokolwiek aluzje do jej regularnych kursów nad rzekę.

- Czy twój mąż nigdy nie zastanawia się, gdzie jesteś? - spytał Richard po ośmiu tygodniach spotkań. - Jeśli tak, to nie daje mi tego odczuć.

- Poważnie? O nic nie pyta?

- Nie. Ostatnio rzadko ze sobą rozmawiamy. Prawdę mówiąc, jesteśmy już wyłącznie partnerami w interesach. Jeśli potrzebuję pieniędzy, biorę je z naszego wspólnego rachunku i po prostu mówię mu, że wychodzę.

- Pozwala ci dysponować pieniędzmi?

- Nie jest zachwycony. Ale nie próbuje mi tego zabraniać.

- Chcesz się z nim rozejść? - spytał nerwowo Richard.

- Może tak, może nie. Prawdopodobnie nie. Ale nie martw się, skarbie, nie stanę znieścacka u twych drzwi z dobytkiem w foliowym worku.

- Nie to miałem na myśli.

- Owszem, to. I wcale cię nie winię. Prowadzisz komfortowe życie i ostatnie, czego ci trzeba, to rozhisteryzowana rozwódka zwalająca ci na głowę wszystkie swoje problemy. - Czułe pogładziła go po dłoni. Siedzieli przy małym stoliku w salonie, jedząc łososia w cieście z supermarketu.

- Po prostu nie jestem jeszcze gotów na stały związek.

- Jestem tu, bo lubię nasze spotkania, rozmowy, wypadki do miłych knajpek. Nie staram się tu zamieszkać ani wmanewrować cię w sytuację, w której głupio ci będzie ze mną zerwać. - Penny naląła wina do kieliszków. - Kiedy nasza znajomość dojrzeje do końca, to się skończy, i tyle.

- Jesteś niezwykłą kobietą, Penny - rzekł Richard, który nigdy w życiu nie spotkał osoby tak opanowanej.

- Niewątpliwie - uśmiechnęła się.

- Co robi twój mąż, kiedy wieczorami nie ma cię w domu?

- Pracuje. Wypróbowuje nowe przepisy ... - Penny nie miała chęci myśleć o Danielu. Chciała się nacieszyć towarzystwem Richarda. Planowała wkrótce położyć kres tym spotkaniom. Richard był przesympatyczny, ale nie doświadczyła przy nim uczuć, których szukała; tych, o których mówiła Brenda. Pomyślała z goryczą, że czuła to tylko raz w życiu, tamtej nocy, kiedy poznała Daniela. I co z tego wyszło?

- Czekaj, jak się nazywa ta wasza herbaciarnia? - Richard z namysłem zmarszczył brwi. - "U Muldoona".

- Przy ulicy Morwowej?

- Nie inaczej.

- Jak długo mieszkasz tam z mężem?

- Siedemnaście lat. Richardzie, nie mam ochoty rozmawiać o ... Czekaj - powtórzył. - Stanley ... Dziwne. Ja mu sprzedałem dom.

Nieemożliwe. Mieszkamy nad barem. Zawsze tam mieszkaliśmy. Jestem tego pewien. Wiele lat temu. Czternaście, piętnaście? Sprzedałem mu niewielki domek przy Magnoliowej. Zaraz, zaraz

Czy na pewno tam?

- To nie był on. - Penny nabrała sobie łososia.

- To b y ł on!

- Dajże spokój, Richardzie! Zresztą jak mógłbyś pamiętać transakcję sprzed tylu lat?

- Pamiętam, bo zapłacił mi gotówką. Mówiąc szczerze, znacznie więcej, niż dom był wart. A mówiąc jeszcze szczerzej, nie powinienem był finalizować transakcji nie sprawdzwszy, czy jego forsa jest legalna, ale byłem wtedy w dość trudnej sytuacji, a facet się uparł.

Penny gwałtownie odłożyła widelec. Opanowało ją dziwne uczucie. W stała i podeszła do wielkiego okna, spojrzała na światła odbite w nurcie rzeki.

- Magnoliowa jest niedaleko od nas - powiedziała cicho.

- Nie pamiętasz przypadkiem dokładnego adresu?

- Mam go gdzieś zapisany. Przechowuję wszystkie notatki. Przypominam sobie, że budynek był w kiepskim stanie. Nie remontowany od początku wieku. Za tę cenę mógłby mieć nowiutki domek na przedmieściu. - Richard podszedł do szafki i wyjął z niej segregator.

Penny usiadła z powrotem w skórzanym fotelu. Sięgnęła po kieliszek z winem. Jeśli okaże się, że Daniel kupił dom, a nawet słyszeć nie chciał o remoncie kuchni, naprawdę się z nim rozwiedzie.

Wyrzuci go za drzwi i tego samego dnia zadzwoni po firmę budowlaną. Wściekłość wzbierała w niej, bliska punktu wrzenia.

- O, proszę - oznajmił triumfalnie Richard. - Nigdy nie zapominał łatwego zarobku.

### 35. SADIE ODWOŁUJE BOŻE NARODZENIE

Codziennie rano, regularnie jak w zegarku, Sadie wychodziła z domu, niosąc w koszyku strój gimnastyczny i tenisówki. Siłownie jednak omijała z daleka. (Była zdania, że są to brudne nory pełne odoru potu i agresywnych ludzi.) Jechała autobusem do śródmieścia i włączyła się po sklepach, kupując sobie różne drobne prezenty. Włóczkowe rękawiczki albo romantyczną papeterię, albo ładne, paczuszki markowych słodczy. W porze lunchu szła do herbaciarni u Muldoona. Siadała zawsze przy tym samym stoliku i z czystym sumieniem raczyła się wybornym jadłem. W okresie przedświątecznym Daniel wprowadził do oferty grzanki z nadziewanym indykiem, które cieszyły się wielkim powodzeniem, podobnie jak jego Deser Gwiazdkowy, składający się z bakaliowej babeczki, kawałka lukrowanego placka z owocami oraz dużego kubka kawy ze śmietanką.

Odwiedziła chyba wszystkie sklepy, nim wreszcie znalazła Patricię: *Femme Jatale* stała za ladą z pogardliwym grymasem na wymalowanej twarzy. Czyżby na rynku pracy nie było już żadnej konkurencji? - pomyślała Sadie. Wysłuchiwała awantury, którą Patricia zrobiła przerażonej młodej sprzedawczynie za umieszczenie błędnej ceny na stadku ceramicznych kurczaków, po czym odechnęła głęboko, włożyła okulary słoneczne, wzięła do ręki szklaną wazę i podeszła z nią do kontuaru.

- 39,99 - oznajmiła gburowato Patricia. Śliczna waza - rozczuliła się Sadie.

Faktycznie - burknęła Patricia. Właśnie takiej szukałam.

Patricia wepchnęła wazę do reklamówki i wyciągnęła rękę po pieniądze.

\_ Najmocniej przepraszam - zaświergotała Sadie - ale proszę mi ją zawinąć w papier! Boję się, że mogłabym ją stłuc w autobusie. - Uśmiechnęła się przepraszająco.

Patricia z westchnieniem wzięła wazę z powrotem.

- Bardzo pani dziękuję. Robię w tym roku duże przyjęcie gwiazdkowe. Czy pani uwierzy, że już listopad? Jak ten czas leci! Przyjdzie cała rodzina mojego męża i chciałabym, żeby dom wyglądał jak z obrazka. Mam zamiar napełnić wazę pachnącymi szyszkami i postawić ją na stoliku do kawy. Uwielbiam Boże Narodzenie, a pani?

Patricia zdawała się poirytowana tym pytaniem. Jej czerwone wargi zacisnęły się w wąską kreskę.

W dniu, w którym Maurice i Daisy mieli wrócić z wojaży, Arnold wziął wolne z pracy i wypolerował samochód do połysku, by ze stosowną pompą przywieźć rodziców z lotniska do domu. Miał nadzieję, że ich żyłka podróżnicza została ostatecznie zaspokojona.

- Im prędzej wszystko wróci do normy, tym lepiej - mruczał, woskując składany dach jaguara.

\_ Kochanie, podejdź do telefonu! - zawołała Sadie z ganku. - Ojciec chce z tobą mówić.

Kiedy Arnold usłyszał wieści, jego twarz przybrała zielonkawy odcień. Maurice i Daisy wydali wszystkie swoje oszczędności na dzierżawę mieszkania na greckiej wyspie. Transakcja ta, zawarta z miejscowym biznesmenem, była całkowicie legalna, zapewnił syna Maurice. Mieszkanie posłuży im "do czasu" (czyli do śmierci), a potem wróci do właściciela. Oczywiście pieniądze nie podlegają zwrotowi, ale tylko w ten sposób mogli sobie sprawić piękny apartament z widokiem z trzech stron na morze. Na kupno nie byłoby ich stać. Bez obaw, mieli jeszcze kapitał ze sprzedaży domu. Jakie to szczęście, że go nie naruszyli wprowadzając się pięć lat temu do Arnolda i Sadie. Spieniężyli też swoją polisę na życie.

W Grecji jest bardzo tanio, opowiadał Maurice. Jedzenie kosztuje grosze. Pojechali na targ i kupili mnóstwo lekkich ubrań. Poznali już wielu ludzi, nie tylko Brytyjczyków, ale także miejscowych. Ludzie różnych narodowości są tu wobec siebie niezmiernie życzliwi, nie słychać o żadnych animozjach. Zważywszy wszystko, Maurice i Daisy nie zamierzają wracać do Belfastu. Nigdy. Arnold osunął się na kolana - niestety, nie po to, aby błagać Sadie o wybaczenie, lecz dlatego, że zabrakło mu tchu. Widoki na spadek bladły równie szybko jak jego policzki.

- Leasing! Wydali wszystkie pieniądze na leasing! Umrą w nędzy! To wszystko twoja wina! - wrzeszczał, gdy Sadie nakrywała do kolacji. - To ty ich wysłałaś na tę przeklętą wycieczkę! Nie, ja w to nie wierzę! Nie uwierzę!

- A ich polisa na życie?

- Spieniężyli ją, żeby mieć na utrzymanie!

- Maurice jest inteligentny - stwierdziła całkiem poważnie Sadie. Wiedziała, że teściowie potrafią o siebie zadbać, byle tylko dać im wolną rękę. - To zrozumiałe, był przecież biegłym księgowym, zanim przeszedł na emeryturę.

- Jasna cholera! To miała być m o j a emerytura! - nagła świadomość sytuacji przygniotła Arnolda

jak walący się gmach. Fortuna poszła z wiatrem, jego obłąkany ojciec zaprzepścił ją jednym ruchem ręki. A można było ją przeznaczyć na tyle miłych rozrywek ... Przed oczyma Arnolda zamajaczyły luksusowe hotele, w których wiedzą, jak traktować gości, wizje Patricii leżącej na różnych plażach w różnych skąpych bikini... może nawet innych kobiet, o wiele piękniejszych ... Wytworne restauracje, w których bywają sławy ... Pośród nich Arnold w muszce ... Piękne marzenia rozwiął głos jego koszarnej małżonki:

\_ Tak jest dla nich lepiej - pocieszała go. - Co prawda będę za nimi tęsknić, ale to przecież wspaniale, że mają w sobie jeszcze tyle radości życia!

\_ Nie opowiadaj mi takich beczelnych kłamstw! Nie cierpiałaś ich.

\_ Nic podobnego - zaprzeczyła niewinnie. - Bardzo ich lubiłam.

\_ Zadręczali cię całymi dniami. Nie miałaś nawet czasu usiąść - prychnął ze złością.

Sadie triumfowała w duchu. No proszę! W końcu sam to przyznał!

\_ Ależ bardzo chętnie im pomagałam! - stwierdziła obłudnie.

\_ Nie mam zamiaru przyglądać się beczynnie tym breweriom! Sprowadzę ich do domu, pošlę do psychiatry, ubezwłasnowolnię i zamrozę ich aktywa. Do ciężkiej cholery! Gdzie jest numer ich lekarza?

\_ Arnoldzie, mój drogi, to są dorośli ludzie i mogą robić, co chcą. Po to zresztą właśnie pojechali do Grecji, żeby ogrzać sobie te, no ... aktywa! - zachichotała Sadie. - A ty bądź tak dobry, uspokój się i przestań kłąć.

- Nie uspokoję się!

\_ Powinieneś sobie zmierzyć ciśnienie. W twoim wieku takie silne emocje grożą atakiem serca.

Jesteś błydy jak śmierć. W ogóle ostatnio bardzo źle wyglądasz. Nie gniewaj się, że to mówię - Sadie wstała i pogłaskała go po głowie.

- Ale ... p i e n i ą d z e !!! Wydali wszystkie pieniądze! Na jakiś szemrany leasing! Może w umowie jest jakaś klauzula, może da się to jeszcze odkręcić ... Lecę tam jutro!

\_ Nie wiem, czy powinieneś. Ostatecznie nie chcesz chyba, żeby ludzie uznali cię za pasożyta, który czeka na śmierć rodziców, żeby zagarnąć ich majątek, prawda?

Arnold poruszył ustami, ale nie odważył się przemówić.

\*

Patricia nie była już tak namiętna jak w początkach związku.

Wybaczyła mu zepsutą wycieczkę do Paryża, lecz gorzki osad pozostał. Wybryk Arnolda zdegradował ją do roli taniej dziwki, nie pięknej i ponętnej kochanki, za którą się uważała.

Przestała nosić koronkowe podwiązki i wyrzuciła erotyczne zabawki do zsypu.

Potem jak grom z jasnego nieba spadł cios: scheda Arnolda przepadła na greckich wyspach.

Oszczędności, polisa na życie, pieniądze ze sprzedaży domu rodziców - wszystko. Najwyraźniej w Grecji byli też obrotni prawnicy; nie tylko kelnerzy i pasterze owiec, jak zwykle się uważać. Arnold nie mógł tego przeboleć; wciąż rozpaczał za utraconą fortuną. Zrobił się nudny. Patricia była wściekła. Nie chciała o tym słuchać. Ona też miała pewne plany związane z Fundacją Kwaśniaków, jak ją nazywała. Zaczęła znajdować wymówki, by się z nim nie spotykać: migrena, uroczystość rodzinna, szkolenie zawodowe.

Cichy, niepokojący głosik w głowie Arnolda szeptał, że w miarę jak jego dziedzictwo wtapia się w grecki system finansowy, on sam staje się dla Patricii coraz mniej atrakcyjny. Ze wszystkich sił jednak starał się go zagłuszyć. Nie chciał wierzyć.

Sadie zaniedbywała obowiązki domowe. To także go martwiło.

Trawnik nie był koszony, krzewy rosły jak chciały, a na ścieżkach w ogrodzie pleniły się chwasty.

Na parapecie w łazience leżał kurz, pokrywając jego akcesoria do golania. Sadie notorycznie zapomniała wysłać jego listy albo odebrać ubrania z pralni. Sterta nie wyprasowanych koszul zalegała na sofie. Skarpetki walały się byle jak wrzucone do szuflady, a buty nie były wypastowane. Arnold zaczął doceniać te różne drobne rzeczy, które Sadie robiła przez tyle lat. Zwłaszcza składanie skarpetek w pary. To bardzo irytujące, kiedy rano człowiek musi szukać dwóch jednakowych skarpetek. Albo prasować koszulę, bo jego żona spieszy się na siłownię. Nie miał wprawy w posługiwaniu się żelazkiem, toteż Patricia często mu wypominała, że wygląda, jakby spał w ubraniu. Wyraźnie stracił blask.

- Prawdę mówiąc - powiedziała mu Patricia pewnego wieczoru, kiedy jedli kolację w pubie obok katedry Świętej Anny - zrobiłeś się strasznie niechlujny.

Już w listopadzie wszędzie pojawiły się gwiazdkowe dekoracje. Witryny sklepowe w całym mieście kusily fantazyjnie zapakowanymi podarkami strzeżonymi przez małych świętych

Mikołajów w okrągłych drucianych okularach. Supermarkety puszczały z głośników kolędy na przemian z muzyką klasyczną. Przed ratuszem ustawiono gigantyczną choinkę ozdobioną żółtymi i czerwonymi żaróweczkami. Wiecznie skłóceni radni zdołali zapomnieć o animozjach na dość długo, by urządzić sobie kosztowny gwiazdkowy bankiet, zaś podzielona społeczność Belfastu zjednoczyła się w potępieniu dla takich działań. Milenium czy nie, panowie rajcy stanowczo pozwalają sobie na zbyt wiele, brzmiała powszechna opinia.

Arnold nie nadązał odbierać telefonów od pań, które ujrzawszy oranżerię Aurory Blackstaff w magazynie "Dom i Wnętrze" życzyły sobie mieć taką samą. Widoczna przez szyby trzymetrowa jodła gęsto obwieszona białymi szyszkami z cukru i sznurami czerwonych żurawin dodała oranżerii bardzo wiele uroku. Na przedmieściach zapanowała nowa moda: kobiety chciały mieć w salonie tradycyjnie udekorowaną choinkę dla rodziny, a drugą, "artystyczną" - w miejscu gdzie mogli widzieć ją sąsiedzi.

Stanowczo powinni wykorzystać choinkę w nowej ulotce reklamowej "Okien z klasą". Arnold natychmiast przefaksował ten pomysł do centrali, zyskując duże uznanie. Centrala wysłała mu skrzynkę szampana i zapędziła grafików do pracy nad ulotką. Napływ zamówień nieco pocieszył Arnolda i dał mu motywację do zrobienia porządku w życiu osobistym.

Chciał, by Sadie na powrót stała się idealną żoną, a Patricia wróciła do roli zawsze chętnej odaliski, gotowej zaspokoić każdą erotyczną fantazję. Bardzo go to frustrowało, gdy kobiety jego życia nie zachowywały się poprawnie. Żeby je ugłaskać, nakupił prezentów: dla Sadie piekarnik do chleba, modny przezroczysty odkurzacz, elektryczne nożyce do żywopłotu oraz elektroniczną

Wracając z toalety Arnold przyłapał ją na wymianie spojrzeń wagę łazienkową; dla Patricii - flakon drogich perfum, najseksowniejszy czarny biustonosz i podwiązki, jakie zdołał znaleźć, zestaw olejków do masażu i obcisłą skórzaną suknię. Zapakował je w swoim biurze i ustawił w dwa schludne stosiki obok drzwi, gdzie miały oczekiwać na Boże Narodzenie.

Przewiązując odkurzacz wstążką różową jak ciążutki i Prosiaczek (wymarzony kolor dla Sadie), Arnold postanowił odbyć z żoną poważną rozmowę. Święta stanowiły doskonały pretekst, żeby wziąć ją w karby. Co roku zapraszali wszystkich krewnych Arnolda, w związku z czym Sadie już dwa tygodnie wcześniej zaczynała pucować cały dom, piec ciasta, ciastka, pasztety i robić prześliczne aniołki z masy solnej.

Świąteczne popołudnie planował spędzić z Patricią i w tym celu zarezerwował na godzinę czwartą stolik dla dwóch osób w małej restauracyjce przy Botanic A venue. O wpół do ósmej będzie już z powrotem w domu, gotów do uroczystej bibki w rodzinnym gronie.

Kiedy wrócił z pracy, Sadie oglądała telewizję. Nawet na niego nie spojrzała, gdy spytał, jak idą przygotowania do świąt.

- Nie będę już urabiać sobie rąk po łokcie - mruknęła, poprawiając stopy na poduszce.

- No ale przecież indyk, gęś, tort owocowy ... ?

- I tak nikt tego nie docenia, prawda? Upieczenie tego cholernego tortu trwa cały dzień, a drugi dzień zajmuje jego dekoracja. Po co? Kupię kielbaski w cieście i gotowe przekąski i podgrzeję je w piekarniku. Sałatki też można kupić. A krokiety ziemniaczane mam w zamrażalniku.

- Powiedz, że żartujesz.

- Właściwie wystarczy nawet zimna płyta. O ile tylko będzie dość alkoholu. Sam wiesz, że twoi krewni to banda moczymordów. A teraz proszę cię, bądź cicho. Oglądam "Morderstwa w Midsummer".

- Sadie, nalegam, żebyś ...

- Patrz, ten facet to morderca, a dziewczyna o tym nie wie. Uważaj, głupia, on ma w kieszeni nóż! Sadie, wyłącz te bzdury. Chyba nie mówisz poważnie, że rezygnujesz z tradycyjnego świątecznego obiadu. Oszalałaś?

- Och, Arnoldzie, doprawdy jesteś niedzisiejszy. Nikt już nie piecze indyka. Pani Kelly zamówiła łososia w garmazerii, a jej przyjaciółka Jessica zaprosiła rodzinę na lunch w klubie golfowym.

- Nic mnie to nie obchodzi. Chcę indyka.

- Szczerze ci radzę, skarbie, trochę więcej luzu. Robisz się tetrykiem, choć przecież nie jesteś jeszcze taki stary. Wiesz, w czym tkwi twój problem? Nie masz wyobraźni.

- Chcę indyka na obiad.

- A ja chciałabym nosić ubrania numer dziesięć, Arnoldzie.

I co z tego?

- To oburzające ...

- Ciszej, proszę cię, zagłuszasz film. Sam powiedz: czy John Nettles nie jest boski? Chętnie



znalazłabym go pod choinką. Och, zaraz bym go rozpakowała!

- Nie bądź wulgarna, Sadie. I tak nie wiedziałabyś, co z nim zrobić.

- Zapewniam cię, że się mylisz. Zresztą metoda prób i błędów też mogłaby być przyjemna.

- Sadie! A ozdoby na choinkę? - jęknął słabo. - Pierniki i aniołki?

- Nasypię szyszek do szklanej wazy i wetknę w nie parę pachnących świeczek. Oszczędnie i symbolicznie: takie dekoracje są dziś w modzie. Nie mam zamiaru się zaharowywać.

Arnold poszedł do szopy i usiadł na stołku obok sztucznej choinki. Sadie nie miała dla nich czasu; określiła oboje mianem przestarzałych. Kupiła jakieś różgi i gwiazdy z kryształków. To miała być teraz ich choinka: badyle obwieszane paciorkami! I miska świeczek! Do tego miał się sprowadzać świąteczny wystrój domu!

Wszystko szło nie tak. Tego samego ranka Patricia powiedziała mu, że powinni na jakiś czas przestać się widywać. Nie jest coraz młodsza. Znużyło ją bycie kochanką; dla odmiany chętnie by została żoną. Chce mieć duży dom z choinką i tłumem krewnych i znajomych. Ma dość samotnego wysiadania w swojej norze w oczekiwaniu na jego telefon. (Urocze miłosne gniazdko nagle stało się norą!)

Maurice i Daisy spędzali Boże Narodzenie w Grecji. Arnold zapraszał ich do Belfastu, lecz wymówili się męczącymi formalnościami na lotniskach. Zamierzali spotkać się z przyjaciółmi w miejscowej tawernie, a potem podjąć ich skromnym koktajlparty. Maurice przygotował już stosik płyt z lat pięćdziesiątych, a Daisy kupiła z tej okazji nową suknię. Powiedziała, że cieszy ją perspektywa spędzenia świąt z ludźmi w jej wieku, mającymi podobne zainteresowania. Arnold był załamany.

Synowie napisali, że wybierają się ze swoimi dziewczynami na huczną popijawę na plaży. Do życzeń załączone było zdjęcie przedstawiające ich w towarzystwie dwóch prawie nagich dziewcząt. Namawianie ich do przyjazdu z Australii byłoby zbędnym marnotrawstwem szybko wyczerpujących się sił Arnolda.

Trudno, pocieszał się, czeka go za to wystawne przyjęcie w firmie i nagroda dla Sprzedawcy Roku. Sadie była zadowolona z postępów operacji dywersyjnej. Arnold tracił pewność siebie i powoli wiotczał jak nieszczęsny balon. Nie zamierzała jednak na tym poprzestać. Następny etap miał za cel jego publiczny wizerunek. Za ramą lustra w holu tkwił wetknięty biały kartonik zaproszenia:

*WALLEY*

*OKNA I ORANŻERIE Z KLASĄ*

*mają zaszczyt zaprosić*

*pana ARNOLDA SMITHA z osobą towarzyszącą na doroczne przyjęcie gwiazdkowe,*

*które odbędzie się dnia 21 grudnia 1999 roku o godz. 20.00*

*w sali bankietowej hotelu "Europa".*

*Strój wieczorowy.*

Planowała w/ożyć różowe jedwabne spodnium w stylu wschodnim oraz sandaalki wysadzone sztucznymi brylancikami. Dała sobie zrobić czerwone pasemka we włosach i kupiła nową wieczorową torebkę haftowaną w różyczki. Zaczeka, aż Arnold znajdzie się na podium, by odebrać nagrodę, i wtedy powie to, co ma do powiedzenia.

### **36. WESOL YCH ŚWIĄT, NICOLASIE!**

Brenda odsunęła od siebie pusty talerz, zlizwała z warg resztki bitej śmietany i nachyliła się nad czerwoną kartką:

*14 grudnia 1999 r.*

*Drogi Nicolasie!*

*Co u Ciebie słychać? Czy udekorowałaś już swoją posiadłość świątecznymi ozdobami? Rozwiesiłaś sznury lampek choinkowych nad basenem? Założę się, że tak.*

*Mama kupiła mi śliczną złoconą ramę - na wystawę. Jeszcze się nie zdecydowałam, co w nią oprawię.*

*Dziś czuję się naprawdę szczęśliwa. Zaraz z rana dzwonili z galerii w Galwayu. Tej Pod Niebieskim Osłem. Powiedzieli, że są gotowi. Odmalowali ściany, wydrukowali stos reklamowych pocztówek.*

*Wszyscy zaproszeni goście potwierdzili przybycie.*

*Może Belfast wreszcie robi się modny? Jeśli dotarł do Ciebie obraz, który Ci wysłałam, zatrzymaj*

*go. Pewnego dnia może być wart masę pieniędzy!*

*Przygotowałam na wystawę sześćdziesiąt dziewięć płócien. Na grubych blejtramach, więc nie muszę ich oprawiać (boki też maluję). To bardzo nowoczesne. I oszczędza kosztów.*

*Na wernisażu będzie miejscowa kapela folkowa (grają spokojne irlandzkie ballady). Zamówiono też przekąski. Sprawiliam sobie z tej okazji nową sukienkę i buty na wysokich obcasach. Teraz muszę jeszcze tylko powkladać obrazy do skrzynek, w których wyruszą w drogę.*

*Zycz mi szczęścia. Wesołych świąt!*

*Kochająca Brenda*

*PS. Proszę, przyslij mi zdjęcie z autografem. Jestem Twoją gorącą wielbicieleką.*

Nie zwlekając zakleiła kopertę i wysłała list. Była dziwnie pewna, że wkrótce otrzyma odpowiedź. Nawet gwiazda filmowa tej wielkości co Nicolas Cage może znaleźć chwilę czasu, żeby wysłać kartkę. Czy dobrze zrobiła, pisząc: "kochająca"? Ach, co tam! W końcu są święta!

Resztę przedpołudnia spędziła pakując swoje cenne obrazy do skrzynek i przesypując je kruszonym stropianem.

Na sztaludze wisiał wieszak z prześliczną sukienką wyszywaną błękitnymi i srebrnymi koralikami. Kosztowała fortunę, mimo że Brenda wypatrzyła ją u Monsoona na stojaku z przecenioną odzieżą. Kolejno podniosła stojące obok na podłodze nowe buty, żeby sprawdzić, czy na podszewkach nie ma naklejek "PRZECENA". Nie chciała zrobić sobie wstydu świecąc napisem "TYLKO f. 4,99", jak już jej się kiedyś zdarzyło (dwukrotnie). Ufarbowała włosy na kruczą czerń (jak Cage w roli Ripleya w "Dzikości serca"). Ich niebieskawy połysk pogłębił jeszcze bladość jej cery. Błada i interesująca, pomyślała z nadzieją. W końcu, gdy wszystko było już gotowe, zrobiła sobie zasłużony dżin z tonikiem i usiadła na kanapie zastanawiając się, co zrobić z tak dobrze rozpoczętym dniem.

Miała czysty, dość duży kawał płótna. Namaluje jeszcze coś.

Może portret Nicolasa? Dziwne, nigdy wcześniej nie wpadło jej to do głowy. Tak! Napnie płótno wprost na tej złoconej ramie (chwała Bogu, zostało jej trochę zszywek). Dlaczego od razu o tym nie pomyślała, kiedy matka wyjęła prezent z reklamówki? Rama idealnie nadawała się na portret.

Wzdłuż krawędzi namaluje sznur choinkowych lampek i nazwie to "Wesołych świąt, Nicolasiu Cage'u". W saloniku miała śliczną choinkę, z której mogła czerpać inspirację. (Drzewko wraz z ozdobami dostarczyła niezawodna pani Brown.)

Brenda miała album pełen zdjęć wyciętych z gazet, pocztówek i recenzji. Wybrała fotos z "Dzikości serca", na którym Nicolas ubrany w kurtkę z wężowej skóry patrzy wprost w obiektyw swoimi wielkimi lirycznymi oczyma. Naszkicowała go na płótnie kawałkiem węgla. Potem zrobiła sobie jeszcze jeden duży dżin z tonikiem i usiadła, żeby przemyśleć koncepcję. Postanowiła użyć pełnej gamy kolorów, nie tylko zwykłych błękitów i szarości. Przyniosła z kuchni słoje pędzli i wybrała odpowiednie tuby z dużej skrzynki narzędziowej, w której trzymała farby. Ułożyła to wszystko schludnie na stoliku i przez chwilę patrzyła na ukochaną twarz. Kiedy koncepcja była już gotowa, Brenda ponownie dołała sobie dżinu.

- My im pokażemy - powiedziała do obrazu. - Ty i ja, Nicolasiu. Nasze talenty ocalą ludzkość; udowodnimy, że naprawdę ważne są tylko sztuka i miłość. Ustaną głupie wojny i świat będzie rajem.

Uśmiechnęła się błogo (cztery drinki czyniły już swoją powinność), ponownie dołała do szklanki dżinu z dużej zielonej butli stojącej na kominku i sięgnęła po nowiutki pędzel.

- Niech Bóg błogosławi karty kredytowe - wymamrotała, zanurzając pędzel w farbie.

O piątej obraz był gotowy i był to chyba najlepszy obraz, jaki kiedykolwiek namalowała.

Uderzające podobieństwo. Brenda klapnęła na sofę, żeby się nim pozachwycać. Kusilo ją, żeby włączyć go do ekspozycji, ale wiedziała, że nie wyschnie do rana.

Nie szkodzi, powiedziała sobie. Jutro cały świat doceni jej talent. Wszystkie galerie, które odrzuciły jej prace, będą płakać z rozpaczy i błagać ją o choćby najmniejszy obrazek. Ach, z jaką satysfakcją powie im: "Przykro mi, wyprowadzam się do Republiki Irlandii i nie będę już wystawiać na Północy".

Bez namysłu przyciągnęła do siebie stojący na podłodze telefon i zaczęła wertować książkę telefoniczną. Galerie, galerie ... Odnalazła stronę i wystukała numer pierwszej galerii, której nazwę rozpoznała.

- Halo? Mówi Brenda Brown, artystka. Chcę państwa powiadomić, że jutro mam wielką wystawę w Galwayu i przeprowadzam się tam na stałe. W związku z powyższym nie będę mogła w przyszłości wystawiać u państwa moich prac. Bardzo mi przykro.

- Ach, jaka szkoda! Dziękujemy, że dała nam pani znać - odparł ubawiony głos. - Do widzenia.  
- Jeszcze chwila! Zna pan "Portret doktora Reya", namalowany na desce przez Vincenta van Gogha w 1889 roku? - Znam. - W słuchawce rozległo się westchnienie.

- Wie pan zatem, że Vincent dał go doktorowi w prezencie? I że zacy konował zatkał nim dziurę w kurniku? I że wiele lat później, kiedy świat uznał geniusz van Gogha, obraz został odnaleziony i sprzedany za kilka milionów dolarów?

- Panno Brown, czy pani piła?

- Moim skromnym zdaniem wszystkie obrazy, które pan wystawia, nadają się wyłącznie do remontu kurników. Muszę jednak pana zmartwić: nawet za sto lat nadal nie będą nic warte. Pozostaną w kurnikach, tak jak pan pozostanie w zapyziałym sklepiku na bocznej uliczce jakiejś wiochy, gdy tymczasem ja będę sławna. I zameżna z gwiazdorem filmowym. Do widzenia! - Brenda trzasnęła słuchawką.

Nie była pewna, ile z tej perory usłyszał właściciel galerii, nim się rozłączył, bo już nieźle szumiało jej w głowie, ale czuła się coraz lepiej. Włożyła płytę Placebo do odtwarzacza i podkręciła głośność aż do końca skali. Dolała sobie dżinu i stwierdziwszy, że tonik się skończył, zastąpiła go paroma kostkami lodu. Powiodła palcem wzdłuż spisu galerii i znalazła kolejną, w której jej nie chcieli. Odetchnęła głęboko. Czemu by nie spalić jeszcze kilku mostów? - pomyślała. - Belfast nie będzie mi już potrzebny. Skończyłam z nim.

Musiała wrzeszczeć, żeby przekrzyknąć *muzykę*, ale zdołała zadzwonić do siedmiu galerii, nim w końcu brakło jej sił i drżącą ręką odłożyła słuchawkę na widelki.

O szóstej zaniósła portret Nicolasa Cage'a do sypialni i starannie ukryła go pod łóżkiem, obok pudełka z listami.

- Wybacz, że tak *cię* traktuję - powiedziała. - Wolałabym *cię* mieć w łóżku, nie pod nim, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Ale dziś wszędzie roi *się* od złodziei, a tam w razie włamania będziesz bezpieczny, dopóki nie *wrócę*. Jeśli w ogóle *wrócę*.

W końcu położyła *się* na podłodze pod choinką, pośpiewała *trochę* razem z Placebo i wypila resztę dżinu wprost z butelki, patrząc z zachwytem, jak pokój wiruje, a światełka mrugają w kolorowej świątecznej mgielce. Po półgodzinie obudziła *się* czując dotkliwy głód. Przeszukanie szafek w kuchni nic nie dało. Zadzwoiła *więc* do matki i wprosiła *się* do niej na pyszny irlandzki gulasz. Na deser zapowiedziane były różowe i seledynowe bezy z masą waniliową.

- Wskakuj w taksówkę, skarbie, ja zapłacę. Możesz przecież u mnie przenocować.

Brenda napiła *się* mocnej kawy i przyczesła niebieskoczarne włosy. Nagle zyskała stuprocentową pewność, że Nicolas pojawi *się* na wernisażu. O dziewiątej zadzwoniła po taksówkę i chwiejnym krokiem wyszła przed dom.

- Żegnaj, Belfaście! - oznajmiła z mocą, kiedy zatrzasnęły się za nią drzwi wejściowe. -

Skończyłam z tobą! Witaj, Galwayu! Witaj, Nicolasiu Cage'u!

Cóż, może Brenda skończyła z Belfastem, ale Belfast nie skończył jeszcze z Brendą.

### 37. DRUGA PANI STANLEY

Penny zapłaciła kierowcy taksówki i odczekała, aż niebieski mercedes zniknie za rogiem, nim zdecydowała się ruszyć z miejsca. Dopiero wtedy przyjrzała się bacznie nabytkowi Daniela. Richard miał rację, nie był to żaden pałac. Mały szeregowy domek z czasów królowej Wiktorii, pokryty stuletnim nalotem sadzy. Wąskie przejście prowadziło do ogródka na tyłach. Podeszła do frontowego okna. Firanki były stare, ale czyste. Zajrzała do środka, lecz *gęsty* żakard skutecznie przesłaniał widok. Nacisnęła dzwonek. Nikt nie odpowiedział. Drzwi były zamknięte na klucz. Ulica była pusta, nie *bląkał się* po niej nawet pies, niemniej ktoś z przeciwka mógł ją obserwować. Penny szybko przeszła na tyły domu. Był tu mały, lecz schludnie przystrzyżony trawnik z krzewem bzu pośrodku.

Zajrzała pod wycieraczkę, obmacała gzymy w nadziei, że natrafi na klucz. W końcu znalazła kamień i wybiła nim szybkę w drzwiach kuchennych. Ostrożnie wsunęła dłoń. Klucz tkwił w zamku. Przekręciła go powoli. Drzwi się otworzyły. Z bijącym sercem Penny weszła do środka. Przechodziła z pokoju do pokoju szukając czegoś, co mogłoby wyjaśnić, dlaczego jej mąż kupił dom w sąsiedztwie i nie przyznał się do tego przez piętnaście lat. Meble w saloniku były stare, wytarte i nie odznaczały się niczym szczególnym. W kuchni stał dość ładny kredens, na nim kilka kubków i talerzyków oraz czarno-czerwona puszcza z resztką herbaty.

Weszła na piętro. W sypialni od frontu stało mosiężne łóżko nakryte starą kołdrą, obok toaletka, a

na niej kilka flaszeczek perfum "Kwiat jabłoni". Spostrzegła opartą o lustro kopertę. List zaadresowany był do pani Teresy Stanley. Penny otworzyła go bez wahania.

*Najukochańsza moja!*

*Jeśli wrócisz kiedyś do tego domu, a mnie tu nie będzie, proszę, zaczekaj! Kupiłem go dla Ciebie, żebyś nie musiała już nigdzie wyjeżdżać. Jestem właścicielem małej herbaciarni przy Morwowej. Tam mieszkam, ale często przychodzę tu popołudniami. Chcę, byś wiedziała, że przebaczyłem Ci to, że odeszłaś. Wciąż kocham Cię całym sercem i mam nadzieję, że pewnego dnia do mnie wrócisz. Nie jest jeszcze za późno, abyśmy znów się poznali i pokochali. Będę się o Ciebie troszczył do końca Twoich dni.*

*Kochający*

*Daniel.*

Penny przeczytała list raz, potem drugi i trzeci. Nie mogła uwierzyć, że to nie zły sen, a prawda wypisana czarno na białym: Daniel był już żonaty z kobietą o imieniu Teresa. Zapewne nigdy się nie rozwiedli. Nic dziwnego, że nie chciał mieć dzieci. Wciąż był opętany miłością do tamtej. Ożenił się z Penny tylko przez wzgląd na firmę. Jestem właścicielem małej herbaciarni ... To się jeszcze okaże, pomyślała ze złością. Wsadziła list do kieszeni i cicho wyszła na ulicę.

Kiedy weszła do herbaciarni, Daniel jak w ukropie miotał się po kuchni.

- Gdzie ty się podziewasz? - wykrzyknął. - Wciąż gdzieś znikasz. Dotąd byłem cierpliwy, ale sam nie dam rady prowadzić baru!

Wyjdź stąd - powiedziała zduszonym głosem Penny.

- Co?

- Powiedziałam: wyjdź z mojego lokalu!

- Czy ty się dobrze czujesz? - Daniel odstawił dzbanek z kawą. Przywykł traktować Penny jak część herbaciarni, na równi z piecykiem czy ekspresem. Tymczasem nagle znalazł się w nowej sytuacji. - Te twoje czasopisma! - sarknął. - Kompletnie poprzestawiały ci w głowie. Ten chłam jest pożywką dla feminizmu i zagrożeniem instytucji małżeństwa.

- Och ty! - wrzasnęła Penny - To ty masz nie po kolei w głowie!

- Penny, o co ci chodzi?

- Daję ci piętnaście minut na spakowanie rzeczy i opuszczenie mojej firmy. Możesz iść do siebie, na Magnoliową czternaście, chyba znasz ten adres? I tam nadal czekać na swą ukochaną Teresę, bo ja mam już absolutnie dosyć ciebie i twojego chorobliwego skąpstwa! Wynoś się stąd do diabła!

Daniel poczuł nagle, że nie może złapać tchu. Oczy rozszerzyły mu się z przerażenia.

- Proszę, porozmawiajmy ...

- Za późno na rozmowy. Nasze małżeństwo dobiegło końca. Zresztą i tak nie było ważne, głupcze! Jesteś bigamistą. Przystępcą. Nie masz prawa tu być. I nie licz na to, że dostaniesz coś przy rozwodzie!

Daniel zachwiał się, jakby dostał w twarz. Patrzył na Penny przez *chwilę*, która wydawała się wiecznością.

- Rozwód? Penny, proszę, posłuchaj ...

- Nie. Koniec tych kłamstw. Wynoś się, bo wezwę policję.

- Penny wyjęła z kieszeni list i rzuciła go na stół.

Niebieskie oczy Daniela były jak kałuże czystej zgrozy.

- Wszystko ci wyjaśnię. Skąd się dowiedziałas?

- Nieważne skąd. Chyba nie zaprzeczysz? Przez siedemnaście lat napychałeś sobie kieszenie dochodami z herbaciarni mojego ojca! I za te pieniądze kupiłeś swojej drugiej żonie dom! Traktowałeś mnie jak bezpłatną służącą! Zmarnowałeś mi młodość! Nienawidzę cię!

- Penny, proszę, nie ...

- Nienawidzę cię. Zrobiłeś ze mnie żalostną namiastkę kobiety. Zresztą sama siebie powinnam za to

winić. Millie Mortimer ostrzegła mnie, żebym nie wiązała się z tobą tak pochopnie. Powinnam była wiedzieć, że coś tu nie gra - po trzydziestce i wciąż kawaler? Ale oczywiście ty już byłeś żonaty, prawda? Z Teresą!

Daniel zakrył rękami twarz. Doleciał zza nich szept:

- Teresa to moja matka.

- Łzesz! - Penny roześmiała mu się w nos. Miała ochotę go zabić. - Twoja matka miała na imię Kathleen.

- Nie. Kathleen była moją ciotką. Przysięgam.

- Daruj sobie.

- Posłuchaj, klienci czekają. Odprawię ich, zamkniemy lokal i wtedy powiem ci wszystko.

- Już za późno. Teraz już mnie to nie obchodzi. Omal wpędziłam się w obłęd zastanawiając się przez tyle lat, co się z tobą dzieje. Dlaczego w ogóle cię nie pociągają, dlaczego nie chcesz mi dać dzieci. Teraz żądani tylko, żebyś się stąd wyniósł wraz ze wszystkimi swoimi sekretami.

- Proszę cię, Penny!

- Między nami koniec, Danielu. Zdradziłam cię. Najszybciej, jak się da, złożę pozew o rozwód.

- Zdradziłaś mnie? Jak mogłaś?

- Bo ja jestem n o r m a l n a. Nic nie podejrzewałeś? Późne powroty, nowe ciuchy? Sypiałam z innym mężczyzną. Dla tamtego nie byłam tak nieatrakcyjna, że wołał czytać książki kucharskie, niż się ze mną kochać! A teraz wynoś się!

- Nie możesz tak po prostu powiedzieć, że to koniec, nie wysłuchawszy mnie! Zresztą pomyśl o firmie!

- Możesz zatrzymać te pieniądze, które już przywłaszczyłeś. Potraktuj to jako odprawę. Ostateczną odprawę. A jeśli myślisz, że dam sobie odebrać herbaciarnię, to się grubo mylisz. Prędej ją spalę, niż pozwolę, aby twoja noga kiedykolwiek jeszcze przekroczyła ten próg!

Wyszła do sali jadalnej i poprosiła wszystkich, żeby skończyli jeść i wyszli. Nie muszą płacić za posiłki. Państwo Stanley mają kryzys rodzinny.

Oburzeni, zaciekawieni, utyskujący klienci powoli opuścili herbaciarnię. Penny zamknęła za nimi drzwi na klucz. Kiedy wróciła do kuchni, Daniela już nie było. Zaryglowała także tylne drzwi i usiadła na krześle, dygocząc na całym ciele. Potem zadzwoniła w trzy miejsca. Najpierw do Millie, żeby jej powiedzieć, że Daniel jest bigamistą. Potem do firmy budowlanej, żeby rano przyszli zrobić kosztorys. A potem do kancelarii adwokackiej.

### **38. DANIEL CHCE WSZYSTKO NAPRAWIĆ**

Daniel poszedł pieszo do domu Teresy, lzy ciekły mu po twarzy. Przez czterdzieści lat żył w dwóch czasach: teraźniejszym, wypełnionym pracą, i przeszłym, w którym czekał na powrót matki. Teraz oba światy się zderzyły, obracając wszystko w ruinę. Wszedł do domu przy Magnoliowej, usiadł na kanapie w saloniku i siedział tam, dopóki nie zrobiło się ciemno. Potem zagrzał trochę mleka i zrobił sobie kakao. Wypił je jak w transie.

Penny go wyrzuciła. Chce rozwodu. To koniec. Łamał sobie głowę, w jaki sposób poznała jego sekret, ale nie był w stanie rozwiązać tej zagadki. Znów się rozplakał.

Zdradziła go. Był na nią zły. Dlaczego kobiety przywiązują aż taką wagę do romantycznej miłości? I dlaczego zwlekała z tym aż dotąd? Już dawno mogła go porzucić albo wziąć sobie kochanka. Nie zrobiła tego jednak. A zatem musiała go kochać.

Ale matka też go kochała i też odeszła. Wiedział już, że kobiety są nieprzewidywalne, postępują dziwnie i trudno je zrozumieć. Bez nich jednak życie wydaje się puste. Zamajaczyła przed nim wizja przyszłych lat. Nie będzie miał z kim gawędzić wieczorami. Nie! Nie może dopuścić, by Penny odeszła.

Wróci do herbaciarni i powie jej prawdę. Zmusi ją, żeby zrozumiała. A potem wyjadą gdzieś razem, żeby wszystko omówić. Do jakiegoś ładnego hotelu. Penny się ucieszy, lubi ładne miejsca. Jakże się nazywał ten hotel z czasopisma? Lawson Lodge?

Wspomnienie jej zachwyty ukłuło go palącym wyrzutem sumienia. Stanowiło jaskrawe tło jego podłości, wszystkich krzywd, które wyrządził Penny.

Wyjął z portfela srebrnego szylinga, którym ojciec Mulcahy próbował ongiś wynagrodzić czteroletniemu chłopcu utratę matki. Obrócił go parokrotnie w dłoni.

I nagle wszystko pojał. Matka nie odeszła dlatego, że go nie kochała. Odeszła, bo miała złamane serce, bo mąż ją zawiódł i porzucił, zostawił ze stertą rachunków, których nie była w stanie spłacić. Odeszła, bo sąsiadki obgadywały ją za plecami; nie miała wśród nich ani jednej przyjaznej duszy. Zazdrościły jej, bo była piękna, zgrabna i wolna. To nie wina Daniela, że odeszła. Na pewno

powtórnie wzięła ślub i nie powiedziała nowemu mężowi, że ma już synka. Dlaczego nikt mu tego wcześniej nie wytłumaczył?

Wcale nie był lepszy od swojego ojca. Penny nie chce go widzieć. Znów będzie sam i tym razem sam jest sobie winien. Która godzina? Dwudziesta druga trzydzieści. Wyszedł z domu do budki telefonicznej. Poprosił w informacji o numer hotelu. Wykręcił numer.

- Bardzo przepraszam, że dzwonię tak późno - zaczął.

- Chciałem spytać, czy można u państwa spędzić Boże Narodzenie? To znaczy, czy macie jeszcze wolne miejsca? Chciałem zrobić żonie niespodziankę.

Kobieta, która odebrała telefon, była profesjonalistką. Nie okazała zdumienia.

- Chwileczkę, już sprawdzam ... Owszem, mamy jeszcze jeden wolny pokój, ostatni. Niestety, jest dosyć drogi. To apartament dla nowożeńców z luksusową łazienką i salonikiem z kominkiem, na którym pali się prawdziwy ogień. Trzysta funtów za dobę.

- Wezmę go - wychrypiał Daniel.

- Jaki termin mam zarezerwować? Przyjmujemy gości przez cały okres świąteczny.

- Czy byłaby możliwość wynajęcia go na trzy tygodnie? Od osiemnastego grudnia do siódmego stycznia?

Recepcjonistka wyprostowała się na krześle i odstawiła kubek z kawą na mahoniowy kontuar.

Rzadko zdarzał jej się taki klient.

- Oczywiście, *proszę* pana. Mam nadzieję, że miło spędzą państwo u nas czas i skorzystają z licznych rozrywek, jakie przygotowaliśmy na *święta* i Nowy Rok. Czy *mogę* prosić o dane pańskiej karty kredytowej?

- Niestety, nie mam karty kredytowej. Ale jutro zaraz z rana *wyślę* do państwa list potwierdzający zamówienie wraz z czekiem na całą *sumę*. Czy mogłaby mi pani podać dokładny adres?

Recepcjonistka podała mu dane.

- Dziękuję panu bardzo. Czy życzy pan sobie jeszcze czegoś?

- Tak - rzekł. - Chciałem prosić, żeby do pokoju wstawiono udekorowaną choinkę, jakieś słodycze i szampana.

- Oczywiście, *proszę* pana. W apartamencie dla nowożeńców to wchodzi w zakres usługi. Czy to wszystko?

- Jakies perfumy. Markowe. To już wszystko. Ach, byłbym zapomniał. Nazywam się Daniel Stanley.

- Dziękuję, panie Stanley. *Zadzwoń*, by potwierdzić, że otrzymaliśmy czek.

- Ja zadzwonię. Jestem w tej chwili bardzo *zajęty* i rzadko bywam w domu.

- Oczywiście. *Dziękuję* panu bardzo, dobranoc.

Daniel delikatnie odłożył słuchawkę. Czuł się znacznie lepiej.

Wydawanie pieniędzy okazało się łatwiejsze, niż przypuszczał. Dokonał w myśli szybkich obliczeń.

Na koncie miał około dwustu tysięcy funtów, oszczędności całego życia. Lecz połowa tej kwoty należała się Penny; *więcej* niż połowa, jeśli miał być uczciwy. Pracowała przecież tak *ciężko*.

*Będzie* ją błagał, żeby z nim została, obieca jej wszystko, czego zażąda. Nie zniesie już samotności.

Pieniądze nie dotrzymają mu towarzystwa, gdy jej nie będzie. Kochał Penny. Z przerażeniem myślał, jak bardzo kochał ją przez cały czas

i w ogóle sobie tego nie uświadamiał. Prawie biegiem wrócił na Magnoliową

Dziś da Penny czas, żeby ochłonęła, a jutro pójdzie do niej. Opowie jej wszystko. Spóźnił się z tym o wiele długich lat, ale może zachował choćby okruszek jej uczuć. Może mu wybaczy i da jeszcze jedną szansę.

### 39. MILLIE MORTIMER JEST WŚCIEKŁA

Minie Mortimer gnała przez ulicę Morwową, jakby ogary piekiel kęsały ją po piętach. Za nią z niezbyt mądrą miną biegł truchcikiem Jack, niosąc ciężką skrzynkę z narzędziami i co chwilę wołając, żeby zaczekała. Nie znosił, kiedy Millie wtrącała się w cudze sprawy, ale z równym skutkiem mógłby mówić do ściany. Nakręcona ruszała niczym trąba powietrzna. Jack był wdzięczny niebiosom, że nie na nim wyładuje się wściekłość Minie. On nie był taki głupi, żeby romansować za plecami żony.

Millie zabębniła pięściami w drzwi, a kiedy Penny przekręciła klucz, wpadła do kuchni omal nie wyrrywając ich z zawiasów.

- Gdzie ten łajdak?! - krzyknęła. - Zabiję go, jak mi Bóg miły! Danielu Stanley, wylaż, bo i tak cię znajdę! Jack! Znajdź go i spuść mu lanie!

- Nie ma go - powiedziała Penny. - Kazałam mu się wynieść i więcej nie wracać. Poszedł.

Jack odetchnął z ulgą. Miał bicepsy wielkości dorodnych grejpfrutów. To nie byłaby uczciwa walka.

- Dobrze zrobiłaś - uznała Minie. - Jack, chodź no tutaj! Jack stał w drzwiach, nie chcąc się angażować w małżeńskie problemy Penny. Dlaczego kobiety muszą do wszystkiego podchodzić tak emocjonalnie, myślał.

- Leć po nowe zamki - rozkazała mu Millie. - Weź takie z podwójną zasuwą. I żaluzje przeciwwłamaniowe do wszystkich okien.

- Żaluzje są drogie - bąknął Jack.

- Ech, ci mężczyźni! Pieniądze są tu najmniej ważne! Chcesz, żeby ten łotr włamał się tu nocą i zadusił biedną Penny we śnie? Będzie gotów na wszystko, żeby nie stracić firmy! Idź do pana Cooka i powiedz mu, że Penny rozliczy się z nim za parę dni.

Jack dokonał niezbędnych pomiarów, współczująco kiwnął głową Penny i wyszedł bez słowa.

Penny zauważyła, że wyraźnie zeszczupłał. Niechybnie lustrzana terapia odniosła skutek.

Minie zaparzyła herbatę i zaczęła krążyć po kuchni jak tygrysica, wydychając ogromne kłęby dymu.

- Wiedziałaś. Wiedziałaś! Ja to od razu czułam. Wiedziałaś, że ten elegancik chowa coś w zanadrzu. Bigamista, psiakrew! Ma facet tupet! Zaharowywałaś się przez całe lata, żeby mógł kupić tamtej domek! I powiadasz, że ona w nim nie mieszka? Zaginęła? No, jeśli to nie jest dowód, że on ma świra, to ja nie wiem, jakiego jeszcze trzeba. Lepiej dla niego, żebym go nie spotkała na ulicy, bo jak Bóg na niebie, rozerwę go na strzępy i rzucę psom.

Penny była zbyt otepiała, żeby jej przerwać.

- Powiesz to wszystko adwokatowi, słyszysz, Penny? Ja zaświadczę, że byłaś wierną, kochającą żoną! I nawet nie myśl, że miałyby rościć sobie prawo do jakichkolwiek pieniędzy! Cholera, od dnia ślubu przez siedemnaście lat nie kupiłaś sobie jednego porządnego ciucha! Przeklęty kutwa! Nie martw się, odbierzesz mu w sądzie, co twoje. A jeśli sąd nie wydrze mu twojej forsy, ja to zrobię. Mamy tu w Belfaście inne środki nacisku! Boże, co za łajdak! Co za łajdak!

Jack wrócił obładowany zamkami, ryglami i żaluzjami i zajął się przerabianiem herbaciarni w fortecę. Zajął mu to dwie godziny.

Kiedy późnym wieczorem Mortimerowie wyszli, obdarowani pudełkiem ciastek i trzydziestoma funtami za fatygę, Penny usiadła zadumana w barze. Nie czuła się osamotniona. Ma swoją firmę, nie pozwoli jej sobie wydrzeć. Rozwiedzie się z Danielem najprędzej, jak się da. Mniejsza o pieniądze, weźmie kredyt na przebudowę lokalu i zacznie wszystko od nowa. Mary Mydlina, sprzątaczką, na pewno jej pomoże, zatrudni też dodatkowo parę osób. Przy najbliższym spotkaniu opowie Richardowi, co się stało. Dziś czuła się zanadto zmęczona.

W barku na górze stała brandy, prezent od Millie. Penny rozpieczętowała flaszkę i naląła sobie pełen kieliszek. Usiadła patrząc przez okno na girlandy światełek rozpięte wzdłuż ulicy. Była głodna, ale myśl o gotowaniu przejęła ją wstrętem. Zadzwoiła do hinduskiej knajpki po curry na wynos.

O czwartej nad ranem pełna brandy, curry i nieprzelanych łez Penny zwinęła się w kłębek na kanapie i usnęła.

#### **40. KONIEC EPOKI**

Pokój był pusty, lecz na choince wciąż paliły się lampki. Przy drzwiach stało kilka drewnianych skrzyń. Na kominku rząd słoików po dżemie z olejem lnianym i terpentyną. Po dywanie poniewierała się wystrzępiona książka telefoniczna i pusta butelka po dżinie.

Sliczna wyszywana paciorkami sukienka wisiała na wieszaku zaczepionym o sztalugi. Obok na podłodze stała para eleganckich bucików na wysokich obcasach.

Zegar w odtwarzaczu CD pokazywał godzinę 5.00.

Mrugające światelka barwiły ciepłym blaskiem brzydki ciasny pokój. Wdzięczne choinkowe cacka kupione na pchlim targu zdawały się ożywać. Wreszcie było tu miło i dlatego Brenda nie zgasiła lampek. Nie wyłączyła też małego przenośnego grzejnika. Wysła z mieszkania myśląc tylko o tym, że być może jutro na otwarciu wystawy pojawi się pewien bardzo znany człowiek ...

Ale wtyczka przedłużacza była stara i rozchwierutana. Nagrzewała się przez całą noc obsługując równocześnie lampki na choince i grzejnik. Z pękniętego gniazdka uniosła się cienka smużka dymu. Po chwili czerwony języczek ognia polizał wtyczkę.

Pożar zaczął się powoli. Zżuł wytarty dywan i leżący na nim wystrzępiony dywanik przed kominkiem. Niewielkie, gibkie płomyki przemieszczały się z taneczną gracją, szukając żeru. Kiedy jednak dosięgły nasączonych terpentyną gałganów na kominku, eksplodowały potężną kulą ognia.

Wyświetlacz zegara poczerniał, lampki zgasły z cichym pyknięciem. Płomienie zaczęły głąskać ściany sunąc wokół pokoju, unicestwiając skromny dobytek Brendy.

Srebrzystobłękitna sukienka poddała się zalotom ognia i spłynęła z wieszaka kaskadą iskier. Tania sofa i drewniany stolik do kawy wypełniły mieszkanie gęstym czarnym dymem, nim w końcu zajaśniały własnym światłem. Skrzynie przez chwilę broniły dostępu do obrazów; potem się rozpadły i oddały swą zawartość piekłu. W ciągu kilku sekund uległy zniszczeniu tysiące i dziesiątki tysięcy muśnięć, maźnięć i pociągnięć pędzla. W ślad za nimi poszły szkicowniki Brendy, jej ołówki, płyty Radiohead i Placebo - wszystko, co czyniło ją tym, kim była. Co ciekawe, sztalugi broniły się najdłużej, uległy dopiero wówczas, gdy pożar szalał już w całym mieszkaniu, a okna pękały z brzękiem. Zapadając się, strop wyrwał dziurę w działowej ścianie i dym zaczął się przedostawać do mieszkania Penny.

Penny spała na sofie, przykryta starym swetrem. Śniła o pałacu pełnym białych sof i puszystych dywanów i zasłonek w karmelkowe niebieskie paski.

Tymczasem na Morwowej pojawił się Daniel Stanley. Niepokój, czy na pewno wyłączył piekarnik, nie pozwolił mu zasnąć. W końcu się ubrał i poszedł do herbaciarni, nie bez nadziei, że uda mu się porozmawiać z Penny. Gdy zobaczył ogień, puścił się biegiem. Sąsiedni dom płonął już cały; nie było dlań ratunku. Załomotał w drzwi, bez efektu; nie widać było ani znikowanej malarki, ani pozostałych lokatorów. Krew stężała mu w żyłach, gdy zobaczył dym w oknie własnego saloniku. Wyszarpnął z kieszeni klucze i rozpaczliwie próbował znaleźć właściwy, ale żaden nie pasował.

- Niech cię szlag, Millie! - wrzasnął, czując, że to za jej namową Penny zmieniła zamki. Dzwonił, stukał, kołatał, próbował nawet wyważyć drzwi ramieniem, lecz podwójna zasuwa nie puściła.

Wybiłby okno, ale chroniła je żaluzja.

- Penny! Penny, obudź się! - krzyczał.

Penny nie słyszała; spała głębokim pijackim snem. Nie czuła, że spowijają kokon dymu.

- Penny, pali się!!! Wstawaj!!! Penny spała.

- Niech Pan Bóg pokarze mnie za skapstwo, że nie kupiłem alarmu pożarowego! - rozpacział Daniel. - Boże! Boże! Co ja mam robić?!

Płomienie lizały już kąty pokoju. Penny zakaszłała, ale się nie obudziła.

- Ratunku! Na pomoc! Niech mi ktoś pomoże!

Ulica była pusta, tylko girlandy świateł rozpięte na latarniach kołysały się na wietrze. Sąsiedzi spali; zresztą nie byłoby w stanie mu pomóc - Jack Mortimer był dobrym fachowcem. Herbaciarnia stała się niezdobyta twierdzą. Daniel co sił w nogach pobiegł naokoło, żeby dostać się do domu od tyłu. Przesadził mur rozdzielający posesje i zaatakował kuchenne drzwi, ale te również nie ustąpiły. Spojrzał w okno sypialni. Było ciemne; w mroku nie widział nawet, czy także chroni je żaluzja. Rzucił kamieniem. Nic. Wziął większy. Rozległ się brzęk, ale wciąż nie było widać Penny. W desperacji Daniel wspinał się po rynnie, kalecząc sobie rękę na wystającym gwoździu. Szarpnął połę płaszcz, owinął nią rękę i wepchnął do środka resztki szyby. Na szczęście nie było tu okiennic. Z trudem wciągnął się na parapet. Po ciemku dotarł do łóżka, w którym Penny ostatnio sypiała samotnie, ale jej nie znalazł.

Wbiegł do gościnnego pokoju od frontu, lecz tam też jej nie było. Oddychanie stawało się coraz trudniejsze, pod sufitem zebrała się gruba warstwa dymu. Pochylony, nieomal na czworakach wpadł do salonu i znalazł Penny na sofie.

- Penny! Penny, kochanie, obudź się! Musisz się obudzić!

Dom się pali! - Z całego serca modlił się żarliwie, żeby nie było za późno.

Potrząsając zamroczoną głową złapał żonę na ręce i potykając się zbiegł z nią na dół, odsunął rygle i wyniósł ją na ulicę.

- Przepraszam cię! - szlochał. - To moja wina. Dawno powinienem był wymienić instalację!

Część sąsiadów, przebudzona krzykami, wyległa na ulicę. Ktoś pewnie zadzwonił już po straż pożarną. Daniel ostrożnie położył Penny na chodniku z dala od płonącego domu. Kiedy poczuła zimno, otworzyła oczy i znów zakaszłała.

- Co się dzieje? - szepnęła.

- Dzięki Bogu. Dzięki Bogu!

- Rany julek! - wystraszyła się. - Co się stało?

- Pożar. Dom się pali. Jestem przy tobie. To ja, Daniel.

- Klęknął koło niej, trzymając ją za rękę.

- Daniel? Co ty tu robisz?

- Nie mogłem zasnąć.

- Jezu! Trzeba ratować dom! - Penny uczyniła wysiłek, by się podnieść.

- Pal licha dom, najważniejsze, że ty żyjesz. Penny kochanie, zaczekaj tu na mnie, nigdzie się nie



ruszaj. Pożar przerzucił się do domu obok.

- Brenda! Danielu, tam jest Brenda!

- Zostań tutaj. Zaraz sprawdzę, jak wygląda sytuacja.

Wrócił po chwili z ulgą malującą się na twarzy.

- Wygląda na to, że nikomu nie stała się krzywda. Mieszkanie Brendy jest spalone, ale ona sama wczoraj późnym wieczorem pojechała gdzieś taksówką; chyba jeszcze nie wróciła. Tych z dołu też nie ma. Wezwano straż pożarną i karetkę. Pojedziesz na badanie, a potem ze mną na Magnoliową.

- A co powie na to druga pani Stanley? - Penny rozplakała się żałośnie.

- Penny, mówiłem prawdę. Teresa to moja matka. Nie opowiadałem ci o niej, bo było mi wstyd.

Odeszła, kiedy byłem dzieckiem, i zostawiła mnie z ciotką Kathleen. Nienawidziłem Kathleen.

Kupiłem ten dom dla Teresy w nadziei, że wróci. Żeby mogła mnie znaleźć.

- Dokąd odeszła? Dlaczego cię zostawiła?

- Nie dawała sobie rady sama. Była w długach. Prawdopodobnie wyszła ponownie za mąż. Byłbym jej kulą u nogi. Proszę cię, Penny, nie pozwól, żeby to tak się skończyło. Byłem chory, obłąkany. To prawda, że ożeniłem się z tobą dla pieniędzy. Przepraszam!

- Nic do mnie nie czułeś? Nawet w dniu ślubu? Nawet w noc poślubną?

- Czułem się winny.

- Winny? To wszystko?

- Troszkę cię kochałem. Byłaś taka młoda i śliczna.

- A ja świata za tobą nie widziałam! - rozszlochała się Penny.

- Ale teraz cię kocham, naj droższa, kocham cię już od dawna. Tylko dotąd nie uświadamiałem sobie, jak bardzo. Umrę, jeśli mnie porzucisz. Zmarnowałem tyle lat! Błagam, pozwól, żebym ci to wynagrodził. Oddam ci wszystko, co mam. Zarezerwowałem dla nas miejsca w tym pięknym hotelu nad morzem. Proszę, zacznijmy wszystko od początku!

Penny była zbyt otumaniona, aby o tym myśleć, oparła się więc o jego ramię i razem patrzyli, jak ich ukochaną herbaciarnię pożera ogień. Ktoś z sąsiadów przyniósł koc i okrył nim ramiona Penny. Zanim z rykiem syren nadjechały wozy strażackie, nie było już czego ratować. Strażacy potwierdzili, że w sąsiednim domu nie było nikogo. Penny została delikatnie ułożona w karetce i zabrana do szpitala Royal Victoria. Daniel pojechał razem z nią. Chcę być z mężem, szepnęła, kiedy policjant poinformował ją, że dom trzeba będzie zburzyć. Tylko to było w tej chwili dla niej ważne.

## 41. PO POŻARZE

15 grudnia 1999 r.

Drogi Nicolasie!

(Przepraszam, tym razem papeteria jest inna.) To już koniec.

Moja kariera legła w gruzach, nim zdolała wypelzr;ać z rynsztoka niespełnionych marzeń. Wybacz, jeśli wyrażam się zbyt patetycznie, przez cały dzień piłam dzin. Prawdę mówiąc, piłam go również wczoraj. To dzin stał się przyczyną nieszczęścia. Powinnam była wyłączyć ten cholerny grzejnik. Mieszkanie spaliło się na węgiel. Wadliwa instalacja, powiedzieli. Zważywszy ilość terpentyny w pokoju, moje obrazy nie miały szans. Już ich nie ma. Niczego nie ma. Nie było ofiar w ludziach tylko dlatego, że pozostali lokatorzy wyjechali. Mogłam ich wszystkich pozabijać.

Obrazy i wszystko, co posiadałam, poszło z dymem. Śliczna wyszywana paciorkami sukienka od Monsoona. I buty na wysokich obcasach. Srebrna ramka na zdjęcie, którego nie zdążyłeś mi przysłać. Wszystko zniszczone. Oczywiście nie byłam ubezpieczona. Teraz jestem bezdomna.

W galerii powiedzieli, że sprawiłam im ogromny zawód. Zaprosili na wernisaż mnóstwo ważnych osób. I zespół muzyczny, który miał grać ballady. Zamówili przekąski i kto je teraz zje?

Mam się z nimi skontaktować, kiedy będę gotowa do następnej wystawy.

Ale prawdę mówiąc, straciłam serce do Sztuki. Już nigdy nie będę malować. Moja dusza umarła, serce obróciło się w proch, a płody mego talentu są teraz gdzieś w przestrzeni kosmicznej - zredukowane do wiązki fotonów pędzą ku najdalszym krańcom wszechświata.

Na razie mieszkam u mamy. Poniżej numer telefonu.

Tvoja

Brenda.

Brenda wyszła nadać list, chociaż ledwie mogła ustać na nogach, tak ją mdliło od dzinu i z rozpacz. Mama była dla niej cudowna, nawet tato stawił się z wielkim bukietem róż i margerytek, by pocieszyć swoją nieszczęśliwą córeczkę. Przyjechały także obie siostry Brendy, przywożąc jej

zapasowe ubrania.

- Nic nie ocalało, zupełnie nic - powtarzała Brenda. - Byłam tam dziś rano wynajętą furgonetką, ale nie było co zabierać; z budynku została tylko czarna skorupa.

Bardzo się dziwili.

Wszystko zniszczone? - Obrócone w popiół.

- Co teraz zrobisz, skarbie? Gdzie chcesz zamieszkać?

- Ojciec chciał ją zabrać do Dublina, ale Brenda pokręciła głową.

- Przechodzę głęboki osobisty kryzys, tato - szepnęła.

- Muszę podjąć decyzje, które odmienią moje życie. Ale tak czy owak dziękuję ci. Naprawdę to doceniam. - Jakie decyzje? - pytali wszyscy.

Brendę wszakże trudno było zrozumieć. Mamrotała coś o pechu i złych znakach i wciąż pytała, dlaczego pożar wybuchł akurat w noc przed wystawą.

- Miałam zostać sławna, rozumiecie? Jak Liam Neeson. Miał być zespół muzyczny i ballady, piękne irlandzkie ballady. I przekąski. Robione na zamówienie. Może nawet przyjechałby Nicolas.

- Dlatego kupiłam wieczorową sukienkę. I buty na wysokich obcasach.

- Jaki Nicolas? - zainteresowała się jedna z sióstr. Pani Brown zgromiła ją wzrokiem.

- Zastanawiam się, czym rozgniewałam los? Kupnem tych głupich butów? Zbytnią pewnością siebie?

- Brenda, pleciesz głupstwa - odezwała się druga siostra.

- Czy to przeznaczenie? Myślę, że tak. Ta wystawa po prostu nie była mi pisana. - Brenda ze smutkiem pokiwała głową. - Widzisz, w tle wielu moich obrazów widać było stłuczone okna. Nigdy nie wiedziałam dlaczego. Po prostu czułam, że tak ma być. I kiedy wczoraj spojrzałam w okna mieszkania, co zobaczyłam? Popękane szyby! Ja to podświadomie przewidziałam, rozumiesz?

- Jasny gwint. Jak sądzisz, mamo, może ona powinna iść do lekarza? - odezwały się unisono obie siostry.

- Przepraszam was, pójdę do siebie. Muszę napisać list - oświadczyła Brenda i cicho wyszła z pokoju.

*16 grudnia 1999 r.*

*Drogi Nicolasie,*

*Pewnie już się domyśliłeś, że jestem w Tobie zakochana.*

*Nic na to nie poradzę. Kocham Cię, odkąd zobaczyłam, jak udajesz Elvisa, śpiewając "Love me tender" Luli Fortune.*

*Wiem, że gazety robią z Ciebie playboya, ale naprawdę jesteś inny. Prawdziwy Ty to mężczyzna wrażliwy i uprzejmy, łaknący delikatnej kobiety, z którą mógłby spędzić życie. Ta kobieta to ja. Dlatego nigdy nie zakochałam się w nikim innym. Dlatego Ty też nie związałeś się z inną. Jesteśmy sobie przeznaczeni i dlatego wciąż na siebie czekamy.*

*Proszę, napisz do mnie.*

*Wiem, że byś mnie polubił, gdybyś mnie poznał.*

*Nawet gdybyś mnie nie pokochał, będę szczęśliwa mogąc zostać Twoją przyjaciółką.*

*Wysłałam Ci obraz - nawet nie podziękowałeś. Wysłałam do Ciebie mnóstwo listów, na żaden nie odpowiedziałeś. Dlaczego? Prosiłam Cię tylko o maleńkie zdjęcie z autografem - drobny łącznik z Tobą, abym mogła dotknąć czegoś, co nosi jeszcze ślad Twojej dłoni.*

*Proszę, zadzwoń do mnie.*

*Jestem Twoją szczerą wielbicieleką.*

*Ucałowania*

*Brenda.*

Telefon dzwonił tego dnia kilkakrotnie; za każdym razem Brenda biegła do holu i oburącz kurczowo łapała słuchawkę. To nie mógł być On, nie dostał jeszcze listu z numerem pani Brown, ale Brenda całkiem straciła poczucie czasu.

- Nicolas? - pytała błagalnie.

Za każdym razem jednak odzywała się któraś z koleżanek matki. Umawiały się na wyjazd do Nashville. Dowiedziawszy się o nieszczęściu, przekonywały Brendę, żeby wybrała się z nimi, było wolne miejsce.

Ale Brenda wolałaby raczej wystąpić w konkursie Miss Świata odziana w skąpe bikini i opatrzona numerem na przegubie ręki, niż spędzić tydzień z hordą pań w średnim wieku oraz Dolly Parto n i Slimem Whitmanem.

Przez cały dzień siedziała w saloniku wpatrzona we wzór na dywanie. Nie mogła jeść ani spać. Raz po raz błagała Boga, żeby cofnął czas i pozwolił jej wyjąć z kontaktu uszkodzony przedłużacz. Proszę, proszę Cię, proszę, szeptała zaciskając powieki. Boże, pomóż mi. Proszę. Bezskutecznie.

Wieczorem postanowiła iść się upić, żeby uspokoić nerwy. Wysiadła z autobusu tuż obok knajpy Pod Koroną na Great Victoria Street, pchnęła ciężkie drzwi i weszła do środka. Nie peszyło jej to, że jest sama. Miała na sobie długi do pięć płaszcz należący ongiś do jej dziadka, ojcowski garnitur z lat siedemdziesiątych oraz ciężkie buty, których pani Brown używała do pracy w ogródku; słowem - strój na ciężkie picie, a nie jakieś tam flirty. Rzęsy pokryła grubą warstwą tuszu, żeby ludzie widzieli, że jest modną dziewczyną, nie bezdomnym włóczęgą. W kieszeni miała papier listowy i koperty (na wszelki wypadek). Kiedy szła do baru, pobiegło za nią wiele zaciekawionych spojrzeń, ale nikt nie pokusił się o komentarz.

- Co podać, panienko? - spytał barman wycierając ręce w staroświecki biały fartuch.

- Podwójny dzin z tonikiem proszę.

- Już się robi. Lód i cytryna?

Brenda skinęła głową.

Otrzymawszy drinka, okręciła się na stołku i oparła łokciem o szynkwias, sącząc lodowaty dzin. Przez jakiś czas wpatrywała się w podłogę, potem zaczęła się przyglądać ludziom. Nagle przy stoliku pod oknem zobaczyła jedną ze swoich byłych pracodawczyń, Patricię Caldwell, wyklócającą się półgłosem z jakimś biedakiem w wymiętym garniturze. Brenda ostro wciągnęła powietrze. Poczucie krzywdy, które wrzało w niej od dwóch dni, nagle miało się na kim zogniskować. Zamówiła pintę guinnessa i następny podwójny dzin z tonikiem, który wypila przyglądając się Patricii w lustrze nad barem.

17 grudnia 1999 r.

*To ostatni list, jaki do Ciebie wyślę.*

*Zostałam aresztowana. Jest szósta rano, piszę z posterunku przy Lisburn Road.*

*Wylałam całą pintę guinnessa na głowę pewnej kobiecy w pubie.*

*Ta baba była kiedyś moją szefową. Zabroniła mi wyściubić nosa z magazynu, gdzie rozpakowywałam dostawy. Ja! Absolwentka Akademii Sztuk Pięknych (dyplom z pierwszą lokatą!) - Po dwóch tygodniach wręczyła mi zwolnienie, uzasadniając je "niedostateczną motywacją". Stara dzdura!*

*Siedziała przerażona, ociekając piwem, a wtedy powiedziałam do niej: "Pamiętasz mnie? Jestem Brenda Brown, utalentowana artystka i przyjaciółka gwiazd. Chciałam ci tylko powiedzieć, że to ja w zeszłym roku rozwalłam cegłą okno w tym twoim brudnym, pretensjonalnym kiosku z pamiątkami. (A może to było dwa lata temu?) Ty kapitalistyczna suko!"*

*Wezwała policję. Wykidajło trzymał mi ręce unieruchomione za plecami, dopóki nie przyjechali (było mi trochę wstyd). Wsadzili mnie do celi i sprowadzili lekarza. Powiedziałam mu, że jestem artystką i Twoją serdeczną przyjaciółką. (Przepisał mi środki antydepresyjne.)*

*Wcale nie jest mi przykro. Nie żałuję, że rozbiłam wystawę, i cieszę się, że ona wie, że to ja. Niczego nie żałuję. Jestem teraz północnoirlandzką twardzielką, która nie cofa się przed stosowaniem przemocy. Hurra!*

*Jeszcze nie wiem, czy postawią mnie przed sądem. Ale jazda, nie?*

*Serdeczności Brenda.*

*PS. Ponieważ moja kariera legła w gruzach, wątpię czy kiedyś się spotkamy, ale życzę Ci długiego, udanego życia i spełnienia wszystkich, wszyściuteńkich marzeń. Moich uczuć do Ciebie nie przyćmi czas ani rozczarowanie.*

*PPS. Nie wysyłaj mi już zdjęcia. Przeprowadzam się. Pozostaję jednak Twoją najgorętszą wielbicieleką.*

*PPPS. Podjęłam decyzję, że zmieniam nazwisko - już nieodwołalnie.*

*Zawsze będę Cię kochać*

*była Brenda Brown.*

O ósmej rano zwolniono ją z aresztu. Nadała list i ruszyła spacerkiem przez Lisburn Road zaglądając w witryny modnych kawiarenek. Niektóre z nich były bardzo ładne, kolorowe i eleganckie, ale nie umywały się do Muldoona - panująca w nich atmosfera trąciła sztucznością. Brenda wróciła na ulicę Morwową i stanęła na chodniku, patrząc na pogorzeliśko. Na jezdni stało

kilka kontenerów na śmieci, gotowych do zapelnienia szczątkami życia Brendy.

Penny i Daniel cudem uniknęli śmierci, podobnie jak jej sąsiedzi. Brenda dziękowała Bogu, że nikt nie ucierpiał. Co prawda straciła wszystko, ale mogło się to skończyć o wiele gorzej. W tej samej chwili, jakby na zawołanie, nadjechali Stanleyowie swoim małym samochodem. Brenda chciała się wymknąć, nim ją zobaczą, ale Penny ją dogoniła i porwała w objęcia.

- Wszystko dobrze się skończyło! - zakrzyknęła. - Odbudujemy lokal, będzie znacznie ładniejszy niż kiedykolwiek przedtem! Będziemy mieli szklany dach i nową kuchnię!

- O! - jęknęła Brenda. Przez chwilę się bała, że Penny zamierza ją udusić.

- I od razu zapraszamy cię na inauguracyjny lunch!

- Tak bardzo mi przykro ...

- Niepotrzebnie. Nasza instalacja też mogła spowodować pożar i prawdę mówiąc, Daniel najpierw właśnie o tym pomyślał. Kable ledwie się już trzymały. Ubezpieczyciel pokryje nam część szkód.

- Dziękuję, że jest pani tak wyrozumiała ...

- Byłabym zapomniała. Brendo, nasi budowlańcy pracują również obok. Znaleźli w twoim mieszkaniu parę rzeczy, które przetrwały pożar. Powiedziałam, że ci je oddam. Zaczekaj, mam je w bagażniku. - Penny pobiegła na drugą *stronę* ulicy.

- Powiedziano mi, że nic nie ocalało - szepnęła Brenda do Daniela.

- A jednak - odparł. - Znaleźli je wczoraj pod łóżkiem. Penny wróciła z nieco osmalonym pudełkiem po butach pełnym czerwonych kopert oraz portretem Nicolasa, cudownie nienaruszonym, jeśli nie liczyć drobnych pęknięć farby, która schła zbyt raptownie. Penny nie posiadała się z radości, że to właśnie ona może oddać Brendzie jej skarby.

Proszę! Co za szczęście, że właśnie rozmawiałam z majstrem, kiedy to znaleźli. Mogliby je wyrzucić!

Brenda stała na chodniku czekając na bąbelki uniesienia, które zwykle uderzały jej do głowy, gdy myślała o Nicolasiu. Czuła się jednak zimna i pusta w środku jak jaskinia w Fermanagh, którą kiedyś zwiedzała na wycieczce szkolnej. Bezdomna, wystawiona na światło dzienne jej płomienna miłość jakby zbladła. Ukochana twarz, gruby plik listów, które pisała z taką namiętnością, nie budziły już w niej żadnych uczuć. Nagle zrozumiała, że ten romans, który nigdy się nie zaczął, dobiegł końca. Miała dwadzieścia pięć lat. Czas dorosnąć.

- No cóż ... - zająknęła się. - Pewnie pani pomyśli, że jestem niewdzięczna, ale nie *chcę* tych rzeczy. Skończyłam ze sztuką. Mam zamiar podjąć jakąś zwykłą pracę jak wszyscy zwykli ludzie.

- Ależ, Brendo, ten obraz jest świetny! Nie chcesz zacząć od nowa, tak jak my?

Daniel objął *zonę* ramieniem i uśmiechnął się do niej z miłością. Brenda pomyślała przelotnie, że chyba po raz pierwszy widzi u nich taki czuły gest.

- Pewnie zacznę od nowa, ale raczej gdzie indziej. Wyjeżdżam. Dostałam propozycję pracy i zamierzam ją przyjąć. Życzę państwu wiele szczęścia - dodała, ściskając obojgu dłonie. Daniel poklepał ją niezgrabnie po ramieniu, a Penny ucałowała w policzek.

Dziękuję ci, Brendo - powiedziała. - Gdyby nie ty, pewnie nigdy byśmy się nie dowiedzieli, jak bardzo możemy być ze sobą szczęśliwi.

Brenda uśmiechnęła się i kiwnęła głową. Potem bardzo powoli odeszła, pocierając ramiona, jak gdyby było jej zimno. Nie obejrzała się więcej.

- Co mam z tym zrobić? - zawołała za nią Penny, unosząc obraz i pudełko z listami.

- Wrzucić do kubła!

- Nie żartuj, Brendo!

- Powodzenia! - doleciał ich okrzyk i Brenda zniknęła za rogiem Lisburn Road. Szła do matki, odpocząć. Chciała wreszcie odpocząć.

Nie ma mowy, żebym to wyrzuciła - oświadczyła Penny. - A co chcesz z tym zrobić?

- Coś wymyślę. Daj mi się zastanowić.

- Mielśmy iść na zakupy. Wyjazd za pasem, a nie mamy co na siebie włożyć.

- Już wiem! - Penny otworzyła pudełko, wyjęła garść listów i wrzuciła je do skrzynki pocztowej.

- Penny! Nie możesz tego zrobić!

- Czemu nie? Na każdym jest znaczek - odparła Penny, ładując do skrzynki kolejną porcję listów.

- Nie słyszałaś, co mówiła? Skończyła tamten etap w swoim życiu.

- Nie mówiła tego poważnie. Jest załamana, dziwisz się? Zaczekaj, aż pan Cage dostanie te wszystkie listy hurtem. Wreszcie się zainteresuje naszą biedną małą Brendą.

- Tak. Pozwie ją do sądu za narzucanie się.

- Nic podobnego. Będzie mile połączony.

- Wątpię.

- Zobaczysz, że mam rację. - Penny wepchnęła w otwór resztę kopert.
- Obraz też chcesz mu wysłać?
- Nie. Powieszę go w herbaciarni. Może uda nam się zdobyć kilka zamówień dla Brendy i dziewczyna stanie z powrotem na nogi. Wróci do nas, kiedy znów otworzymy lokal, bez obawy.

## 42. TESTAMENT BRENDY

Ostatni wieczór Brenda spędziła z matką. Chciała się nacieszyć jej towarzystwem, nim opuści Belfast na zawsze. Pani Brown upiekła nadziewane różnościami kurczę, na deser zaś były lody waniliowe i do tego morze białego wina. Przyszedł tato i siostry i przez krótki czas było tak jak dawniej.

Potwornie skacowana Brenda (przez cały ubiegły tydzień codziennie upijała się dżinem) bała się, że wino nie przejdzie jej przez gardło, ale potrzebowała czegoś na uśmierzenie bólu głowy i całego jestestwa. Po utracie obrazów długo nie była w stanie funkcjonować normalnie, lecz starania pani Brown, by przywrócić ją do równowagi, odniosły pewien skutek. Wieczorem, kiedy reszta rodziny już poszła, usiadły razem w kuchni.

- Przysięgam, że co prawda nie wtrącać, ale jesteś pewna, że nie chcesz zostać? - spytała łagodnie pani Brown.

Brenda zastanowiła się przez chwilę, grzejąc stopy na kaloryferze. Mogłaby wynająć inne mieszkanie, podjąć inną pracę, zacząć spłacać kartę kredytową, brać antydepresanty, jak zalecił jej lekarz, i znów zacząć malować. Jeden obraz w tygodniu, a po roku mogłaby już zadzwonić do galerii Pod Niebieskim Osłem. Mogłaby też wystosować list z przeprosinami do pełnomocników Nicolasa Cage'a i zobowiązać się w nim uroczyście, że nie będzie już nękać gwiazdora. W głębi serca jednak czuła, że nie ma na to wszystko siły.

- Jesteś kochana, mamusi. Ale tamto życie już się dla mnie skończyło.

- Pleciesz głupstwa. Wszystko masz jeszcze przed sobą.

- Mamo, z dymem poszła moja dwuletnia praca. Dwa lata życia.

- Co z tego? Nie możesz się poddać z powodu paru straconych obrazów. I to w chwili gdy zaczęłaś zyskiwać sobie uznanie. - Wiem. Ale ostatnio sporo sobie przemyślałam. Czas ruszyć dalej. Ten pożar był znakiem.

- Ty i te twoje znaki! A jeśli Nicolas Cage napisze do ciebie?

Posłuchaj, mamo, musisz mi coś przyrzec! Co tylko zechcesz, kochanie.

Obiecuj, że nie zdradzisz nikomu, dokąd jadę. Ani bankowi, ani właścicielowi domu, ani galerii Pod Błękitnym Osłem, ani Clare Fitzgerald, ani nawet Penny Stanley czy samemu Nicolasowi Cage'owi. Chyba mi rozum odjęło, kiedy wysyłałam mu ten obraz. Już nigdy więcej do niego nie napiszę. Nie jestem prawdziwą fanką, mamo. Zachowywałam się jak wariatka. Prześladowałam go. Gwiazdy gardzą takimi ludźmi. Dlaczego ktoś jego pokroju miałby korespondować z jakąś żalną nieudacznicą? Mam cholerne szczęście, że nie podał mnie do sądu.

- Nie mów tak. Kilka ciepłych listów nikogo nie krzywdzi.

- Nie rozumiesz. Ludzie tak sławni nie odpisują fanom. Miał prawo się obawiać, że mogę zacząć się na niego z nożem. Ten pożar kompletnie mnie załamał, ale w pewnym sensie jest to dla mnie szansa, żeby zacząć od nowa. Wiesz co? Chyba przestanę pić. Alkohol budzi we mnie agresję.

- Na pewno chcesz przyjąć tę pracę? Wydaje się całkiem nie w twoim guście.

- Na pewno. Napiszę do ciebie, a kiedy poczuję się na siłach, zadzwonię do taty i siostr. I spłacę wszystkie długi, muszę tylko najpierw trochę stanąć na nogi. Ale tylko ty wiesz, dokąd jadę, i proszę cię, żeby tak zostało. Nie mów nikomu, choćby nie wiem co. Obiecuj mi.

- Przysięgam, kochanie. A teraz powinnaś się trochę przespać. Jesteś wykończona. Idź, włożyłam ci termofor do łóżka.

Brenda przebrała się w piżamę i wskoczyła pod kołdrę w swoim dawnym pokoju. Długo nie mogła zasnąć. Dla zabicia czasu napisała wiersz, tym razem na niebieskiej kartce. Dni czerwonej papeterii dobiegły końca.

## TESTAMENT BRENDY

*Żegnaj mi, miasto pełne dymów,*

*Bo oto nadszedł dzień ostatni.*

*Kupiony bilet mam w kieszeni,*

*Żeby wydostać się z tej matni.*

*Moje mieszkanie na poddaszu*

*Czyżbyś słyszało już nowinę?*

*W zeszłym tygodniu cię spaliłam*

*(były trzy wozy pożarnicze).*

*Żegnajcie wszystkie me marzenia  
Aby ulsterskim być van Goghiem  
Koniec wielkiego przedstawienia,  
Me dzieła za niebytu progiem.  
Żegnaj mi, sławo, żegnaj, świecie!  
Tyle ci mogłam ofiarować ...  
Dzisiaj, dawaniem już znużona,  
Innego życia chcę spróbować.*

*Żegnaj, kapryśny rynku pracy  
I mroczna wizjo zatrudnienia  
Za cztery funty za godzinę  
Do następnego wymówienia  
Żegnajcie, flagi różnobarwne  
I noce pełne w dali krzyków.  
Już nie dam więcej wam się wciągnąć  
w magiczną grę stereotypów.*

*Żegnajcie, lata marzeń! Kiedyś  
Z uśmiechem wspomnę głodne chwile,  
Gdy Żyjąc dzinem i muzyką  
Czekałam z trwogą na zasilek.  
Lecz ty, o, Penny, miałaś dla mnie  
Zawsze gotowy chleb i uj'miech;  
W zaciszu twojej herbaciarni  
Koilał swe rozterki smutne.*

*Żegnajcie mi, czerwone kartki.  
Tysiące słów w was zapisanych  
Nie dały rady ziścić pragnień  
Głupiej dzierlatki rozkochanej.  
A zatem, słodki Nicolasiu,  
Siedź nad basenem turkusowym,  
W którym się chciałam nurzać z Tobą.  
Został mi tylko kac. Ból głowy.*

*I oto koniec. Pora w drogę.  
Hańbą do syta napojona  
Ruszam w nieznaną, aby kiedyś  
Ocknąć się nowo narodzona.*

Kiedy matka zajrzała do pokoju, Brenda spała mocno z uśmiechem na twarzy. Pani Brown ucałowała córkę w czoło i otuliła ją kołdrą. Może Brenda ma rację, pomyślała. Sztuka to bardzo stresujący biznes. Może już czas, aby moja dziewczynka dorosła i znalazła sobie dorosłe zajęcie. Brenda spała osiemnaście godzin bez przerwy. Zbudziła się gotowa do podróży. Spakowała walizkę, po czym uściskała matkę w saloniku. Nie chciała, żeby ją odprowadzać. Miała zamiar iść pieszo na dworzec autobusowy, zapisując sobie Belfast w pamięci.

- Nie martw się o mnie, mamusiu - powiedziała, wychodząc z domu. - Dam sobie radę.

#### 43. SPRZEDAWCA ROKU

W dniu przyjęcia Arnold pospał sobie dłużej, by wieczorem wyglądać młodo i świeżo. Kilkakrotnie sprawdził, czy ma wszystkie guziki w garniturze, i przez godzinę polerował buty. Po firmie krążyły plotki, że oprócz pucharu przewidziana jest też nagroda. Arnold poszedł do fryzjera ostrzyć się i ogolić, a potem przez całe popołudnie uczył się na pamięć przemówienia. Sadie nie wchodziła mu w drogę; wybrała się do kina na poranny seans i tam, sącząc colę i chrupiąc prażoną kukurydzę, przygotowywała się psychicznie do własnego występu.

Wieczorem padała lekka mżawka. Przed hotel Europa jedna po drugiej zajeżdżały taksówki. Hol jaśniał setkami choinkowych lampek. Kelnerzy podawali białe wino; goście skupiali się w grupki wokół marmurowych schodów, dyskutując o światłoczułym szkłe i elektronicznie sterowanych żaluzjach. (Na twarzach wielu pań dało się dostrzec nudę.) Sadie poszła do toalety podmalować sobie usta.

Kiedy wszyscy usiedli w sali bankietowej, pan William Walley, prezes firmy, odmówił dziękczynienie i podano obiad.

- Nie napychaj się ziemniakami - syknął do żony Arnold.
- Wyglądasz jak wielki różowy słoń. Co cię opętało, żeby kupić sobie ubranie w tym kolorze?
- Och, zamknij się wreszcie! - syknęła w odpowiedzi.
- Coś taki wściekły? Czyżby ta twoja brudna dziwka przyprawiała ci rogi?

Twarz Arnolda spurpurowiała z bezsilnej wściekłości

- Coś ty powiedziała? - warknął przez zaciśnięte zęby.
- Przecież wiem o wszystkim - odparła wesoło Sadie.
- Nie jestem idiotką, mój drogi. Podaj mi, proszę, sos.

Arnold nagle stracił apetyt.

Gdy ze stołów sprzątnięto ostatnie talerze, pan Walley zajął miejsce na niewielkim podium i przeprowadził analizę liczby irlandzkich domów, które jeszcze nie mają okien z PVC. Rynek szybko się kurczy, rzekł z powagą.

- Szkoda, że ty się nie skurczysz - mruknął Arnold do Sadie.
- ... musimy więc zmienić strategię marketingową - ciągnął prezes. - Promować bogatą ofertę naszych oranżerii. Piękna oranżeria podnosi wygląd domu i jego wartość rynkową. Innymi słowy, jest to inwestycja. Nasza firma przoduje na krajowym rynku we wdrażaniu nowych technologii, także gdy idzie o energooszczędne systemy ogrzewania.

Rozległy się wątle oklaski. Kilka kobiet ziewnęło.

- Teraz jednak chciałbym państwu zaprezentować Sprzedawcę Roku. Nagradzając lidera, pragnę równocześnie wyrazić uznanie wszystkim naszym nieocenionym pracownikom. W tym roku puchar przypada człowiekowi, który dla promocji szyb zespolonych zrobił więcej niż ktokolwiek inny. Osiągnął absolutny rekord sprzedaży okien i oranżerii, a także, o czym trzeba wspomnieć, zaprojektował nową ulotkę reklamową. Z prawdziwą radością muszę państwa poinformować, że świąteczna ulotka wywołała żywy i przychylny oddźwięk wśród klientów. Gratuluję panu .... Arnoldowi Smithowi!!!

Rozległy się okrzyki i oklaski. Arnold wyszedł na podium. Pan Walley wręczył mu puchar i serdecznie uścisnął dłoń.

- Jestem bardzo szczęśliwy - rzekł Arnold. - Ta nagroda wiele dla mnie znaczy. Przede wszystkim chciałem jednak podziękować ...

- Zanim oddam panu głos - przerwał mu Walley - chcę jeszcze wspomnieć o naszym nowym systemie motywacyjnym. Począwszy od tego roku najlepszy sprzedawca otrzyma także luksusową wycieczkę dla dwóch osób. Panie Smith, oto dwa bilety na trzytygodniowy rejs dla pana i pańskiej uroczej małżonki! Szczęśliwej podróży! Wzniesmy wszyscy toast za pomyślność pana Arnolda Smitha i "Okien z klasą"! I życzymy sobie wzajem wesołych świąt!

Arnoldowi duma odebrała głos, ale - jak się okazało - nie musiał mówić dalej. Sadie wstała z miejsca, wdrapała się na podium i wyjęła mikrofon z dłoni pana Walleya. Zaintrygowani goście wyciągali szyje, żeby przyjrzeć się pulchnej różowej osóbcie.

- Chciałabym i ja powiedzieć parę słów, jeśli można - odezwała się Sadie, gdy ucichły oklaski. - Jestem żoną Sprzedawcy Roku, nazywam się Sadie Smith. Zawsze byłam dumna z tego nazwiska. Niestety, dziś mąż nazywa mnie Zmiotką albo Pompą Ssącą z racji mojego zdrowego apetytu. Cóż, jak państwo widzą, jestem raczej puszysta.

Jęk zgorszenia przebiegł szeregi obecnych na sali pań. Mężczyźni chichotali nerwowo. Wyczuli, że Sadie nie będzie brać jeńców, idzie na całego.

- Co prawda te jakże celne przydomki nie są dziełem mego męża - wyjaśniła Sadie. - Zrodziły się one w kreatywnym umyśle jego kochanki, panny Patricii Caldwell, kierowniczkii Raju Upominków przy ulicy Lawendowej.

Arnold rzucił się na Sadie, próbując ściągnąć ją z podium, ale nie tak łatwo jest ruszyć z miejsca dziewięćdziesiąt kilo wzdargzonej kobiecości. Usiłował obrócić wszystko w żart, lecz strwożona i zarazem zachwycona widownia dosłownie spijała słowa z ust Sadie.

- ° tak, mój mąż to prawdziwy czarny koń - ciągnęła.

- Ma więc prawo się cieszyć z zasłużonej nagrody, tym bardziej że uwielbia podróże. Właśnie niedawno spędził romantyczny weekend w Paryżu z panną Patricią. Przywiózł mi stamtąd śliczne

pudełeczko czekoladowych pomadek. Te dwa bilety na pewno im się przydadzą.

W sali panowała cisza, wszystkie oczy utkwione były w Arnoldzie, który zrobił dwa kroki w tył. Do przodu wystąpił natomiast pan Walley, zdecydowany położyć koniec farsie. Ale Sadie była dobrze przygotowana. Z kryjówki za szafą w gabinecie Arnolda posłyszała kilka interesujących rzeczy.

- Zdradzę państwu jeszcze jeden sekret mego męża. Zamierza puścić kantem "Okna z klasą" i założyć własną firmę. Od miesiący urabia rokujących klientów i już zawarł kilka umów z dostawcami. Trzeba mu to przyznać: jest przedsiębiorczy.

- Czy to prawda? - spytał cicho prezes.

- Nic podobnego, ta kobieta oszalała z zazdrości - wyjąkał Arnold.

- Zatem przyznaje pan, że ją zdradza?

- Na pewno chcielibyście państwo poznać dowcipne przydomki, jakie wymyślili dla was Arnold z Patricią? - ciągnęła Sadie tonem zawodowego wodzireja.

- Sadie, błagam cię, nie rób tego!

- Wybacz, Arnoldzie, chyba jednak to zrobię. Zważywszy, że chciałeś mnie wyrzucić z mojego własnego domu i zostawić bez grosza ...

Salę przebiegł gniewny szmerek.

- Który z panów jest Charliem Drummondem z Omagh? Zapewne jest pan człowiekiem cichym i spokojnym, inaczej nie zasłużyłby pan na nuano Tępej Mumii. Zapraszam również panią Norę Kennedy! Albo raczej Norę Co Rok Nowy Cycek! Jak rozumiem, przeszła pani operację plastyczną? Pan Brett Garson! Biedaku, powinien pan skonsultować się z lekarzem. Po co mają nazywać pana Pierdziwołem? I nareszcie ... Pan William Walley ... !

- Sadie! Nie!

- ... zwany Świątobliwym Waleniem! Witamy na podium!

Sadie umikła, szukając w pamięci kolejnych nazwisk, ale nie było już takiej potrzeby. Charlie Drummond właśnie wskakiwał na podium, podwijając rękawy. Może i był małomówny, ale nigdy nie lubił Arnolda Smitha, a to była świetna okazja, żeby dać mu po pysku.

Arnold jednak gwałt już na złamanie karku po schodach przeciwpożarowych. Z piskiem opon wyjechał z parkingu, ledwie unikając pięści Charliego. Nie słyszał, jak pan Walley zwalnia go z posady, Nora Nowy Cycek szlocha w toalecie, a Sadie śmieje się do rozpuku.

Gdy emocje przycichły, Sadie zwróciła się do pana Walleya i oznajmiła:

- Przez wiele lat mój mąż ciężko pracował dla tej firmy. Miał znaczne osiągnięcia i naprawdę byłam z niego dumna. Niestety, postanowiliśmy odtąd iść przez życie oddzielnymi drogami. Dlatego ofiarowujemy te cudowne wakacje na cele dobroczynne. Dziękuję państwu i życzę dobrej nocy. Prezes nerwowo wyszarpnął jej z dłoni kopertę z biletami. Był człowiekiem ceniącym wartości rodzinne i bardzo się zirytował, że nikt go nie powiadomił, w jak gorszącym stanie jest życie prywatne Sprzedawcy Roku. Sadie skinieniem ręki pożegnała zebranych i wyszła z wysoko uniesioną głową. Wszyscy znów zaczęli klaskać, bardziej ze zmieszania niż z jakichkolwiek innych przyczyn.

Nazajutrz Arnold przyszedł po swoje rzeczy, które spakowane czekały na schodkach.

- Wiesz co? - powiedziała do niego Sadie. - Właśnie jadłam chipsy o smaku chilli maczane w pikantnym sosie. I powiadam ci: gdybym miała wybrać między tobą a nimi, bez wahania wybrałabym chipsy. A, i jeszcze jedno: zatrzymuję dom. Od dziś możesz się ze mną kontaktować wyłącznie za pośrednictwem mojego adwokata. Żegnaj, Arnoldzie.

#### **44. AKCJA "PASIKONIK"**

Gdyby Arnold umiał się pogodzić z porażką, Sadie nie stałaby w wigilię Bożego Narodzenia na schodach ewakuacyjnych za oknem Patricii Caldwell, dygocząc w porywach lodowatego wichru. Sytuacja zmusiła ją jednak do tego, że oto ukrywała się za sznurem prania, które ktoś wywiesił na dwór. Odruchowo pomacała najbliższy ręcznik; był zamrożony na kość.

Wiedziała, że Arnold i Patricia są w mieszkaniu, bo obserwowała je od rana i nikt stamtąd nie wyszedł. Zjadła już obie babki z bakaliami i wszystkie kanapki z szynką, które miała w koszyku, było jej potwornie zimno i dokuczał skurcz w lewej nodze. Zaczeka jeszcze pół godziny, potem fajrant. Ze swego miejsca miała doskonały widok na okno w kuchni. Gdyby tylko ktoś rozsunął zasłony, mogłaby zrobić to, po co przyszła, i wrócić do domu. Nalała sobie kubeczek gorącego kakao z termosu w szkocką kratkę i wypijała je szybko, grzejąc na kubku zmartwiałe mimo rękawiczek dłonie. Machnięciem ręki odegnała obłoczek pary modląc się, żeby właścicielka ręczników nie zjawiła się nagle pytając, co ona tu robi. Wyjaśnienie mogłoby się okazać dość kłopotliwe.

Nagle ktoś szarpnął zasłonę i w oknie ukazała się Patricia w kusym szlafrocisku haftowanym w



smoki. Skulona na metalowym podeście Sadie ujrzała swego ślubnego małżonka, który jak cień stanął za kochanką i wsunął jej ręce pod szlafrok. Patricia prócz szlafrocka nie miała na sobie nic, a Arnold tylko kuse czarne slipy, w których wyglądał jak idiota. Zwarli się ze sobą i padli na kuchenny stół sięgając ku sobie ustami niczym dwa wygłodniałe okazy fauny w filmie przyrodniczym. Sadie posłyszała w wyobraźni głos lektora: Samica, przywabiwszy samca do swej nory jawną demonstracją płci, dąży do ...

Cokolwiek miała na celu samica, nie był to przyjemny widok. Sadie wrzuciła kubek do koszyka i drżącymi rękoma wyjęła aparat fotograficzny.

Właściwie poszło aż nazbyt łatwo. Była przygotowana na kilkudniowe oczekiwanie, a nawet konieczność wynajęcia kogoś, żeby zrobił zdjęcie. Tymczasem proszę - sukces już w pierwszym dniu operacji "Dowód"! Jak tych dwoje się stara! Trzeba przyznać, że wkładali w to całe serce. "Pewnie robią to dziesięć razy dziennie" - pomyślała Sadie, która nigdy nie zaznała małżeńskiej miłości w środku dnia, nie mówiąc już o miłości na szklanym stoliku o pajęczych nogach.

- Śmiało, dalej, skarbie! Dam ci taki wycisk, że gatki ci spadną - zamruczała pod nosem, powątpiewając w duchu, czy Arnold ostatnimi czasy często nosił gatki. Zapewne nie opłacało mu się ich wdziawać. Zobaczyła, jak długie czerwone szpony Patricii zanurzają się w czarnych slipach i zsuwają je powoli. Arnold leżał na wznak na stoliku. Patricia zrzuciła czerwony peniuar i zrećźnie dosiadła kochanka.

Sadie przyszedł na myśl obrazek zapamiętany z czasów, kiedy jej synowie chodzili do podstawówki: dwa pasikoniki walczące ze sobą w szklanym słoju. Arnold wyhodował sobie brzuszek, lecz kończyny miał chude. Para na stoliku, składająca się w zasadzie z łokci, kolan i ścięgien, kotłowała się w czymś, co dało się właściwie określić tylko jako bój o dominację płciową. To nie było kino rodzinne. Sadie nigdy w życiu nie widziała czegoś podobnego, nawet w telewizji satelitarnej, i w duchu poczuła się nieco rozczerowana. D l a t e g o Arnold był gotów zrezygnować z przytulnego domu w Carryduff? Sadie przyglądała się kopulacji męża i jego anorektycznej kochanki z miną, która wprawiłaby w zachwyt najsłynniejszych komików świata.

Nawet ta kuchnia ... Zimna, prawie pusta ... zbyt surowa. Dom Sadie był pełen miękkich foteli w perkalowych pokrowcach, lambrekinów w kwiatki, wyszywanych poduszek i ślicznych koszyczków z suchymi bukietami. Upiększała go przez dwadzieścia lat i nie miała zamiaru oddać bez walki. Tego ranka otrzymała pismo od adwokata Arnolda, wzywające ją do opuszczenia domu w nieprzekraczalnym sześciotygodniowym terminie, jako że nie miała pod opieką dzieci poniżej lat osiemnastu ani dowodów na rzekomą niewierność małżonka. List bynajmniej jej nie przeraził. Pewnie napisał go jakiś kumpel Arnolda z klubu golfowego. Mężczyźni tego pokroju popierali się, gdy któremuś groził rozwód. Sadie pomyślała jednak, że nie będzie od rzeczy zdobyć potrzebne dowody na wypadek, gdyby sprawa trafiła do sądu.

Sprawdziła, czy obiektyw jest odsłonięty i czy flesz się naładował, zbliżyła się do okna i w chwili, kiedy szczytujący Arnold obiema rękami pochwycił piersi Patricii, małe i płaskie jak herbatniki, Sadie głośno zastukała w szybę. Patricia podniosła głowę, obrócony do góry nogami Arnold spojrział w okno i natychmiast rozpoznał pękatą sylwetkę swojej ślubnej małżonki. Ułamek sekundy później zauważył wycelowany w siebie aparat.

Kiedy błysnął flesz, jego usta układały się właśnie w wyraźne "O", któremu zapewne miało towarzyszyć brzydkie słowo. Patricia z piskiem zeskoczyła na podłogę, sprawiając mu bez wątpienia dotkliwy ból w okolicach genitajnych.

- Łap tę sukę! - wrzasnęła, ściągając drżącego kochanka ze stołu i przewracając przy tym wysoki wazon z białą orchideą.

- Gdzie mój szlafrok! - wściekał się Arnold. - Mówiłem ci, żebyś nie rozsuwała zasłon, głupia krowo!

- Jak śmiesz tak do mnie mówić! Czułam, że robię głupstwo dając ci drugą szansę! Powinam była zostać z Jasonem Maxwellem! On ma rolls-royce'a!

- Do diabła z Jasonem Maxwellem! Gdzie ten cholerny szlafrok? Ona ucieka!

- Weź mój! - wrzasnęła Patricia.

Sadie wrzuciła aparat do koszyka i zaczęła zbiegać dwa piętra w dół, gratulując sobie w duchu, że włożyła buty na płaskich obcasach. Mimo że trzęsła się z nerwów, nie mogła opanować śmiechu. Mijała już kontenery na śmieci przy wjeździe na podwórko, gdy na schodach pojawił się Arnold. Wyglądał przekomicznie w jaskrawoczerwonym satynowym szlafroczyku ze smokami na piersi.

Krzywiąc się niemiłosiernie, kicał na bosaka po lodowatych metalowych kratownicach.

- Masz zabrać jej aparat i rozwalić go w drobny mak, inaczej cię zabiję!!! - wrzeszczała z okna owinięta w koc Patricia, wymachując zapalonym papierosem. - Przekłęci żonaci faceci! Więcej z nich kłopotu niż pożytku!

Ale Sadie jej nie widziała. Pędziła co sił ku stojącej przy jezdni taksówce.

- Jedziemy do Carryduff! Szybko! - zawołała wskazując na tylne siedzenie.

Arnold w nieprzyzwoicie rozchełstany szlafroku biegł białą linią dzielącą pasy ruchu. Sadie zrobiła mu jeszcze jedno zdjęcie przez tylną szybę, potem samochód przyspieszył, Arnold zaś po chwili zwolnił i dał za wygraną

- Wszystko poszło jak z płatka - oznajmiła Sadie.

- Czyli, jak rozumiem, pani zatrzymuje dom? - spytał kierowca, zerkając na nią w lusterku. Był to rzetelny człek, który zgodził się czekać na nią przez pół dnia i słowa dotrzymał (za godziwą opłatą rzecz jasna).

- A jak, dzióbeczku! Dom jest mój! - roześmiała się radośnie.

Później, kiedy film został wywołany, a niesmaczne zdjęcia zdeponowane w kancelarii adwokackiej, Sadie nazwała tę operację akcją "Pasikonik". Trochę było jej żal Arnolda, kiedy pomyślała o trudach, jakie będzie ponosił w erotycznej niewoli swojej nowej partnerki. Nie mogła zrozumieć, czemu woli ten pospieszny, rozpaczliwy seks od łagodnych objęć Sadie w wielkim łożu pełnym pachnących poduszek. Była przekonana, że Patricia wkrótce wpędzi staruszka do grobu. Cóż, gdyby Arnold był wobec niej uczciwy, mogliby rozstać się jak przyjaciele. Kto wie, może by mu nawet wybaczyła. Ostatecznie seks nie zaliczał się do mocnych stron Sadie, a Arnold był tylko człowiekiem.

Przypomniała sobie jednak okrutne słowa, jakie podsłuchiwała zza szafy - że zatrzyma Sadie jako bezpłatną pielęgniarkę i służącą do śmierci rodziców, a potem pokaże jej drzwi. Tego nie mogła przebaczyć, utwardziła więc serce przeciwko niemu, zmieniła zamki i numer telefonu, a megalomańskie mahoniowe biurko odesłała wraz z fotelem do mieszkania Patricii przyklepiwszy na blacie kartkę: *Pozdrowienia od Zmiotki!*

#### 45. POWRÓT PETERA PRENDERGASTA

Clare Fitzgerald siedziała za swoim wielkim biurkiem w nowojorskiej redakcji. Była wigilia Bożego Narodzenia, popołudnie, niebawem kończyli pracę. Za drzwiami trwały przygotowania do gwiazdkowego przyjęcia. Ktoś puścił "Arthur's Theme" Christophera Crossa. Na wieczór zamówiono liczne przekąski, ale Clare już była bardzo głodna. Poczula ochotę na sałatkę z makaronem i szynką, skończyła więc zdanie, które właśnie pisała, i wyłączyła komputer. Grudniowy numer magazynu sprzedał się w olbrzymim nakładzie. Clare miała powody do zadowolenia.

Spojrzała na portret Brendy, oprawiony w szeroką cętkowaną złotą ramę. Odkąd niedawno powiesiła go w gabinecie, stał się dla niej portretem Petera. Patrzyła na niego co rano, co wieczór, za każdym razem, kiedy rozmawiała z Peterem przez telefon. Spędzali tak długie godziny, nadrabiając stracony czas. Za dwa dni mieli się nareszcie spotkać. Peter miał dyżury i nie mógł się wyrwać wcześniej, Clare pogodziła się więc z myślą, że samotnie spędzi Boże Narodzenie. Artykuł o Brendzie Brown wzbudził spore zainteresowanie i w teczce na biurku leżały już dwadzieścia cztery listy potencjalnych nabywców jej prac. Clare przejrzała teczkę, napisała krótki list do Brendy i włożyła go do koszyka z wychodzącą pocztą. Przy odrobinie szczęścia malarka wkrótce będzie mogła się wyprowadzić z tej zimnej nory. Fakt, była nieco dziwna, ale z drugiej strony wszyscy utalentowani ludzie są trochę ekscentryczni.

Otworzyła grudniowy numer pisma i jeszcze raz przeczytała swoje słowo wstępne do świątecznego wydania.

*Boże Narodzenie to szczególny okres w roku. Czas, w którym rodzina i przyjaciele gromadzą się wokół ognia płonącego na kominku. Czas zapalanych świec, wianków z jedliny i domowych lakoci jak nasz pyszny tort w białej czekoladzie (wytnijcie i zachowajcie przepis zamieszczony na s. 212). W tym numerze przedstawiamy dawne choinki. Obejrzyjcie kolekcję staroświeckich sztucznych drzewek z ptasich piór (s. 46), jak również piękne aluminiowe projekty Z lat pięćdziesiątych, które obecnie przeżywają renesans (s. 54). Nie zapomnijcie jednak o najważniejszym: aby w waszych domach panowała miłość, ona bowiem tworzy ów czarodziejski nastrój.*

Chciała jeszcze przejrzeć konkurencyjne czasopisma, ale głód coraz silniej dawał znać o sobie.

Sekretarka była na zebraniu, toteż Clare narzuciła żakiet i wyszła do windy.

W garmazerii kłębił się tłum. Przy szklanej ladzie wypełnionej specjałami z całego świata stał długi ogonek. Nowojorczycy lubią dobrze zjeść, kiedy więc znajdują naprawdę dobrą kuchnię, godzą się czekać. Clare cierpliwie ustawiła się w kolejce.

Gdy wróciła do biura, sekretarka przywołała ją gwałtownym machaniem ręki.

- Ktoś czeka na ciebie w gabinecie - powiedziała, zniżając głos. - Jakiś twój dawny znajomy z Irlandii. Pozwoliłam mu wejść. Zaraz zrobię wam kawy. Oddaj tę wielką kanapkę, bo pomyśli, że obżerasz się jak prosię. Jest bardzo przystojny. Podmaluj się trochę, zanim tam wejdiesz. Clare nie musiała pytać o nazwisko gościa. Wiedziała, kim jest.

Kiedy otworzyła drzwi, stał odwrócony do niej tyłem przed wiszącym na ścianie obrazem Brendy. Zmężniał, nie był już taki chudy. Włosy, też już nie czarne, a szpakowate, ostrzyżone miał krótko, tuż przy skórze. Ale kiedy się odwrócił, Clare wydała z siebie zduszony szloch. Wielkie niebieskie oczy były wciąż te same. I kształt twarzy, i zmysłowe usta ...

Wyciągnął do niej ręce. Podbiegła ku niemu i tulili się do siebie kurczowo przez długą chwilę.

- Czy to mój portret? - spytał w końcu.

- Nie. Ale przypominał mi ciebie.

- Skąd go masz?

- To długa historia - powiedziała, ocierając oczy.

- W końcu jednak przyjechałem. Jak ci się to udało? Zamieniłem dyżury z kolegą.

To bardzo uprzejmie z jego strony.

- Nie bardzo. Drań strasznie się targował! - roześmiał się Peter.

- Pochlebiasz mi. Przepraszam, znów płaczę! Zmarnowaliśmy tyle czasu!

- Myślałem, że mnie nie chcesz. Młodzi mężczyźni ciężko znoszą porażki. Nie jesteśmy tacy twardzi, na jakich wyglądamy. - Wiem. Teraz już o tym wiem. A zatem jesteś do wzięcia ... no, no! Z tymi trzema rozwodami to prawda?

- Tak. Jesteś zgorszona?

- Nie. Zastanawiam cię tylko, jaka kobieta o zdrowych zmysłach wypuściłaby cię z rąk.

- Znasz powód. Kochałem inną.

- Mnie?

- Ciebie.

- Nadal mnie kochasz?

- Tak.

- I możemy zacząć od nowa?

- Tak. - Pocałował ją delikatnie w usta. - Czy dasz się porwać na kolację? Opowiesz mi o tym obrazie.

- Z przyjemnością. Ale najpierw musimy iść na przyjęcie. Poznasz wszystkich. A propos: jakie masz plany na święta?

- Żadnych. Miałem nadzieję, że stara przyjaciółka zaprosi mnie do siebie.

- Czuj się zaproszony!

W Belfaście Rose i Henry sprząтали kwaciarnię po wigilijnym nawale. Panował w niej nieopisany bałagan, ale utarg był znakomity. Staroświeckie wianki do wieszania na drzwiach okazały się przebojem sezonu. Henry zmiotł zaścielające podłogę liście i skrawki wstążek i nabrał wody do wiaderka. W tym czasie Rose opuściła żaluzje i włożyła pieniądze do sejfu.

- Ogromnie ci jestem wdzięczna za pomoc, Henry. Nie mogę uwierzyć, że nie miałeś nic lepszego do roboty w Wigilię.

- Naprawdę nie miałem. W gruncie rzeczy wyświadczyłaś mi przysługę, Rose. Aurora wydaje wielkie przyjęcie dla Rodziny Bronte. Tylko bym tam przeszkadzał.

- Jeszcze raz ci dziękuję. Jesteś wspaniałym kumplem.

- Słuchaj, pozwoliłem sobie kupić dwa bilety do teatru. Masz ochotę się wybrać? Tylko nie czuj się zobowiązana.

- Pysznie! Jesteś pewien, że Aurora nie będzie miała nic przeciwko temu?

- Na pewno nie. Jest zanadto zajęta, żeby za mną tęsknić.

- W takim razie sprzątanie dokończymy jutro.

- Mamy jeszcze akurat tyle czasu, żeby kupić coś do pogryzania, zanim zacznie się spektakl.

Włożyli płaszcze i szaliki i ruszyli pieszo do centrum. Nie trzymali się za ręce, szli jednak bardzo blisko siebie, a gdy zaczął padać śnieg, Henry dał Rose swoje rękawiczki.

## 46. NAJLEPSZE ŚWIĘTA SADIE

W dniu Bożego Narodzenia Sadie przebudziła się o siódmej rano zdziwiona, że Arnolda nie ma obok w łóżku. Pewnie rozwija prezenty, pomyślała sennie. Duży dzieciak! Nigdy nie potrafił do czekać do lunchu. Potem przypomniała sobie, że w tym roku nie kupiła mu prezentów, przeciwnie - to j e g o podarowała Patricii Caldwell. Niech teraz Patricia piecze mu ziemniaczki i niech sama się

dowie, ile jest roboty wokół Arnolda Smitha. Miłe ciepłe uczucie ogrzało jej stopy i objęło całe ciało aż do okrągłych różowych policzków.

Sadie ziewnęła, przeciągnęła się i zaczęła się zastanawiać, jak spędzi dzień. Nie musiała się spieszyć z faszzerowaniem indyka i przygotowywać domu na najazd hordy Smithów. Nareszcie była sama. W domu panował święty spokój. Chyba nigdy nie czuła się tak błogo.

Włączyła radio, z którego płynęły kolędy, i zdrzemnęła się jeszcze troszkę. Czasowy regulator uruchomił centralne ogrzewanie; w domu zrobiło się rozkosznie ciepło. O dziesiątej wstała i zrobiła sobie gorącą kąpiel używając cały bojler wody i niemal pół butelki pachnącego płynu. Leżała w kłębach piany, chichocząc od czasu do czasu na wspomnienie miny Arnolda, gdy zobaczył aparat. Ha! Dał się przyłapać *inflagranti* ujeżdżany przez tę chudą pasikoniec i na domiar złego łapiąc ją za piersi w najohydniej prostacki sposób. Teraz może podać ją do sądu. Jeśli to zrobi, wyśle odbitki zdjęcia wszystkim bliższym i dalszym znajomym Arnolda, jego pobożnemu szefowi i nadętym snobom z klubu golfowego, zazdrosnym kolegom i jeszcze bardziej zazdrosnym rywalom. Zamieści je w Internecie i rozklei na wszystkich latarniach w Belfaście. Arnold gorzko pożałuje, że z nią zadarł.

Nakazała sobie spokój. Ostatecznie było Boże Narodzenie. Kiedy woda ostygła, wytarła się miękkim frotowym ręcznikiem, wyczyściła zęby i pomalowała sobie paznokcie u nóg.

O jedenastej, wciąż w szlafroku, zjadła pyszne śniadanko - bekon, pieczarki i pomidory lekko przypieczone na oleju słonecznikowym (bo zdrowszy), do tego chleb pszenny i trzy filiżanki herbaty. Potem ubrała się starannie i poszła na popołudniową mszę, żeby nacieszyć się widokiem szopki z wielką żółtą gwiazdą świecącą nad żłobkiem. Słuchała, jak dzieci śpiewają "Cichą noc", i dziękowała Bogu, że dał jej nowe życie. Kiedy ludzie pytali o Arnolda, mówiła prawdę, ze wszystkich sił starając się zachować powagę na widok ich zdumionych, wybałuszonych oczu.

- Dobry Bóg da mi siły, abym mogła to znieść - powtórzyła dwadzieścia kilka razy. - Takie nieszczęście jest dla człowieka ciężką próbą. Ale Bóg daje nam tylko takie brzemie, jakie możemy udźwignąć.

Wszyscy ją ściskali, pocieszali i mówili, jakiz łajdak z tego Arnolda. Sadie protestowała: nie, właściwie Arnold jest stosunkowo dobrym człowiekiem, a to wszystko jej wina, bo jest taka stara, gruba i nieatrakcyjna. Oczywiście sąsiedzi oburzali się jeszcze bardziej, deklarując, że nie będą mu się kłaniać na ulicy. Litość to jednak potężne narzędzie, pomyślała Sadie.

Po powrocie wrzuciła do piekarnika gotowe danie z kurczaka w sosie winnym, puree z marchewki i ziemniaczankrokieciki. W szystko to kupiła w sklepie, opakowane w zgrabne pojemniczki z alufolii. Kto powiedział, że w święta trzeba się zaharowywać? To już przeszłość! Nakryła stół w jadalni kolorowym obrusem w gwiazdkowy deseń, postawiła na nim kilka czerwonych świec w różnych szklanych świecznikach, kieliszek z dobrym winem i paczkę pysznych krakersów.

Włączyła radio. Czekając, aż kurczak będzie gotowy, napoczęła krakersy i nadpiła wino, a potem nałożyła papierową czapkę, uporządkowała kartki świąteczne na kominku, przestawiła słój z witkami do holu i wytaszczyła z szopy sztuczną choinkę. Drzewko było duże, toteż poskładanie go zajęło jej kilka minut. Właśnie gdy wygładzała gałązki, brzęknął zegar w piekarniku. Doskonale. Ubierze ją po obiedzie.

Prawie równocześnie rozdzwonił się dzwonek przy drzwiach przyprawiając ją o nerwowy dreszcz.

Wyjrzała przez okno. Dziewięcioro krewnych Arnolda stało na schodkach, przytupując z zimna.

Wyglądali jak stado czekające na paszę. Mieli ze sobą małą butelkę wina i jedną przewiazaną wstążką paczuszkę - pewnie jak co roku czekoladki, które później i tak zjadali sami. Dobrze, że w tym roku oszczędziła sobie wydatku kilkuset funtów na prezenty dla Smithów. Za tę sumę na styczniowych wyprzedazach sprawi sobie całkiem nową garderobę.

Zaczęło padać. Z nieba sfruwały małe iskrzące się w zimowym słońcu białe płatki, gromadząc się w narożach szyb. Sadie spojrzała na zmarzniętych powinowatych, odczekała spokojnie trzy minuty, po czym wyszła do holu, założyła łańcuch na drzwi i uchyliła je tylko odrobinę.

- Sadie, kochana, otwórz! - doleciały ją okrzyki. - Straszny mróz!

- Mam nadzieję, że indyk już gotowy. Moglibyśmy zjeść konia z kopytami.

- Dlaczego wszystkie zasłony są zaciągnięte? Gdzie samochód Arnolda?

- Arnolda tu nie ma - powiedziała Sadie głośno i wyraźnie. - Słuchajcie, bo nie mam ochoty się powtarzać. Rozeszliśmy się. Arnold mieszka u swojej nowej narzeczonej, Patty-Pat. Jestem pewna, że bardzo ją polubicie. Będzie do was pasować. Dziewczyna ma ogromny talent do prac domowych; potrafi zdziałać cuda na kuchennym stole. Powtórzcie jej to ode mnie. Słyszycie? Dziś jesteście zaproszeni do niej. Tu jest adres. - Podała kartkę najbliższemu ze zdumionych Smithów.

Zaraz, zaraz - oburzył się brat Arnolda, Tony. - Co tu się dzieje? Dlaczego nie otwierasz drzwi?

Wpuść mnie, chcę zadzwonić do Arnolda. A Jenny musi iść do toalety.

- Przykro mi - odparła Sadie - ale ten dom oraz wszelkie jego instalacje nie będą odąd udostępniane klanowi Smithów. Nigdy was nie lubiłam i z wzajemnością, skończmy więc z pozorami. Nie ma indyka, prezentów ani darmowej wody. Na stole jest jedno nakrycie. Moje. Żegnam państwa. Weołych świąt. - To rzekłszy, zatrzasnęła i zaryglowała drzwi, a po namyśle zaciągnęła też zasłonkę, żeby nie zaglądali do środka przez szczelinę na listy.

Świąteczny obiad był najlepszym posiłkiem, jaki w życiu jadła.

Nie musiała zrywać się co chwilę, żeby podać komuś *wodę* mineralną albo sos albo dolać whisky. Nie musiała się martwić, że za chwilę zabraknie kostek lodu. Albo zżymać się, że Smithowie nie mają w zwyczaju dziękować za prezenty. Nie do wiary, że przez ty le lat skakała wokół tych pasożytów!

Dołożyła sobie puree, przyznając w duchu, że jest znacznie lepiej przyprawione niż jej własne. Na deser zjadła trzy czekoladowe ekierki, kawałek pysznego kupnego ciasta i popiła to kawą cappuccino. O piątej była po wykwinnym obiedzie, nie ubrudziwszy ani jednego garnka.

Teraz mogła przyjemnie spędzić wieczór. Ostrożnie zniosła ze strychu pudło ozdób i przez następne dwie błogie godziny ubierała drzewko, starannie rozmieszczając delikatne bombki w kształcie kropel, kruche szklane aniołki, małe kryształowe sanki i anielskie włosy, które tak cudownie mieniły się w świetle. Niebo przybrało już ciemny aksamitny odcień, gdy Sadie odstaąpiła o krok, podziwiając swoje dzieło. Choinka stała majestatycznie w wykuszowym oknie. Pora ją obudzić do życia. Sadie szybko odkurzyła z podłogi resztki folii i okruchy. Wetknęła lampki do kontaktu; okno wypełniło się światłem, a na zewnątrz śnieg zaczął padać gęściej. Osiągnęła ideał.

Włączyła telewizor i zaczęła studiować świąteczny program.

Zakreśliła w nim dwa seriale, trzy komedie i głośny kinowy przebój. Po raz pierwszy od dwudziestu lat będzie mogła spokojnie obejrzeć film słysząc dialogi, a nie pijackie dowcipy i porykiwania Smithów. Zaśmiała się pod nosem, wyobrażając sobie, jakie zamieszanie wywołał ich najazd na mieszkanie Patricii. Pewnie dotąd czekają, aż Patricia wyczaruje im ze swoich nowoczesnych szklanych szafek faszerowanego indyka. Będą mieli szczęście, jeśli dostaną choć kanapkę z serem, pomyślała wesoło.

Nie chciało jej się rozpalać ognia; w domu było dostatecznie ciepło. Wstawiła do kominka trzy grube świece, wyglądały prawie tak samo ładnie. Przygotowała sobie orzeszki i czekoladki, resztę wina i duży kubek kawy, a potem usadowiła się wygodnie na sofie. W ciągu kilku godzin przed telewizorem zdążyła zapomnieć o Patricii, Arnoldzie i pozostałych dziewięciorgu Smithach.

#### 47. ZALEGLY MIESIĄC MIODOWY

Tego wieczoru, gdy W telewizorach całego świata odliczano sekundy do Nowego Roku i nowego milenium, Penny i Daniel siedzieli przy kominku W apartamencie dla nowożeńców hotelu Lawson Lodge. W barze na dole szalał bal, a gdy w dalekim Londynie Big Ben wybił godzinę dwunastą, dobiegły stamtąd piski i okrzyki zachwytu. Penny wzniosła toast za nowy początek. Daniel dotknął kieliszkiem jej kieliszka i rzekł:

- Kocham cię, Penny Stanley, i dziękuję ci za wszystko. Nie wiem, co bym zrobił bez ciebie, gdybyś ... gdyby pożar ... No, po prostu nie wiem. Nigdy już cię nie okłamię ani nie skrzywdzę. Była to bardzo niezgrabna przemowa, ale Penny doceniła intencje. Dokończyli szampana, Daniel objął ją ramieniem i przytuleni patrzyli w buzujący wesoło ogień. Po chwili Penny delikatnie ujęła twarz męża i pocałowała go w usta. Potem ułożyła jego dłonie na swych piersiach i przytrzymała je, gdy oddawał pocałunek. Daniel zrozumiał, że przebaczyła mu jego podłość i szaleństwo. Nadeszła pora, by wreszcie jak należy uczynił ją swoją żoną. Rozebrał ją i ułożył na białej kołdrze.

Patrzyła w milczeniu, jak zdejmuje z siebie odzież. Wyciągnęła ręce i ich palce się splotły.

Kochali się tak namiętnie, że nawet Richard Allen byłby się zarumienił. Tej nocy spełniło się wszystko, o czym Penny marzyła od dnia ślubu. Jednak warto było czekać! Przed wszystkim zaś czuła, że cokolwiek teraz przyniesie im los, razem będą mogli stawić temu czoło. Odkąd Daniel pojął, że Penny jest dla niego naj ważniejsza, stał się innym człowiekiem. Jego lęki pierzchły. Pogodził się z myślą, że życie jest nieprzewidywalne i choćby człowiek nie wiem jak się martwił, nie zmieni jego biegu - może tylko przyjąć je takie, jakie jest, i ufać, że przyniesie mu szczęście.

Noworoczny poranek spędzili razem w wannie jedząc ciasto i popijając je szampanem.

Przez następne dni wylegiwali się w łóżku, obżerali pysznościami i chodzili na długie spacer, dyskutując o odbudowie herbaciarni. Ten niespodziewany urlop był dla nich jak miesiąc miodowy. Cóż, lepiej późno niż wcale!

#### 48. HERBACIARNIA POD MORWAMI OTWIERA PODWOJE

Dawni klienci przecierali oczy, ujrawszy herbaciarnię sześć miesięcy później. Naturalnie składki

opłacane przez Daniela były za niskie, żeby ubezpieczenie pokryło wszystkie szkody, ale miał przecież sporą sumkę w banku i co dziwne, wydanie jej nie sprawiło mu wielkiego bólu. Fasadę zdobiło wielkie wykuszowe okno i nowe kobaltowoniebieskie drzwi, nad którymi wisiły dwie mosiężne lampy i nowy szyld: "HERBACIARNIA POD MORWAMI". U progu pełniły straż dwa strzyżone drzewka w niebieskich donicach. Wewnątrz ściany pokryte świeżą gipsową gładzią pomalowane były na krwistoczerwony kolor. Duże lustro w złotych ramach odbijały małe marmurowe stoliki i kute żeliwne krzesła. Półkę nad barem zdobiły ręcznie malowane filiżanki, a w wazonie na kontuarze stały białe lilie. Puszysta biała sofa przy wejściu nadawała wnętrzu odrobinę dekadencją aurę.

Mieszkanie na piętrze zostało przekształcone w oryginalną salę jadalną ze szklanym dachem. Trzy kelnerki w dzinsach, z ołówkami za uchem, roznosiły posiłki na okrągłych srebrnych tacach. Daniel zatrudnił kucharza i pozostawił mu wolną rękę w wyborze menu. Teraz zamiast drożdżówek podawano nadziewane rogaliki z francuskiego ciasta i ciemne ziołowe bułeczki. Państwo Stanleyowie przychodzili do pracy o dwunastej - sprawdzić, czy wszystko idzie jak w zegarku.

Kupili sobie małe mieszkanko nad rzeką Lagan, korzystając z pośrednictwa Richarda Allena. Odbierając klucze w jego biurze Penny powiedziała Richardowi, że ocaliła swoje małżeństwo i dlatego nie będzie się już z nim spotykać. Odrzekł, że cieszy go jej szczęście, ale będzie mu jej brakować. Mówił to ze szczerego serca.

"Belfast Telegraph" zamieścił pochlebną notkę o herbaciarni.

Kilka innych czasopism prosiło Stanleyów o wywiad do kroniki towarzyskiej. Radośnie uśmiechnięci, pozowali do zdjęć w towarzystwie swego firmowego sernika.

Sadie już miała wyrzucić gazetę do kosza, kiedy jej uwagę przykuło niewielkie zdjęcie roześmianej pary trzymającej wielkie ciasto na szklanej paterze. Mężczyzna obejmował kobietę w pasie, a ona patrzyła na niego z niewysłowioną czułością. Zdjęcie przedstawiało Penny i Daniela Stanleyów, właścicieli herbaciarni Pod Morwami przy ulicy Morwowej.

- No, no! - zdziwiła się Sadie. - A zatem wrócili na stare śmieci!

Przeczytała dalej, że zniszczony przez pożar lokal został niedawno całkowicie przebudowany.

Reporter polecał zwłaszcza wizytę w pięknej przeszklonej sali na piętrze i wielkim głosem chwalił serwowane Pod Morwami przysmaki.

Sadie bez zbędnej zwłoki ruszyła na przystanek. Podróż ciągnęła się jej w nieskończoność. Kiedy wreszcie stanęła przed herbaciarnią, jej żołądek dramatycznie domagał się stawy. Weszła do środka. W powietrzu unosiły się cudowne, słodkie i korzenne aromaty, lecz dosłownie każdy stolik był zajęty przez objadające się panie. Sadie spostrzegła właścicielkę lokalu - ożywioną, wypoczętą, elegancką i zupełnie niepodobną do dawnej Penny Stanley.

Penny na jej widok wybiegła zza baru, żeby zaprosić ją do nowej sali. Chwilę później zachwycona Sadie piła już białą kawę pałaszując sernik z truskawkami, który dosłownie rozpływał się w ustach. Ponieważ jednak głód nie ustąpił, zamówiła jeszcze pietrową włoską grzankę z serem, pomidorami i czerwoną papryką, odsuwając od siebie myśl o swych rozłożystych biodrach. Jedząc, przeglądała menu. Czytało się je jak najpiękniejszą baśń. Kucharz był Włochem; wprowadził do jadłospisu takie potrawy, jak zupa kasztanowa z marchewką, śmietaną i grzankami, domowy pszenny chleb z ziarnem sezamu, grillowane paski mięsa kurczaka z pikantnym sosem salsa, korzenne roladki ziemniaczane z siekanym porem, grzanki z pieczenią wołową na ostro i wiele innych. Podawano kawę parzoną na dwadzieścia różnych sposobów i czterdziestu rozmaitych wypieków skrapianych oliwą lub posypywanych cukrem pudrem i cynamonem.

Zadumała się patrząc, jak szczuplutka kelnerczka lekko zbiega po schodach. Nie miała teraz wiele pracy w domu i pozostawało jej mnóstwo wolnego czasu. Skończywszy ucztę, poszła wprost do Penny z pytaniem, czy nie potrzebują jeszcze jednej kelnerki. Ku swemu zdziwieniu, natychmiast została przyjęta. Penny orzekła, że Sadie ma ciepłą, życzliwą osobowość, bardzo ważną w tej pracy, a jej uśmiech z nadatkiem kompensuje figurę. Sadie uczciła więc kolejną rewolucję w swym życiu lampką szampana, jeszcze jednym kawałkiem sernika oraz efektowną trwałą ondulacją.

#### 49. LIST POŻEGNALNY

W dniu wyjazdu Rose Henry wyszedł z domu zostawiając list. W czułych, romantycznych słowach pisał, że choć serce mu pęka, pozostawia Aurorę jej marzeniom, sam zaś wyrusza spełnić własne. Dom należy do niej; w bibliotece znajdzie akt darowizny.

Aurora kochała swoją oranżerię znacznie bardziej niż Henry'ego, obyło się więc bez łez, niemniej silnie wzruszona przewiązała list błękitną wstążką i umieściła go w sekretnej szufladce biurka.

David Cropper dzwonił do niej codziennie, a nocami śniła, że odziany w georgiański surdut czyta

jej wiersze.

- Zabierz mnie ze sobą - rzekł Henry, gdy wraz z Rose wychodzili z herbaciarni Pod Morwami po pożegnalnym obiedzie. - Co? - zdumiała się. - Mówisz poważnie? Bardzo cię lubię, ale ... Kocham cię. Chcę razem z tobą sadzić drzewa i kwiaty. - Ale ... twoja żona, przyjaciele, praca ... - Nic już dla mnie nie znaczą. Proszę, pozwól, żebym odwiózł cię do Connemary i zatrzymał się tam na kilka dni. Wszystko samo się wyjaśni. Wiem, że jestem za stary i niegodzien całować twoich stóp, ale serce mam młode, kocham cię i jestem świetnym ogrodnikiem.

\*

Pani Fogarty, właścicielka sklepu spożywczo-przemysłowego w mieście Galway, była w znakomitym humorze. Jej przyjaciółka, Bronagh Gilmartin, wpadła po południu po puszkę brzoskwiń w syropie i zastała panią Fogarty odkurzającą półki ze śpiewem na ustach.

- Co słyhać? - zagadnęła.

- *Brzęk* kasy! Oto, co słyhać! - odparła wesoło pani Fogarty. - Ze dwie godziny temu była tu para, opróżnili mi prawie cały sklep. Wzięli całą podpałkę, od razu ci mówię, że nie mam już ani paczki, ze dwadzieścia worków brykietów torfowych, dwie butelki whisky i tyle żarcia w puszkach, że starczy im na rok. A co najśmieszniejsze, ten pan, bo to był prawdziwy elegancki pan, wykupił wszystkie nasiona kwiatów!

- Wszystkie?! Jezusie, po co mu tyle?

- Wszyściuteńkie. Kilkaset paczek. Patrz, stojak jest pusty. Dobrze, że w zeszłym roku kupiłam tę automatyczną kasę, ręcznie w życiu bym tego nie policzyła. Kobieta była sporo młodsza, taka trochę hipiska, miała tutejszy akcent. Ale on, powiadam ci, dżentelmen, marynarka, muszka, te sprawy. Mówił tak trochę jak ci z Belfastu. Podejrzewam, że nie mieli ślubu, w każdym razie nie ze sobą nawzajem. Za bardzo byli szczęśliwi. Choć kto wie, w końcu czasy się zmieniają. Jechali do Connemary. Pytam: "Nie będzie wam smutno w tej głuszy? Jak okiem sięgnąć, tylko kamienie i widma!" Pamiętasz, Bronagh, jak mówiłam, że te domki letniskowe to strata pieniędzy? "Nie, nie", mówi ten pan, "będzie dobrze, mamy wszystko, czego nam potrzeba". No i sama powiedz: co człek ma o tym myśleć?

## 50. LIST OD NICO LASA

1 sierpnia 2000 r.

Szanowna Pani Stanley!

Proszę Panią o pomoc: usiłuję się skontaktować z malarką Brendą Brown. Nie wiem, czy jest ona Pani znajomą; w swoich listach wspominała, że często jada w Pani restauracji. Jej dom spłonął i nie wiem, gdzie teraz mieszka. Wydaje się, że nawet jej matka tego nie wie. Pani Brenda posłała mi kilka listów na Boże Narodzenie, ale już od dłuższego czasu nie mam od niej wieści.

Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby przekazała jej Pani, że proszę ją o kontakt.

Zwykle nie odpowiadam fanom, lecz teraz brak mi listów Brendy. Chciałbym ją poznać i podziękować za niezwykły obraz, jaki mi przysłała. Wkrótce wybieram się do Belfastu, gdzie będę kręcił film. Być może zdołam zaaranżować spotkanie.

Z góry dziękuję za pomoc.

Nicolas Cage.

PS. Mam jeszcze jedną prośbę - aby przekazała Pani Brendzie tę kurtkę z wężowej skóry. Nosilem ją w jednym z moich filmów. Wiem, że się jej podobała. Proszę jej powiedzieć, że chcę się w ten sposób zrewanżować za obraz. (Dalem go do oceny i mój marszand stwierdził, że jest bardzo dobry. Chce zorganizować wystawę prac Brendy w swojej galerii w Beverly Hills - jeśli, rzecz jasna, uda się nam ją odnaleźć.)

20 sierpnia 2000 r.

Szanowny Panie Cage!

Mam nadzieję, że pozostaje Pan w dobrym zdrowiu. Z przykrością donoszę, że nie zdołałam odnaleźć Brendy. Była u nas kilka miesięcy temu, jeszcze przed pożarem, i od tego czasu nie widział jej nikt z rodziny ani znajomych. Przechowam troskliwie Pańską kurtkę do jej powrotu. Mam nadzieję, że uda się Panu znaleźć Brendę.

Pozdrowienia

Penny Stanley.

29 sierpnia 2000 r.

Pan Raymond Moriarty Dyrektor

Centralnego Ośrodka Hydrologiczno-Meteorologicznego w Dublinie

Szanowny Panie Dyrektorze,

Załączam najświeższe odczyty opadów w moim rejonie. Mam nadzieję, że tym razem prawidłowo wypełniłam arkusze.

Naprawdę jestem zachwycona tą pracą, a samotność wcale mnie nie przygnębia, wręcz przeciwnie - upaja. Dawniej nie lubiłam deszczu, ale dziś fascynuje mnie problem opadów. Czytam, chodzę na spacer i napawam się widokami, toteż Pańskie obawy, czy wytrzymam na bezludziu, wydają się nieusprawiedliwione. Za nic nie chciałabym stąd wyjeżdżać. Służbowa chatka aż nadto mi wystarcza, a torfowy ogień na kominku ogrzewa ją dostatecznie, wieczorami jest tu bardzo przytulnie. Świetnie sobie radzę bez elektryczności i telefonu. Naprawiłam tylne drzwi (były popsute). Wiezorami czytam przy świecach. Sprawiliam sobie rower i małego psa do towarzystwa. Gorąco ufam, że oceni Pan moją pracę pozytywnie i po zakończeniu okresu próbnego zaoferuje mi stały etat. Jestem głęboko wdzięczna za wszelką pomoc, której mi Pan udzielił.

Z poważaniem

Tatiana Cobalt-Clemwater.

30 sierpnia 2000 r.

Kochana Mamo!

Mam nadzieję, że zdrowie Ci dopisuje. Czuję się tu fantastycznie, mam już świetną kondycję i różowe policzki. Tutejszy krajobraz zapiera dech; jest o wiele piękniejszy od wszystkich obrazów, jakie zdołałabym namalować. Prawdę mówiąc, odkąd tu jestem, nie wykonałam nawet jednego szkicu i wcale mi tego nie brakuje. Chatka jest bardzo przytulna i ciepła, kiedy pali się w kominku, więc nic się nie martw. Oczywiście mam gaśnicę, kupiłam też trzy alarmy przeciwpożarowe. Mój psiak to najśłodsze stworzenie pod słońcem. Nazwałam go Nick. Chodzi ze mną wszędzie i jest naprawdę grzeczny. Śpi w koszyku obok łóżka.

Praca bardzo mi się podoba i po raz pierwszy w życiu czuję, że robię coś pożytecznego. Poznałam miłego faceta, na imię ma Sean i mieszka o dwie mile ode mnie. Pracuje dla rządu, prowadzi badania zanieczyszczenia wód przybrzeżnych. Sporo się od niego nauczyłam o pogodzie i środowisku naturalnym, i jakie efekty wszystkie nasze działania wywołają w przyszłości - to naprawdę fascynujące. Irlandia ma szczęście, że ma tak korzystny bilans wodny. W sobotę Sean zaprosił mnie do restauracji. Chyba mu się podobam. Kto wie, może z czasem zaczniemy ze sobą chodzić. Dał mi swoją najlepszą kurtkę, żeby nie marzła, gdy jeżdżę na rowerze spisywać odczyty. To bardzo miły gest, prawda? Cieszę się, że już mi przeszło to zauroczenie Nicolasem Cage'em. Przynajmniej kiedy mówię do Seana, on mi odpowiada.

Dzięki, że nikomu nie zdradziłaś miejsca mojego pobytu, i dziękuję Ci, że załatwiłaś moje sprawy w banku. Co miesiąc będę Ci przysyłać trochę pieniędzy; wpłacisz je, kiedy będziesz w mieście. Jestem Ci tak bardzo, bardzo wdzięczna!

Napisz, czy dobrze się bawiliście w Nashville. Nie pytam, czy kupiłaś sobie kowbojski kapelusz, bo z góry wiem, że tak. Dbaj o siebie i przyjeźdź, kiedy tylko będziesz mogła.

Ucałowania Brenda.

PS. Przesyłam Ci akwarelkę z widokiem Connemary. Będzie dobrze wyglądać na ścianie w saloniku. Kupiłam ją w sklepie z pamiątkami - ja chyba już nie będę malować. Chociaż w wolnych chwilach robię ramki do obrazów z wyrzuconego przez morze drewna i tym podobnych rzeczy.

Pani Brown przytuliła list do twarzy, przymknęła oczy i westchnęła z ulgą. Brenda nigdy nie wydawała się tak szczęśliwa. Nareszcie, po tylu przeciwnościach, znalazła sobie miejsce w życiu. Wyszła do holu, wzięła ze stolika list Nicolasa Cage'a i drugi, od Clare Fitzgerald, przesłany przez właściciela dawnego mieszkania Brendy, i delikatnie włożyła je do ognia płonącego na kominku w salonie. Za kilka miesięcy oboje zapomną o Brendzie Brown i będzie to koniec artystycznej kariery, która o mało nie doprowadziła jej najmłodszego dziecka do obłądzenia. Niechże się cieszy spokojem, pomyślała pani Brown. Zasługuje na to bardziej niż ktokolwiek.

## 51. WSZYSTKO DOBRE, CO SIĘ DOBRZE KOŃCZY

Interes hulał nad podziw, przysparzając Stanleyom zysków i radości. Daniel przekazał finanse w ręce Penny obiecując, że nie będzie się o nie martwić. Penny podniosła pensje pracownikom i stawkę ubezpieczenia od pożaru, zadbała też o jakość nabywanych surowców. Kupiła do herbaciarni ładne biało-niebieskie obrusy, nadające jej przytulny wygląd francuskiej kafejki.



Daniel sprzedał dom przy Magnoliowej i pogodził się z myślą, że matka nie wróci. Na pamiątkę po niej zatrzymali malowany walijski kredens, w którym umieścili ładne okazy porcelany. Wybrał się też w końcu na grób ciotki Kathleen. To właśnie na cmentarzu opowiedział Penny całą swą historię. Przytuliła go do siebie i płakali oboje nad utraconymi latami.

Ciężko było Danielowi wyzbyć się skąpstwa, ale bardzo się starał nie oszczędzać na wszystkim. Penny regularnie mu przypominała, że mimo zwiększonych kosztów powodzi im się dobrze. On miał czterdzieści osiem lat, ona trzydzieści sześć i wiedzieli już, że wzajemna więź jest o wiele ważniejsza niż saldo w banku. Latem spędzili znów tydzień w Lawson Lodge, a w grudniu 2000 roku Penny odkryła, że jest w ciąży.

Beatrice i Alice Crawley nadal pracowały społecznie, ale teraz nie uważały za stosowne się tym chełpić. Wolny czas spędzały planując kolejne podróże. Doszły bowiem do wniosku, że radość życia tak samo cieszy Boga, jak cnota i dobre uczynki. Czasami wspominały o tajemniczym Leo, lecz to William Crawley pozostał dla nich "drogim ojcem".

Co niedzielę do kościoła stroiły się w broszki Elizy. W głębi ducha czuły nawet pewną dumę, że historia ich rodziny zawiera też melodramatyczny wątek.

Zadowolona z życia Sadie, której nikt już brzydko nie przeżywał, przestała się objadać chipsami i zaczęła wreszcie tracić na wadze - na razie niewiele, ale była pełna nadziei na przyszłość. Teściowie, zakochani w swojej wyspie, przysłali jej kartkę, w której pisali, że chodzą na lekcje języka, żeby stać się Grekami pełną gębą, a nie wiecznymi turystami. Daisy zapisała się ponadto do klubu szachowego. A Maurice zapomniał o artretyzmie.

Dla Patricii Caldwell dzień Bożego Narodzenia owego pamiętnego 1999 roku stał się powodem wielu wylanych łez. Zajrzawszy pod choinkę, znalazła piekarnik do chleba i odkurzacz. Czy Arnold poważnie myślał, że będzie piekł chleb? A odkurzacz już miała. Arnold wytknął jej, że wielokrotnie wyrażała chęć zostania jego pełnoetatową partnerką, nie "panienką na boku" - a to wiązało się z większym zaangażowaniem w różne prace domowe. Nie wiedzieć czemu Patricia posmutniała jeszcze bardziej.

Nie ucieszyły jej nawet czarna bielizna i olejki. W gruncie rzeczy to są prezenty dla Arnolda, szlochająca. Czyż nie? On będzie ją oglądać i łaskawie da sobie zrobić masaż. Jak mógł być tak samolubny! Przecież tyle jej zawdzięczał! Nie dość, że pozwoliła mu ze sobą zamieszkać, to jeszcze tolerowała jego okropne mahoniowe biurko w swoim białym salonie!

Nie zdążyła jeszcze otrzeć łez, gdy pod dom zajechały dwa samochody pełne Smithów. Horda krewnych zdeptała błotem biały dywan, domagając się nadziewanego indyka. Krzyczeli, że są głodni, jakby to ona była temu winna. Sama była głodna, bo przez fotograficzną aferę z Sadie ominął ją wigilijny obiad.

Nakarmiła ich gotowym daniem z mikrofalówki, zmuszona wysłuchać wielu przykrych uwag. Jakże to, skoro Sadie przedstawiła ją jako mistrzynię kuchni? Żeby się pocieszyć, Smithowie wypili całą szkrynkę szampana, którą Arnold dostał ongiś od "Okien z klasą". Zalali się w pestkę i zaczęli wygłaszać złośliwe docinki na temat jej cnoty.

Patricia kazała im wyjść, a Arnold kazał im zostać, zostali więc i jak plaga szarańczy wyzarli dosłownie wszystko, co było w domu - ciasto, orzeszki, kilka bombonierek, ser i biszkopty. W końcu wybuchła straszna awantura; Arnold i Patricia omal się nie pobili i Patricia przegapiła specjalny świąteczny odcinek swojego ulubionego serialu.

Po tych wypadkach wzajemne uczucia znacznie ochłodziły. Gdy ich temperatura w końcu osiągnęła zero, Patricia zadzwoniła do Jasona Maxwella. Ten przybył natychmiast swoim lśniącym roll's-royce'em i grzecznie poprosił Arnolda, by opuścił lokal.

Przez kilka tygodni Arnold mieszkał w biurze, wydzwaniając do Patricii i nagrywając się na automatyczną sekretarkę. Osiągnął tyle, że zmieniła numer telefonu. Nim to jednak uczyniła, oznajmiła mu twardo, że ma kogoś innego. Ten ktoś jest nieżonaty i nie kupuje jej sprzętu gospodarstwa domowego; słowem - wie, jak traktować damę.

Arnold wyprowadził się na drugi koniec kraju i założył własną firmę w miasteczku o dźwięcznej nazwie Enniskillen. Dom w Carryduff pozostawił Sadie, uznając poniewczasie, że sobie na niego zasłużyła. Poza tym urzekł go krajobraz hrabstwa Fermanagh. Kupił zrujnowany chlewik, z którego zrobił piękną wolno stojącą garsonierę z sześciokątną oranżerią wychodzącą na brzeg jeziora. Okoliczni mieszkańcy powitali go życzliwie, a ponieważ padało tu znacznie częściej niż w

Belfaście, popyt na okna był spory i Arnold wkrótce odzyskał dawną pewność siebie. Z upodobaniem podrywał mieszkanki Fermanagh i wkrótce wszyscy znali jego błękitnego jaguara, markowe garnitury i stojący w oknie puchar Sprzedawcy Roku.

Aurora Blackstaff i David Cropper stali się ikoną teatralno-artystycznych kręgów Belfastu. (Rodzina Bronte zyskała znaczny rozgłos i wielu naśladowców, stając się wzorcem dla stowarzyszeń literackich na całym świecie.) Gdy byli pewni, że nikt im nie przeszkodzi, ubierali się w wiktoriańskie stroje i tańczyli walca w oranżerii, a potem David niósł Aurorę do sypialni i darł na niej liczne batystowe halki.

W pustkowiach Connemary między Rose i Henrym rodziła się cicha miłość. Henry kupił mały domek i roczny zapas torfu. Wieczorami siadywali przy ogniu czytając książki ogrodnicze i pijąc czerwone wino. Sadzili drzewa odporne na ulewne deszcze i silne wiatry wiejące z Atlantyku. Budząc się rano w ramionach Rose Henry dziękował Bogu za jej rude włosy, białą skórę i piegi. I za herbaciarnię przy ulicy Morwowej, z której okien zobaczył ją po raz pierwszy. Kiedy Rose wreszcie powiedziała mu, że go kocha, natychmiast się oświadczył i został przyjęty.

Clare Fitzgerald i Peter Prendergast prędko ustalili datę ślubu, stwierdziwszy, że zmarnowali już wystarczająco dużo czasu. Clare często dokuczała Peterowi, że powinien był dawno ją odnaleźć - co z niego za detektyw? Przyznawał, że owszem, pewnie byłby to zrobił, gdyby nie powstrzymała go męska duma.

- Myślałem, że nie chcesz się ze mną spotykać. Pamiętam, że byłeś trochę snobką - powiedział kiedyś.

Clare chciała zdzielić go torebką, ale nie mogła jej znaleźć. Ceremonia była skromna, prócz nowożeńców wzięli w niej udział tylko świadkowie - asystent Clare, Mike, oraz jego przyjaciel od serca. Zamiast ryżu sypało się złote i różowe konfetti, którego garść Clare trzymała odtańd w szklanym pojemniczku przy łóżku.

Stary pan Muldoon byłby bardzo rad, gdyby dziś zobaczył swoją starą knajpkę. Walily do niej tłumy; wszyscy byli zdania, że panująca tam radosna atmosfera nie ma sobie równych. Penny zamówiła specjalną zamykaną gablotkę z kuloodpornego szkła, w której powiesiła kurtkę należącą ongiś do Nicolasa Cage'a oraz jego portret namalowany przez Brendę Brown. Herbaciarnia pod Morwami wkrótce stała się mekką dla fanów aktora. Penny oferowano olbrzymie sumy za tę kurtkę, lecz odpowiedź zawsze brzmiała: "nie". Kurtka z wężowej skóry była własnością Brendy; Penny miały ją tylko na przechowanie.

Brenda Brown, a raczej Tatiana Cobalt-Clearwater była tak szczęśliwa jak nigdy w życiu. Uwolniła się od Belfastu, zamieszek, supermarketów, policjantów, psychiatrów i niespłaconych kart kredytowych. A co najważniejsze - od Sztuki. W ciągu dnia jeździła na rowerze zbierając dane z punktów pomiarowych, a Nick ujadając pędził za nią w podskokach. Wieczorami przysłuchiwała się posykiwaniom ognia na kominku i śledziła desenie, jakie malował na ścianach i suficie chaty. Czasami wpadał Sean i rozmawiali o ekologii. Razem, trzymając się za ręce, wzięli udział w pokojowym marszu na rzecz ochrony środowiska, jaki odbył się w Dublinie.

Wyrzucała sobie zbytnią słabość do Seana, bojąc się, że traci swój feministyczny kręgosłup. Kiedy jednak zainstalował w jej domku wiatrowy generator prądu, musiała przyznać, że mężczyźni bywają użyteczni. Ucałowała go pod elektryczną lampą, myśląc przy tym, że wygląda bardzo zgrabnie w starych dżinsowych ogrodniczkach. Sean nie potrzebował kurtki z wężowej skóry ani sportowego samochodu. I bez tego był śliczny.

Poprosiła go o zdjęcie. Dostarczył je bez zwłoki. Oprawiła je w ramkę zrobioną własnoręcznie z muszelek i kamyków. Miło było nareszcie mieć w zasięgu oka męską twarz.

Pewnego dnia Daniel oznajmił głośno wszystkim klientom herbaciarni Pod Morwami, że jego żona urodziła właśnie zdrowego synka, który również będzie nosił imię Daniel - w zdrobnieniu Danny. Z tej okazji przez całe trzy dni kawę i herbatę podawano gratis. Po chrzcinach w herbaciarni odbyło się huczne przyjęcie, na które zaproszono wszystkich przyjaciół - w ich liczbie także Millie i Jacka wraz z całą czeladką. Pomni na swą rolę Mortimerowie czuli się trochę nieswojo, ale na szczęście skrzynka z narzędziami została w domu. Penny udekorowała lokal kwiatami, balonikami i girlandami, wszyscy mieli na głowach kolorowe czapeczki i tańczyli do białego rana. Mały Danny

spał w tym czasie smacznie, spokojny, że i tak to wszystko kiedyś będzie należeć do niego. Przechodnie z zazdrością zaglądali w okna, bufet ugiął się od frykasów, a Daniel upiekł nawet olbrzymi tort zwieńczony rzeźbą z cukru, przedstawiającą państwa Stanleyów z synkiem.

Odtąd żyli wszyscy długo i szczęśliwie.

KONIEC